



TRADYCYE KADĘNSKIE

OPOWIADANIE Z LAT 1790-1792

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.



KRAKÓW.

Nakład Redakcyi „Świata“.

1893.

K



REGIONALIA

XIII B Kra

XIII B.2 : IC
884-3

*Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska*



5 152572000003

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki.
pod zarządem Jana Gadowskiego.

Jam Sylvae sterilis et putres robore trunci
Assarici pressere domos, et templa deorum
Jam lapsa radice tenent, ac tota teguntur
Pergama dumetis.

(Lukan — o Troi).

I.

Dziwna rzecz, jak człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może, ze wszystkim żyć, a z otaczającymi przedmiotami, na które się co dzień spogląda, tak wreszcie opatrzyć, że się na nie wcale niemal nie zwraca uwagi. Tak jest z ludźmi widzianymi codzień, tak z przedmiotami, tak z fizyognomią kraju całego. Wielkie szczyby przychodzą pojedynczo, od czasu do czasu; drobne z ogólnego gmachu cegiełki wypadają co chwila; i oto, po latach kilkudziesięciu, porównawszy to, co jest, z tem, co było, spostrzegamy dopiero owe zmiany ogromne, które baczości naszej uchodziły. Że nowe, z dniem każdym niemal zmieniające się i rozwijające stosunki społeczne, muszą pewne zmiany przynosić, nic w tem niema dziwnego, rzecz to konieczna i naturalna; lecz, jak każda terażniejszość jest dziećciem przeszłości, którą jako rodzicielkę czeić winna, tak

też i wszelkie cenne po niej zabytki, znajdujące się w kraju, oświecona a dbająca o byt swój społeczność obowiązana jest uszanować. Ale dziś u nas ogół, goniąc za groszem, obojętnem spogląda okiem na zwaliska i gruzy, do których widoku już się przyzwyczajono i zgoła zapomniano może, czem one były przed laty. Zastanowiwszy się jednak i sięgnąwszy w przeszłość nie zbyt oddaloną, bodaj pod koniec przeszłego wieku, jakież nieobliczone i ogromne spotykamy zmiany! Wznoszą się wprawdzie, tu i owdzie, świeże, ładajako lepione mury, skupia się ruch nowy w kilkunastu punktach główniejszych, kosztem reszty kraju; ale, przebiegłszy uważnem okiem całe dawnego kraju naszego obszary, cóż spotykamy? Albo dobrowolnie opuszczone przez możnych dziedziców, żyjących za granicą lub w stolicy, starodawne ich dziadów siedziby, albo w świętokradzkich przeróbkach przez nowych nabywców burzone z gruntu wszelkie przeszłości zabytki, lub setki miast mniejszych, osad, zamków, fabryk dawnych i pałaców, w zaniedbaniu, zniszczeniu, gruzach i ruinie. Nie mówię tu już o zabytkach, odległej sięgających starożytności, lubo ileż podobnych widzimy ze czcią i staraniem przez inne pielęgnowanych narody; tych rumowiska same już się stały w kraju naszym osobliwością. Nasze gruzy i zgliszcza stokroć są smutniejsze — te, o których mówimy — bo i stu lat nie dochodzą niekiedy. Uciekło z nich życie pod ciosem potężnym i ciało w proch się rozsypuje, nie tyle nieubłaganą prawicą czasu niszczone, ile deptane raczej obojętnymi lub niechętnymi stopami, albo chciwemi łupu rozrywane rękoma. Ci, którzy przemysł wychwalają dzisiejszy, niech raczą spojrzeć uważnie: wszak to, prócz zwalisk kościołów, zamków i pałaców, spotykamy szczątki fabryk i zakładów rękodzielni-

czych, jako najwymowniejszy dowód prawdziwego ruchu i postępu przemysłowego, głównie przez najmoźniejszych panów i ziemian popieranego, który się z końcem XVIII w. tak potężnie rozwijać zaczął. Dziś rudery tylko pustkami świecą. Smutny to obraz, ale, niestety, prawdziwy: gdy zaś widownią wypadków, które opowiadać mamy, jest pogranicze Litwy, a właściwie dawne województwo Brzeskie, ziemia Chełmska i Drohicka, oraz okolice im przyległe, rzućmy przeto okiem choć najpobieżniej na tę przestrzeń kraju, dla usprawiedliwienia słów gorzkich, które się nam z pod serca wylały.

Oto, wspaniała niegdyś rezydencja książąt Sapiehów, Rożanna, rezydencja prawdziwie królewska, pyszny, ogromny zamek, na trzypiętrowych wsparty piwnicach, otoczony mnogimi gmachami, mieścił w sobie niegdyś milionowe bogactwa. Tu Władysław IV gościł dwukrotnie; raz, jadąc na wyprawę wojenną w 1617 r., powtórnie razem z królową Cecylią przyjmowany był w 1644 r. z niesłychanym przepychem przez Kazimierza Lwa Sapiehę, Kanclerza W. Ks. Lit., który, po pięciodniowych ucztach i prawdziwie monarchicznej gościnności, odjeżdżającym królestwu, oraz ich orszakowi, rozdał jeszcze darów i upominków na kilkadziesiąt tysięcy dukatów: w sprzętach, klejnotach, drogich sobolowych szubach i pieniądzach. Dodać należy, iż, kiedy podczas sutej biesiady wyniesiono starodawny puchar Sapieżyński, „Iwanem“ zwany, z kryształu rznętego, około garnca objętości mający, król po wypiciu nim na podziękowanie za toast, na cześć swoją przez obecnych wniesiony, szczególniejszy mu nadał przywilej, który, jako autentyczny, pod pieczęcią królewską wydany, przechowywał się w Sapieżyńskim archiwum. Postanowił bowiem król,

żeby na przyszłość ów puchar „Iwan“ chowany był w osobnym *ad hoc* kredensie i nie inaczej wnoszony, jak z pewnymi ceremoniami, w orszaku odpowiedniej służby, przy muzyce i stu działowych wystrzałach. Chciał przez to król uczcić pamięć Zygmunta I, który przez Iwana Sapiechę tym samym pucharem był przyjmowany w *Kodniu*, o czym niżej powiemy. Królewska ta prawdziwie siedziba przechowywała się jeszcze była w całym blasku do początku naszego stulecia. We wspaniałej jadalnej sali stał ów kredens, z różanego drzewa rzeźbiony, na środku którego umieszczoną była beczka srebrna z siedzącym na wierzchu Bachusem, po dwóch zaś bokach urządzone dwa *ciboria*, w których mieściły się dwa puchary: „Iwan“ i „Iwanicha“. Ten drugi, mniejszy nieco, dodany był dla tego, aby można było uczcić pamięć godów królewskich, bez uciążliwej niekiedy pompy i wystawy. Skarbiec i archiwa zawierały w sobie prawdziwe skarby, tak w dokumentach do historii kraju posługujących, jako też w zbrojach, sprzętach, klejnotach, srebrach, makatach i rzędach kosztownych, w ogromnej ilości nagromadzonych; a między tysiącem pamiątek znajdowały się też i *insygnia*, jedyne, orderu Niep. Poczęcia N. P. M., ustanowionego przez Władysława IV, przez sejm jednak 1637 roku niepotwierdzonego, który wszelako dostał się Kazimierzowi Leonowi Sapieże, Podkanclerzemu Lit. na pamiątkę od Króla.

Tu jeszcze Stanisław August w przejeździe na sejm do Grodna 1784 r. przyjmowany był przez Aleksandra Sapiechę, Kanclerza W. Ks. Lit., który rezydencję swoją częstokroć i do Wysokiego Litewskiego prznosił; ksiązę zaś Franciszek Sapieha, Generał Artyleryi, syn Kanclerza, jako już człowiek zupełnie nowych wyobrażeń, przy ciągłych

podróżach za granicę rzadko przesiadując w kraju, urządził rezydencję nowym smakiem, mniejszą, z pysznemi angielskiemi ogrodami, w Dereczynie, gdzie też i znaczna część kosztownych sprzętów ze skarbcu Róžańskiego przeniesioną została. Gdy zaś książę Eustachy, syn Franciszka, który tak w Różannie, jako i w Dereczynie przemieszkiwać lubił, po powstaniu narodowem w r. 1831 zagranicę wyjechał, całe dobra jego i posiadłości ze wszystkim, co się w nich znajdowało na skarb przeszły. Wówczas-to mówiono, że owe puhary Iwan i Iwanicha odwiezione były do Kremla, jako niby ztamtąd przez Jana Piotra Sapiehę, Starostę Uświatskiego zabrane; co żadną miarą prawdą być nie może; widzimy bowiem, że owym Iwanem przyjmował Iwan Sapieha, Wojewoda Podlaski, Zygmunta I w Kodniu w r. 1511, a zatem na sto lat przed ową wojną, podczas której Jan Piotr Sapieha, Starosta Uświacki, umarł w Kremlinie 1611 roku. Prędzej-by tu przypuścić można, że chciano mówić o innym szczerozłotym puharze, co był w skarbcu Róžańskim przechowany, a na którym herby Carów Szujskich widzieć się dawały.

Jak drogocenne dzieła sztuki nagromadzone były w Dereczynie przez księcia Franciszka, który, nieraz jeszcze ogromne wygrywając sumy a bez ustanku jeżdżąc po Francyi, Włoszech i Hiszpanii, dzieła mistrzów nabywał, dość powiedzieć, że razu pewnego pokazywał on gościom obraz, przedstawiający wschód słońca, za który, jak mówił, dziesięć tysięcy czerwonych złotych zapłacił. Co słysząc, stary książę Połubiński, powinowaty księcia, bo po jednej Połubińskiej cała Dereczyńszczyzna w dom Sapiehów weszła, jako był szlachcic starej daty i już znacznie umniejszonej fortuny, rzekł do gospodarza:

— Ja, mospanie, za połowę tych pieniędzy daleko mam piękniejszy wschód słońca u siebie!

— Jakto? — spytał książę.

— Bo moja wioska mniej kosztuje, a mam tam wschód słońca najwspanialszy co dzień... no, i kawałek chleba w dodatku.

Na to książę:

— Cóż chcesz, tak właśnie dobrze; bo ty, Kniaziu, wstając ze wschodem słońca, codzień go widzisz; a ja, gdybym tego obrazu nie miał, śpiąc do południa, nie wiedział-bym, jak wschód słońca wygląda.

— Nie ze wszystkim to, mospanie, racya — odparł stary weredyk — bo Książę Jegomość nieraz i rano od zielonego stolika wstajesz.

Książę Kanclerz Aleksander Sapieha, pod koniec przeszłego stulecia, liczne pourządzał w Różannie przemysłowe zakłady: były tu fabryki materyi jedwabnych, pasów litych, obić adamaszkowych, atłasów, sukna, bai, obrusów ozdobnych, świec jarzących, karet i t. p. Do tych dóbr Sapieżyńskich zaliczyć należy i Berezę, Kartuzką zwaną, gdzie w 1648 roku Kazimierz Lew Sapieha, Podkanclerzy W. Ks. Lit., założył wspaniały klasztor i kościół jedyne na całą Litwę zakonu Kartuzów; a chociaż główne śluby zgromadzenia tego, prócz samotności i ubóstwo również nakazują, z hojnej owej pobożności jednak wszystkie dobra, które na mil kilka wokoło otaczają Berezę, miasteczka, wsie, lasy i folwarki, oddał na wieczną własność zakonu. Ale cóż jest wiecznego na świecie? a zwłaszcza w kraju naszym, którego granice, na przestrzał otwarte, bronione były jedynie walecznych przodków naszych pierściami. W miarę też jak serca dzieci i wnuków, czepiając się zagranicznych nowo-

stek, albo samolubnych zachcianek, coraz słabiej biły w ich piersiach dla własnego kraju, uszczuplały się granice ojczyzny, a ściskające się jej ściany gruzami wreszcie przywalały winnych i niewinnych. I owóż, po kilkudziesięciu za ledwie leciech, w cóż się obróciły Różanna, Dereczyn, Bereza i inne należące do tej rodziny siedziby? W Różannie pałac sam i wszystkie zabudowania w gruzach; w jednej tylko części owego niegdyś wspaniałego gmachu, nowi panowie, żydzi, założyli składy jakieś i nędzną fabrykę prostego sukna grubego z resztek rozkradzionych warsztatów w Dereczynie, — pustka i rudera; w Berezie z obszernych murów kościoła i mieszkań Kartuzkich dwie tylko sterczą ściany; zginęło wszystko bez śladu. I nie dość na tem, groby nawet same świętokradzką ręką obdarte zostały: nie tylko srebrne i cynowe pokradziono trumny, ale i bogate stroje z nieboszczyków poobdzierano. Przed kilku laty skradziono ostatnią w Berezie trumnę cynową z trzema srebrnymi blachami, na których były napisy: spoczywały w niej zwłoki Kazimierza Lwa Sapiehy Podkancl. Lit., a fundowali ją wdzięczni Kartuzi w 1764 r., obchodząc 108-letnią rocznicę założenia klasztoru. Obdarto z zachowanych jeszcze zwłok nieboszczyka wspaniałe szaty i kosztowności, i przykrywszy go starym szarafanem, tak ustrojonego wrzucono do dołu. Szczęście to jeszcze, że na tamtym świecie cnota piękniejszą będzie szatą od złotogłowi.

W dawnej ziemi Drohickiej, na Podlasiu, o milę od Buga, leży miasteczko Siemiatycze; tam w r. 1793 Stanisław August, powracając z ostatniego sejmku Grodzieńskiego, witany był dnia 3 grudnia przez dostojną dziedziczkę, Annę z Sapiehów Jabłonowską, Wojewodzinę Braclawską. Oglądał król piękny pałac i rezydencję, niedawno, bo

w 1777¹⁾ roku założoną: statuę z białego marmuru, w środku dziedzińca stojącą, poświęconą pamięci Pawła Sapiehy, gabinet historyi naturalnej, znacznym kosztem przez samą księżnę w różnych krajach zbierany, a między przedniejszemi w Europie liczyć się mogący, gdzie pierwszego dnia tylko trzy sale przeszedł; oglądał salę fizyczną, kolekcję starożytności, oraz bibliotekę; przy czem gospodyni najdokładniej go o wszystkim sama objaśniała²⁾. Była to w istocie niepospolita niewiasta, cała poświęcona naukom i pracy około podniesienia dobrobytu swych włości, rozszerzenia przemysłu i handlu, oraz ulepszenia gospodarstwa rolnego, o czem nawet wydała dzieło obszerne, ciekawe i ważne, jak na owe czasy. Nie szczędziła wielkich nakładów dla rozbudzenia ruchu przemysłowego; wymurowała ogromny ratusz dwupiętrowy ze sklepami, wyjednała w 1789 roku ustanowienie jarmarków, licznie potem nawiedzanych. Jednem słowem, z małej miejsciny utworzyła nie tylko piękną rezydencję, lecz ważny punkt handlowy i przemysłowy. A gdy jej krewni i przyjaciele wymawiali, że się zakopuje na wsi i dowodzili, że raczej-by powinna osiąść w stolicy, patrzmy, co na to odpowiada³⁾:

„Co mnie, to, moja kochana kuzyno, całe *czarnej kury* do głowy-by trzeba przyłożyć, żeby kiedy ten projekt mógł w niej postać, rezydencji w Warszawie. Czysto bo-

¹⁾ O zakładaniu tej rezydencji pisze Ks. Jabłonowska do księżny Sapieżyny Elżbiety Wojew. Mściławskiej, matki księcia Nestora — w listach znajdujących się w posiadaniu autora.

²⁾ Lipiński i Baliński. — Starożytna Polska.

³⁾ List oryginalny do Wojewodzicowej Mściławskiej Elżbiety z Branickich, z archiwów autora w Romanowie.

wiem i ja skonkludowałam, że ani mnie po Warszawie, ani Warszawie po mnie, cale nie po tem; spoczynku szukać nie mogę w miejscu, gdzie go nikt nie znajduje i naturalnie znaleźć nie może. Doktorowie nie znajdą do uleczenia, kiedy prędzej 24-ma godzinami zawsze jeszcze o złem dowiadywać się będę. Z przyjaciółmi żyć nie potrafię, bo czas tak w tem miasteczku ścieśniony, że nikomu na nic nie wystarcza; mnie mniej niż drugim, kiedy z rozporządzeniem godzin moich zgodzić się nie potrafię nawet; bo wszyscy wstają, kiedy ja rozbieram się spać. Owóz, sposób życia z przyjaciółmi; z nieprzyjaciółmi żyć nie umiem, a o tych, co o mnie nie dbają, i ja cale nie dbam.“

Tak więc, nauce tylko i pracy dla publicznego dobra oddana, a znaczne posiadająca dochody, łatwo pojąć można, ile ta zacna matrona uczynić mogła i dla okolicy całej, i dla miejsca, które sobie za punkt głównych działań obrała. Dziś z tych zabiegów, starań i nakładów, pozostało pustkowie i miasteczko w ruinie.

Ten sam los spotkał i *Miedznę*, niezbyt od Siemiatycz oddalone miasto, które wraz ze starostwem Preńskim po Butlerach do Sapiarów przeszło; jeszcze w 1794 roku był tam stary zamek, stojący w całości, i przeszło sto domów murowanych; teraz zamku ani śladu i w całym miasteczku kilka zaledwie murowanych budowli. W cóż się obrócił Drohiczyn, gdzie było Pijarskie Kollegium na kilkaset uczniów, Franciszkanie, Benedyktynki i Bazylianie? — mała dziś miejscina bez żadnego znaczenia.

Stanisław August, w powrocie z Grodna, z Siemiatycz wstąpił dalej po drodze do Michała Ogińskiego, Podskarbiego W. X. L., który miał rezydencję swoją w Soko-

łowie nad Bugiem. Tu rozerwał się N. Pan ¹⁾ słuchaniem muzyki czternastu małych chłopców, od dziewięciu miesięcy do nauki wziętych; dalej oglądał kobierce w guście etruskim, chustki jedwabne, pasy, płótna, kapelusze, druty i t. p. fabryki Sokołowskiej. Nazajutrz kilkanaście rodziny, z Montbeillard przybyłych, wybornem stolarstwem, płócien tkaniem i t. p. bawiących, prezentowało się Naj. Panu. Tegoż dnia wyjechał król do Siedlec etc. W kilka lat później ustały zakłady fabryczne, o których dziś i pamięć zaginęła.

Ktoż nie zna działalności i zasług Antoniego Tyzenhauza, Podskarbiego Nadwornego, Starosty Grodzieńskiego, który, objąwszy zarząd ekonomii królewskich, Grodzieńskiej, Mohilewskiej i Szawelskiej, w początkach panowania Stanisława Augusta 1765 roku, w przeciągu lat kilku niesłychaną rzutkością, zabiegliwością i pracą, cudów przemysłu, handlu i rozwoju ekonomicznego dokazał. W Horodnicy i Łosośnej ogromne powznosił gmachy; uczonych, artystów, rzemieślników i fabrykantów z za granicy posprowadzał; wysłał Downarowicza do Anglii dla studyów agronomicznych; zarodowe owczarnie, obory i stadniny zaprowadził, mając z Anglii, Francji, Brunświku i Holsztyna najpiękniejsze zwierząt domowych okazy. Założył, pod Gilibertem z Montpellier, szkołę weterynaryi; dalej, szkołę miernictwa i architektury; bił drogi i kanały, osuszał bagna, Niemen kanalizował; zakładał młyny, huty, garbarnie, olejarnie, krupiarne, browary i wyrabiał produkta leśne: smołę, dziegieć, potaże. Urządził fabryki bielizny stołowej z blechami i maglami jak w Hollandyi; fabryki sukna najpiękniej-

¹⁾ „Korespondent² Krajowy i Zagraniczny“ N. 100.

szego, które za granicą od nas kupowano, muślinów, wyrobów jedwabnych, wstążek, axamitu, atłasów, pasów i materii litych, powozów i wyrobów metalowych, gisernie i typografie. Pourządzał magazyny i kantory kupieckie. Fundował biblioteki, muzea, korpus kadetów pod przewodnictwem Frehlicha inżyniera i księdza Narwojsza matematyka; a projektował jeszcze założenie Akademii nauk i obserwatorium astronomicznego. Wybudował nowy zamek królewski, teatr i operę urządził. Jednym słowem, w lat kilkanaście na takim stopniu rozwoju ekonomicznego postawił tamte litewskie prowincje, że ci, którym to wcale nie było po myśli, widząc, miasto zubożenia i obozwładnienia kraju, coraz silniej rozwijające się życie, przestraszeni, intrygami i zabiegami podburzając zawiści jednych, lub z drugich ¹⁾ korzystając niechęci, tyle przez zakulisowe machinacje potrafili dokazać, że słaby i niedołączny król, pomimo własnej woli i przekonania, (gdyż sam Tyzenhauza bronił publicznie), od urzędu go jednak usunął. Wpadł więc co prędzej czyhający już na to Rzewuski, Starosta Bohusławski, do Grodna w dniu 1 sierpnia 1780 roku *z siłą zbrojną*, jak do rabunku, zabrał, zagarnął i zatradował wszystko, co zastał na miejscu, na prywatną nawet nie bacząc własność, i w tejże chwili, jakby coś najzbawienniejszego dla kraju miał czynić, pozamykał i porujnował fabryki, ludzi na cztery wiatry porozpędzał precz, i — jak ów afrykański Scypion na Kartaginy gruzach, mniemał się wielkim zwycięzcą i bohaterem. Grzechem jest przeto, i ciężkim,

¹⁾ Wzięto za pozór nieakuratność niby w wypłatach bankierskich, na które, nota bene, jeszcze zaledwie za trzy miesiące termin nadchodził.

zarzucać ojcom naszym leniwstwo i zacofanie: robili oni co mogli, lecz niezawsze im robić dano; wzięli się może nieco zapóźno do pracy, ale uwzględnić tu przedewszystkiem należy dwa poprzednie panowania Sasów, zupełną niedołężność ostatniego króla i wreszcie okoliczności polityczne, w jakich się znajdowała Europa przy schyłku minionego wieku.

Tak upadały przemysłowe i naukowe zakłady, tak szły w ruinę i umyślną zagładę najpiękniejsze rezydencje naszych magnatów. Wspomnimy tu jeszcze Białą Podlaską (Alba Ducalis), całym blaskiem świetniejącą za księcia Hieronima Radziwiłła, Chorążego W. X. L. i Księcia Karola, Panie Kochanku, a ze śmiercią Księcia Dominika, po córce jego Stefanii za Wittgensteina wydanej, w obce ręce wraz z milionowemi dobrami przeszłą. Była tu niegdyś sławna fabryka gobelinów, które w piękności nie ustępowały wyrobom francuzkim. Prawdziwie wspaniały zamek bialski stał jeszcze, w całym swym majestacie, do pierwszych dziesiątków lat naszego stulecia; opustoszały, szczerbiąc się powoli, niepożyty jednak, mógłby być trwać wieki, gdyby dziedzice, Niemcy, nie kazali go zburzyć w roku 1873 do szczętu, na to chyba, aby pyszną architekturą i wspaniałą swoją wielkością świetniejszych naszych nie przypominał czasów.

Gdybyśmy w podobny sposób, pobieżnie tylko, wyliczyć chcieli gruzy i zwaliska, co nasz kraj zalegają, starczyłoby pracy na długie lata i obszerne tomy, bo tuśmy je wskazali w jednej okolicy tylko i niezbyt obszernej, wymieniając też główne jedynie. Spójrzmy na *Swisłocz*, gdzie tyle wznosił murów, tyle dobroczynną ręką dla całej okolicy rozsypał kroci, przezacny referendarz Tyszkiewicz, na

ufundowanie, uposażenie i utrzymanie prawdziwie wzorowego gimnazjum, w którym się setki litewskiej młodzieży kształciło; — pustka, gołe mury i rudera, W *Czarnawcyszczach*, rezydencji uczonego, niegdyś, Księcia Marcina Radziwiłła, pozostały tylko dwa potężne słupy od wjazdowej bramy, kupa zielskiem porośłego rumowiska i kilkanaście drzew starych z dawnego ogrodu, co tajemniczym cieniem osłaniały może ongi szanownego Krajczego, kiedy się zaciekał nad ulubionym szczególnie talmudem, albo dumał o metempsychozie, w którą święcie wierzył.

Takiemuż losowi, jak wszystkie, wyżej wymienione miejscowości, uległo i miasto *Kodeń*, linii Sapiechów, Kodeńską zwanej, najdawniejsza siedziba.

Przybywającemu tu chełmskim gościńcem, od strony Włodawy, przedstawiają się najprzód obszerne sklepy, dla świetnych niegdyś jarmarków na składy oraz magazyny przeznaczone, dziś siedlisko sów i szczurów, rozsypujące się z dniem każdym w gruzy; nieopodal, w prawo między Bugiem a oddawna wyschłym stawem, trzyma się jeszcze jako tako stary Sapieżyński zamek, prosta kwadratowa, o niskim piętrze i na lochach osiadła budowla, która, jeśli dotychczas przetrwała, winna to głównie uczciwym dziedzicom, co przynajmniej dachy czasem łatać każą, i temu zapewne, że, jako całe nie wspaniała, nikomu oczu nie razi. A siedziba to wielce stara, bo fundowana jeszcze przez Iwana Sapiechę, Wojewodę Podlaskiego, który tu właśnie przyjmował Zygmunta I-go owym sławnym „Iwanem“ pułkarem; a że Wojewoda umarł w 1519 roku i przywilej też na budowę zamku wydany jest pod rokiem 1511, przetrwał więc już ten gmach przeszło półczwarta wieku. W obrębie zamku, o kroków kilkanaście od niego, znajduje się jeden



z najciekawszych zabytków architektury gotyckiej z początku XVI wieku: jest to dziś w zupełnej ruinie stojąca cerkiewka, którą wznosił dla uczczenia pamięci ojca, Iwana Sapiehy, Wojewody Podlaskiego, syn jego Paweł, z przyczyny długoletności swej Nestorem zwany. Najwspanialszą wszelako budowlą Kodnia był, w głębi rynku wznoszący się, kościół, pod wezwaniem Św. Anny, na cerkiew wschodniego obrządku w roku 1875 zamieniony. Dokładnie opisywanym on był już niejednokrotnie: przez Księdza Jakóba Walickiego, Jana Fryderyka Sapiehę i innych; we wspinałej tej, ogromnej budowie, któraby żadnej nie oszpeciła stolicy, mieścił się cudami wstawiony obraz N. P. Maryi, zwany de Guadalupe, uwieziony potajemnie z Rzymu przez Mikołaja Sapiehę, Chorążego Litewskiego, w 1632 roku; a że ten obraz i w Rzymie, w osobnej pomieszczony kaplicy, szczególnie i powszechnie był czczonym, wielkie ztąd dla Sapiehy wynikły trudności, które dopiero po kilku latach i niezliczonych zabiegach przebaczeniem Ojca Świętego Urbana VIII zakończone zostały. W kościele Kodeńskim znajdowała się wielka ilość relikwii i aparatów, oraz ex-vota bardzo bogate: na samym obrazie N. P. Maryi mnóstwo zawieszonych było kosztowności, między którymi jaśniał ów sławny rubin ogromny, przez Króla Jana Kazimierza ofiarowany. Była to Infulacya, którą pobożni a możni dziedzice szczodłą ręką i przez długie lata uposażali; nie osobiwością tu więc były ciężkie z lamy złotej kapy i ornaty, niemniej perłami i drogiemi wyszywane kamieniami, jak również starożytnej roboty ozdobne puszki, monstrancya i kielichy. W lewej kaplicy ciekawa mieściła się galerya Sapieżyńskich portretów, począwszy od najdawniejszych czasów,

aż do Księcia Kazimierza Nestora, Marszałka Sejmu Czteroletniego.

Za miastem, od strony Brześcia Litewskiego, Paweł Sapieha, Biskup Żmujdzki, w 1710 roku założył rezydencję letnią, Placencją zwaną, w pięknym położeniu nad Bugiem, otoczoną dawniej wielu domkami na podobieństwo tych, jakie mają Kartuzi lub Kameduli.

Pod koniec panowania Stanisława Augusta, należał Kodeń do JO. Księżnej Elżbiety z Braniczkich Sapieżyny, Wojewodzicowej Mściławskiej^{*)}, siostry Xawerego Braniczkiego, Hetmana, a matki Księcia Kazimierza Nestora, Generała Artylerji i Marszałka sejmu konstytucyjnego. Piękna niegdyś i w liczbie sławnych pięciu Elżbiet pomieszczona w złośliwym Węgierskiego wierszyku, w roku 1790 lub 92, mając lat sześćdziesiąt kilka, dała już za wygraną wszelkim wielko-światowego życia ułudom, i z pomocą dawnego a doświadczonego przyjaciela domu, Mierzejewskiego, Strażnika Koronnego, zajmowała się przedewszystkiem tak zwanemi, nie po polsku, „interesami“. Zatem opłacaniem długów, ciągle robionych na nowo, i o ile się dawało gromadzeniem dla ukochanego syna fortuny; tysiącznemi i niekończącemi się sprawami i procesami, przy mnogich spadkach i rachunkach z rodziną, które nieustannej bacności i zapobiegliwości wymagały; polityką i sprawami kraju, i wreszcie gospodarstwem, z całą skrupulatnością, w jego szczegółach najdrobniejszych nawet, z głównem baczeniem i upodobaniem w rozszerzaniu i wydoskonaleniu fabryki sukna, którą była w Kodniu założyła. Księżna, asystując na

¹⁾ Wdowy po Janie, synu Ignacego, który był żonaty z Kra-sicką.

trybunałach, kondesencyach, sejmach i sejmikach, gdy się też ciągle a gorąco i politycznemi zajmowała sprawami, do rozmaitych mieszając się kabał, w nieustannych była podróżach. Czynna i niespracowana, przesiadywała jednak od czasu do czasu i w Kodniu; apartamenta księżnej, dość pięknie urządzone były w parterowym pałacyku na Placencyi; na zamku zaś mieszkanie zajmował książę Nestor, Generał Artyleryi, jeśli przybywał; czas nieco dłuższy bawił on tutaj jedynie przed ożenieniem się¹⁾, oraz po rozwodzie z żoną, wyniósłszy się z Lubartowa w 1785 r.; w ogóle, rzadko tu przesiadywał dłużej; najczęściej w podróżach za granicą, lub w Warszawie czas przepędzając, zjeżdżał jedynie dla odwiedzin, polowania, lub Brzeskich Sejmików. Tu także za zamku były oddzielne apartamenta dla Hetmana Branickiego, oraz gościnne, jak również mieszkanie JMPana Koryckiego, marszałka, dworzan, kapelana i miejscowego zarządu

Dwór księżnej, dawnym obyczajem, nawet w ostatnich czasach bardzo był liczny²⁾; mając bowiem mnogość wielką interesów, wielu też do sprawowania ich potrzebowała ludzi; nadto, nie mogła odmówić pomieszczenia na swoim dworze młodzieży, bądź krewniaków, bądź synów tych ze

¹⁾ Żona Cetnerówna z domu; primo voto była za J. Sanguszką, 2 voto za Księciem Nestorem, 3 voto za Kajetanem Potockim, 4 voto za Karolem de Lambesc.

²⁾ Wszelkie wiadomości w niniejszem opowiadaniu o osobach i wypadkach czerpane są bądź z ustnej tradycyi, bądź z wielkiej ilości listów Marszałka dworu Księżnej, Koryckiego, listów samej Księżnej do Księcia Nestora, Hetmana Branickiego, Ks. Repnina, i dworzan Kodeńskich, z archiwów własnych autora w *Romanowie Podlaskim*.

szlachty, prawników albo plenipotentów, którzy mieli już pewne w domu książąt zasługi, albo w przyszłości potrzebni być mogli.

JMPan Strażnik Kor. Józef Mierzejewski, główny doradca, pełnomocnik i przyjaciel domu, kiedy niekiedy tylko przybywał do Kodnia, na krótko, w sprawach ważniejszych, lub gdy księżna bawiła. Na owe bowiem czasy przebywała ona najczęściej w Warszawie, głównie z powodu sprawy syna z Sanguszkami o Lubartowszczyznę, gdyż dobra te, jako żonine, winien był książę Nestor po rozwodzie z posiadania swego wypuścić, czego dla poniesionych nakładów i nadpłat wzbraniał się uczynić, a sprawa ta w Trybunale Lubelskim, jako i sama sprawa rozwodowa, wielu swojego czasu hałasów i gawęd była przyczyną,

Dwór tedy Kodeński, tak z obyczaju, jako i z potrzeby, liczny był i wielce obsadny; w miasteczku, na zamku, na Placencyi i w domkach podmiejskich roiło się ludzi bez liku, tem bardziej, że tu właściwie były dwa dwory: księżnej matki i syna. Główną tu wszelako osobą na miejscu był JMPan Józef Korycki, marszałek dworu: chudy, szczupły, czarniawy, wcale niepokazny, ale człowiek z kośćcami poczciwy i największe zaufanie księżnej posiadający. On na wszystko i na wszystkich miał oko; chełpił się tem, że dużo jeszcze przed owym Janem Koryckim, co był proboszczem Kodeńskim 1730 roku i kilka tysięcy złotych nawet na altaryą miejscową w testamencie swoim rezygnował, już rodzina jego od dawna wiernie Sapieżyńskiemu domowi służyła. A był, wiedzieć potrzeba, szlachcie sprawiedliwy, bene natus, lubo niektórzy zarzucali po cichu, jakoby miał z Tatarów pochodzić, bo są Koryccy Tatarowie, — choćby i w tem nic złego nie było, gdyż to powszechnie wiadomo,

że Tatarowie Litewscy są ludzie wielce poczciwi i zacni. Ale JMPan Marszałek wcale był innej krwi, i pieczętował się Ciołkiem, jako i sam Król Jegomość, a pisał się Korycki z Korytnice. Wszelako z tą prozapią bynajmniej się nie czwanił, bo zwyczajnie człowiek to był całę skromny, od wszystkich kochany, a poważany nie tylko od bliższych, ale od najdalszych i wysokich nawet dygnitarzy województwa. Drzwi się też u JMPana Koryckiego nigdy nie zamykały, a stół marszałkowski, dostatni i suty, zawsze był obsadzony ludno. Dodać potrzeba, że nieustanna korespondencya z księżną Jejmością, przesiadującą w Warszawie, jak to powiadają, przy wielkim ołtarzu, dawała JMPanu Koryckiemu możność wiadomości o wszelkich nowinach i „konjunkturach“ politycznych. Sprowadzało to ciekawych gości nie mało, każdy bowiem żądny jest najświeższe mieć „ex-publicis“ wiadomości, zwłaszcza, gdy o jego własną skórę idą targi albo kości rzucają, jak to właśnie działo się pod owe czasy.

Pani Korycka, będąc też zaufaną księżnej, zajmowała się wyrobem i blechem płócien i innemi gospodarstwa białogłowskiego porządkami.

Ostromięcki był na ten czas gubernatorem, czyli, jak dziś mówią, administratorem klucza Kodeńskiego, i miał do pomocy Obuchowicza, który się więcej regestrami zabawiał. JMPan Gubernator był człowiek całę innego, niż Korycki, „autoramentu“; bo naprzód na spojrzenie był chłop, jak dąb, tęgi a czupurny, na twarzy czerwony a plamisty, gadał grubo i głośno, aż się szyby trzęsły; niby dobroduszny, „otworzystość sentymentów“ udawał, a był lis szczwany i słyszał jak trawa rośnie. Żeby miał być dla dobra skarbu wielce przychylnym, powiedzieć trudno, bo dobrze

pono o sobie pamiętał; ale był tak zręczny, że go w niczem poszlakować nie było podobna; a choćby rad był dworem trząść, czując wszelako, że z JMPanem Koryckim iść o lepszą w zaufaniu księżnej nie może, tak mu się w oczy przynajmniej układał, że Marszałek miał go za najuczciwszego człowieka.

JMPan Raciborski, był plenipotentem do spraw miejscowych pomniejszych, i w nieustannej prawie zostawał podróży, a Komisarzem Koreywa, człek wesoły i prosty, jak go widzisz, tak go pisz; do kompanii jedyny, ale i pracą nie brzydzący się wcale; każdy też, co mógł, to na niego walił, on zaś, kręcił się sam i tam, zda się nie robił nic, a jednak bez niego się nie obeszło i co wziął w ręce, wywinął jak z płatka.

Stary Zdzitowiecki, rachmistrz i kasyer zarazem, cały dzień ślęczał w swojej na zamku kancelaryi; już to kasy, prawdę rzekłszy, nie miał co tak dalece pilnować, bo choć krocie płynęły, krocie wypływały; zawsze też stary był skrzywiony i kwaśny, a jak mu szóstaka w rachunkach zabrakło, gotów był dwa dni nie jeść i dwie nocy siedzieć aż gdzieś omyłkę przydybał. Miał zaś Zdzitowiecki przy sobie Nassalskiego pisarza, którego już dziesięć razy wyganiać chciano, bo pił haniebnie, a zawsze go rachmistrz wyprosił. I to rzecz ciekawa; co za „perfekcyę“ w nim upatrywał, bo na wołowej skórze tego by nie spisał, co się stary na niego od rana do nocy w kancelaryi nagderał. A Nassalski, jak mruk, pisał tylko i pił, pił i pisał, ale rękę miał piękną i zawsze jedną, choćby się na nogach utrzymać nie mógł; pił zaś na umór, jak utrzymywał, z desperacyi od owego gderania.

Całą fabryką sukna i foluszami, które położone były nad

Bugiem niedaleko Placencyi, jako też zakupywaniem wełny i wszystkim w ogóle, co się tego wydziału tyczyło, zajmował się ksiądz Ambroży, Bernardyn, jako z tym przemysłem obeznany, przybyły z Wielkopolski, co był wpierv kapelanem w Koźminie, dobrach JO. Księcia Piotra Sapiehy, Wojewody Smoleńskiego. Wojewoda umarł w roku 1771, jadąc do Generalności, czasu konfederacyi Barskiej, do Cieszyna; a lubo i tu była niejaka lukta z księżną wdową, bezdzietną, Sułkowską z domu, Koźmin wszelako przeszedł w posiadanie ks. Nestora i z tamtąd więc kapelan do dóbr Kodeńskich przybył. A był ów ksiądz Ambroży człek żwawy i czynny, bo i służby Bożej nie zaniedbywał, i fabryki pilnował sumiennie, na której się też znał doskonale; tylko nowin politycznych tak był ciekawym, że się za nimi całe życie uganiał i kogo złapał tylko, już brał na spytki; z najmniejszej zaś rzeczy wyciągał wnioski takie o jakich się nikomu ani śniło nawet. Z Wielkopolski również przybył i nadzorca fabryki, pod zawiadywaniem głównem księdza Ambrożego będącej, JMPan Sumiński. Ten był człowiekiem cale nowego zakroju: przysadkowaty i barczysty, twarzy kwadratowej, wygolony do czysta, nosił się, jak to mówią, z kiepska po węgiersku, bo ni to po polsku, ni po niemiecku; może i nie głupi, ale człek był ponury i złośliwy, mierzył się wszystkim, co dawnym obyczajem trąciło, wyszydzał to albo ganił i nowostek się chwycił, co u nas na Litwie wcale nie popłaca, wszyscy też od niego, jakby był zapowietrzonym stronili.

Byli wreszcie naówczas na Kodeńskim dworze JMPanowie Jan Narbutt i Ignacy Nielepiec, ludzie młodzi, dworzanie, którzy bądź u pana Koreywy, Komisarza, u Marszałka Koryckiego, lub u samej księżnej zatrudniali się

korespondencyą, bądź-to w różnych ważniejszych a zaufania potrzebujących sprawach jeździli, albo na zebraniach większych asystowali, jako powszechny wymagał obyczaj.

JMPan Narbutt nawet niby jako koligat bawił na Kodeńskim dworze; ta bowiem rodzina Ostyków Narbuttów, lubo na fortunie podupadła nieco, cieszy się wszelako i precedencyą wysoką, i wielu krwi związkami z najmożniejszemi na Litwie domami, a szczególnie książąt Radziwiłłów, z którymi nietylko że jakoby jeden ród stanowi i tegoż samego herbu używa, ale nadto i kilkakrotnemi małżeństwami z nimi jest połączoną. Co zaś do JMPana Nielepca, był też, jak mówiono, słusznej proweniencyi, a nawet z rodziną Poniatowskich spokrewniony; tego na dworze księżnej umieścił był niezbyt dawno Hetman Xawery Branicki, z ojcem bowiem Nielepca bawili się niegdyś razem wojaczką, czasu Siedmioletniej Wojny, przy Ks. Karolu Kurlandzkim, synu Króla Augusta III-go. Ci dwaj kawalerowie żyli z sobą w dobrej przyjaźni i zażyłości wielkiej, lubo cale różnych byli temperamentów: bo Narbutt mały, żwawy a wesoły, do wypitej był i do wybitej, a Nielepiec, słuszny i urodziwy, wielkiego prawda był animuszu młodzian, więcej wszelako milczący, niż mówny, do hulanki nie skory i zgoła prawie nad wiek poważny. Ten jednak charakter jego tem się łącno tłumaczył, że był sierotą bez ojca i matki; a takim „krescytywa“ na świecie nie łatwa, i luboć to mówi rusińskie przysłowie: *nad syrotoju Boh z kałytoju*, ale i na tę kaletę dobrze też sobie zasłużyć potrzeba. Miał JMPan Nielepiec wszelako i ojcowizny kawałek gdzieś na Polesiu, folwark Sielnicą zwany, ale nie wielka to pono była „substancya“; więc za wysoką promocyą hetmana poszedł w świat, aby własną pracą dorabiać się chleba. Pro-

tekcyą osób tak dostojnych, jak hetman, książę Nestor, generał artyleryi, albo sama księżna, rokowała mu nie płonną nadzieję lepszego losu. Bo na owe czasy i najzamożniejszych rodzin synowie początkowali po dworach magnackich, gdyż to była szkoła życia i świata, oraz jedyna droga do najwyższych nawet w kraju dostojenstw.

Chcąc dać niejaki wyobrażenie o ówczesnym dworze Kodeńskim, pominąwszy wiele osób mniejszego znaczenia, musimy wszelako wspomnieć jeszcze i o starym Opoczyńskim, murgrabim zamku, oraz o Verandzie, kamerdynerze księcia Nestora. Z Opoczyńskiego każdy niby sobie trochę dworował, a lubili go wszyscy i cenili za poczciwość wielką. Służył on niegdyś w konfederacyi barskiej rycersko, gdzie też od kontuzyi nieco na słuchu szwankował: o owych też czasach i o służbie swej najprzód pod Bieżyńskim, a później pod księciem Kajetanem Sapiehą, marszałkiem konfederacyi płockiej, co pod Lanckoroną zginął w 1771 roku, stary najbardziej opowiadać lubił. Mały był, krępy i barczysty ogromnie, na twarzy brzydki haniebnie, a wszelako z oczu jego i owej twarzy poczciwa przeglądała dusza. Gaduła był niepohamowany i byle go słowem zaczepić, to już on sam gadał, gadał i gadał, i pytał za ciebie i odpowiadał; poszedłeś wreszcie i wróciłeś, a on sam do siebie jeszcze coś rozprawiał i pod nosem mruczał, co trzy słowa „panie tego“ powtarzając. A ciągle coś dłużał, czyścił, łątał, ostrzył czy reperował; ostrzenie wszelako brzytew lub nożyków było jego najupodobańszem zajęciem. Miał przy tem zawsze w kieszeni — widno z żołnierskich czasów zachowanym obyczajem — kawałek razowego chleba, który po kruszynie łamiąc, nieustannie przeżuwał, i z tem przeżuwaniem gęba mu się nigdy od rozmowy nie zamykała, —

jak z kim, chwala Bogu, jak nie, to sam do siebie; wreszcie jak nie gadał, to półgłosem klepał sobie pacierze, na ten raz już bez chleba w ustach, co za pewną mortyfikacyę musiał sobie bez wątpienia poczytywać.

Verand, a raczej monsieur Verand, był to znowu sługa cale innego gatunku, lubo miał się po trosze za pana. Przywiózł go był z Paryża książę generał dwudziesto-kilkuletnim, a że to już było od owego czasu również lat przeszło dwadzieścia ubiegło, pan Verand więc pięćdziesiątki dochodził; osadził go zaś książę w Kodniu dlatego, że się był ożenił i to z prostą dziewczką, Rusinką, o której mówiono, że nie umiejąc *parlefranse*, nie rzadko mu argumenta swoje ciężką ręką na francuzkiej fizyognomii wypisywała. Ale książę go lubił zawsze i zrobił go swoim niby marszałkiem dworu; to marszałkowstwo jednak ograniczało się tylko do garderoby i kredensu księcia. Znał Verand pana swego doskonale i wszelkie sekreta jego, zwłaszcza zakulisowe, posiadał, a przeto i konfidencyę miał wielką; paplał już i po polsku jak papuga, ale gorzej może od samego Rajmera, kodeńskiego doktora, alias cyrulika, że boki zrywać było trzeba, jak we dwóch, zeszedłszy się, rozmawiali po polsku; bo ani Niemiec po francuzku, ani Francuz po niemiecku nie umiał. Ale gdy chodziło o nasz kraj, to Rajmer przynajmniej nie mówił nic złego, a pan Verand kłął całą Polskę od czci i wiary, choć się na naszym chlebie z bogacił, a za łaską księcia, kiedy łapserdakiem wyszedł ze swego sławnego Paryża, tu w naszym Kodniu tak porósł w pierze, iż zaręczyć trudno, czy wnuki jego dzisiaj karetami nie jeżdżą.

II.

Po dwóch leciech trwania wiekopomnego Sejmu Czteroletniego, kiedy projektowany po Kaniowskim zjeździe alians Rzeczypospolitej z Rosyą i Austryą, mimo zabiegów króla, jako zbyt krępujący, do skutku jeszcze nie przychodził, a odosobnione Prusy dokładały wszelkich starań do zawarcia zaczepno-odpornych z Polską traktatów, zarysowały się już dokładnie partye i stronnictwa sejmowe. Posłowie, widzący w gruntownych reformach rządu i przemianach, zastosowanych do nowszych już pojęć i okoliczności, jedyne zbawienie kraju, wiarołomnemi przytem obietnicami Prus zachęceni i ośmieleni, z dniem każdym zyskując coraz nowych stronników, potrafili już niejako owładnąć kierownictwem obrad sejmowych. Było to stronnictwo tak zwane patryotyczne, tem silniejsze, że zyskało poparcie obu nawet marszałków sejmowych, tak Koronnego, którym był czcigodny Małachowski, referendarz koronny, jako i litewskiego księcia Kazimierza Nestora Sapiehy.

I to dziwna, żeby we własnym kraju ktoś się musiał patryotą nazywać! Słowo to, nowe i nieznane, z obcego zapożyczone języka, pierwszy raz wówczas znalazło się na ustach Polaków, jak gdyby na dowód, że byli i tacy, którym to miano już służyć nie mogło. Mieliz-by nimi być ludzie do drugiego należący stronnictwa? ci, którzy stary porządek utrzymać chcieli? Trudno zgodzić się na to mniemanie. Bo jeśli byli między nimi obojętni, albo wiarołomni, wyjątkowo; ogół najniezawodniej działał w dobrej wierze i w sumiennem przekonaniu, że uczciwie ojczyźnie służy.

Szczęśny Potocki, porwany wirem wypadków nad jego siły, oplątany siecią intryg, których obłądy nie pojmował, sam siebie i drugich łudzący, oszkalowany i odtracony, nie był z pewnością złym, ale raczej najniezszczęśliwszym człowiekiem. Niemniej, to drugie stronnictwo działało na zgubę i zaturę kraju, wicherząc i rozdziałając zdania, gdy w zgodzie właśnie i najściślejszem jednoczeniu należało poświęcić wszystko, a kraj na tak silnej wojennej stopie postawić, aby siła ta na szali politycznych wypadków zaważyć mogła. Ale... nie sądzmy i nie potępiajmy dziadów naszych; sądz dziś po wypadkach łatwy i lekko przychodzi, *niech raczej każdy uderzy się w piersi i przypomni sobie, ile-to razy w życiu żałował, ba — nie pojmował tego wcale, co sam przed kilku laty, co wczoraj uczynił!*

Ale wracajmy do opowiadania.

Kiedy się przewaga patryotów ujawniła na sejmie, stronnictwo przeciwne, spostrzegając, że zapadające uchwały widokom i planom jego nie odpowiadają, że rozwlekłe mowy, przeciąganie obrad i wszelkie zabiegi pożądanego nie odnoszą skutku, że wreszcie zerwanie sejmu, pod konfederacją zawiązanego, gdzie większość głosów stanowiła prawo, stało się niemożliwym; to więc stronnictwo w wyborze nowych posłów po swojej myśli jedyną nadzieję ratunku upatrywało. Upadł z razu wniesiony projekt nowych wyborów, ale przyjęto go następnie przy powtórnem podaniu, i sejm od dnia 11 Grudnia (1790) miał się już w podwójnym składzie posłów agitować; wyszły uniwersały do nowych wyborów i sejmiki na cztery niedziele wpierw, czyli na 16-ty listopada naznaczono. Tu dodać musimy, że stronnictwo opozycyjne samo w sobie pierwiastkowo rozdzielone było na adherentów Stackelberga i Potemkina,

z którymi trzymał Branicki; po upadku pierwszego i przybyciu na miejsce jego Bułhakowa, w Czerwcu 1790 roku, pozostało więc samo tylko Branickiego stronnictwo. Nadto Szczęsny Potocki, nieoględnie, na własną niejako działając rękę, niezadowolony naprzód, że konfederacya zawiązaną została w łonie samego sejmu a nie po województwach, jak to on radził, że wreszcie sejm naganiał i monitował samowolne jego znoszenie się i korespondencye, jako Generała artyleryi i dowodzącego wojskami ukraińskimi, z dowódcami sił mocarstwa ościennego, obrażony i podrażniony, jawnie się stronnikiem dawnego porządku rzeczy i obrońcą ustaw z lat 1768 i 1776 ogłosił. Z tego fałszywego kroku Potockiego zręcznie korzystając, całe opozycyjne stronnictwo przeciw niemu powstało, i przybrawszy pozór najgorliwszych patryotów, miało nadzieję przy nowych wyborach stanowczą większość głosów na sejmie pozyskać.

Tak więc w rzędzie najpierwszych dostojników, z ząną dążnością dla dobra kraju pracujących, widzimy księcia Kazimierza Nestora Sapiehę, marszałka, z jednej strony, gdy z drugiej rodzony brat jego matki, hetman Ksawery Branicki, stał na czele przeciwnego stronnictwa na sejmie, agitującym się pod laską własnego siostrzeńca.

Stara księżna Sapieżyna, lubo jej, jako matce, w serdecznem przywiązaniu do jedyne go syna niktby nie zarzućić nie zdołał, w politycznych wszelako wyobrażeniach po dzielała zdanie raczej brata swego, niż syna.

Na kilka tygodni jeszcze przed sejmikami brzeskimi, otrzymał JmPan Korycki rozporządzenie, aby dopilnował wszelkich przygotowań, nieodzownie ku temu potrzebnych. Książę Kazimierz bowiem miał całą forszę popierać swoich kandydatów; należało więc zapewnić sobie przedwszystkiem

znaczoną liczbę drobnej, zagonowej szlachty, z osad znajdujących się w tamtych okolicach, jak Huszcza, Tuczna, Krzymowskie i wiele innych. Na podobne wypadki we wszystkich domach magnackich były już pewne stałe, z góry obmyślane i do praktyki zastosowane urządzenia; nie mniej też i w Kodniu, gdzie Księżna Jejmość Wojewodzicowa, od lat wielu różne prowadząc sprawy, tu i ówdzie potrzebowała pokierować interesami — również zaprowadzone były podobne obrządki. Zaraz więc JmPan Korycki nakazał rewizję, oczyszczenie i przygotowanie przyjacielskich mundurów. W magazynie zamkowym cały skład jeden na ten cel był przeznaczony; były tu całe garnitury rozmaitych rozmiarów, składające się każdy z kontusza, żupanu, spodni, butów, pasa i rogatywki, w potrzebie i szablę czasem dodawano. Trzysta kilkadziesiąt takich ubrań zawsze było na pogotowiu; sprowadzona na sejmiki zagonowa szlachta przybierała się od stóp do głów i... oczywiście gardłowała za panem. Po skończonym wszelako sejmiku, ubrania, naturalnie srodze nieraz ponadwyrężane, powracały do składu, gdzie odpoczywały do drugiego sejmiku. Nie dość wszelako było ubrać panów braci na chwilę i każdemu na rękę dać „kapitulację“, czyli gotowym groszem nagrodzić; należało posłać po nich jeszcze i do domu odsyłać, a podczas sejmików dobrze karmić, poić i komplementować. Zdarzało się bowiem nieraz, że szlachta zjadła i wypila, a gdy do nich ktoś inny umiał trafnie przemówić, wręcz przeciwne posypały się wota.

Szli też panowie bracia zagonowi często i bezwiednie, chwala Bogu jeśli w dobrej sprawie; podpisywali się często krzyżami świętymi, czasem koszlawemi i ogromnemi, w kształcie drukowanych, literami, a niekiedy wyraźniej-

szym już charakterem. Na zamożniejszą szlachtę działano wpływem innym: promocyami, namowami i pomocą w wielu sprawach miejscowych.

JMPan Korycki, jekeśmy to wyżej powiedzieli, posiadał wielkie zaufanie swoich pryncypałów, tak księżnej matki, jako i księcia Kazimierza; wszystkie i wszystkich oficyalistów tyczące się polecenia, na jego ręce przychodziły; on je w imieniu państwa wydawał i nad ściśłem wypełnieniem czuwał; jednym słowem, główną był w Kodniu osobą. O ile zaś na to zaufanie zasługiwał, najlepszym dowodem to było, że go szanowali i kochali wszyscy, a nikt nie zazdrościł władzy, prócz jednego może Ostromęckiego, do którego samo tylko gospodarstwo rolne należało, na co również JMPan Korycki miał oko. Znajoma była księztwu zażyłość Koryckiego z okolicznymi obywatelami i szlachtą, że dzień nie przeszedł bez gości u pana Marszałka; w rzeczy więc tak ważnej, jak przedsejmikowe roboty, choć tu już zabiegał i JMPan Mierzejewski i inni, dostawał wszelako i Marszałek instrukcyje bardzo silne do działania i wpływania miejscowemi stosunkami w tym lub owym kierunku, wedle tego, jak chwilowe wymagały widoki.

Z tych powodów, gdy nastaly rokowania, poprzedzające Sejmik Brzeski, mający się odbyć dnia 16 Listopada (1790), najpocziwszy, ale prawdę rzekłszy, dość słabego charakteru i wszystkim chcący dogodzić, Marszałek, znalazł się, jak zobaczymy niżej, w położeniu wielce kłopotliwym.

W pierwszym składzie posłów z Województwa Brzeskiego na sejm 1788 r., wybrani byli: ksiązę Kazimierz Nestor

Sapieha i Matuszewic¹⁾, — w drugim, jak powszechnie mówiono, zalecał Książę Marszałek, aby starano się utrzymać kandydatury JMP. Zenona Wystoucha, Podkomorzego Brzeskiego, i Stanisława Ursyna Niemcewicza, Starostę Rewiatyckiego, którego brat Julian, znany, szanowany powszechnie, zasiadał już na sejmie jako poseł Inflancki. Obaj ci przyszli posłowie byli ludzie w sile wieku, zdolni, gorącego serca i umysłu, a przeto z chwałą dla siebie i z korzyścią dla kraju pracować mogący.

Rzecz była całkiem inna z posłami popieranymi przez stronnictwo Hetmańskie; tymi byli JMPan Paszkowski z Małaszewicz i JMPan Rafał Nietyxa, Chorąży. Pierwszy, znany był z uczciwości, ale *simplex servus Dei*, człek prostoduszny, a do tego nie wielkiej „substancyi“. Wiedziano tyle o nim, że za czasu konfederacji Radomskiej i Barskiej uczciwej sprawie służył; jego krewnego, Karola Paszkowskiego, Książę Wojewoda Wileński, Radziwiłł-Panie Kochanku, ożenił był z córką podstarościego swego, Lutomskiego, hojnie uposażywszy córkę porządną wioską, za przechowanie przez ojca czasu Barskiej zawieruchy owej sławnej, złotej Radziwiłłowskiej kolasy²⁾. Rachowano, że Paszkowski, jako między szlachtą dość poważany, jednogłośnie wybranym będzie, zasiedziały zaś domator i rzeczy nieświadomy da się następnie wedle widoków i woli pokierować z największą łatwością. Co do Chorążego Nietyxy, ten, jeśli nie poważany i nie kochany, był jednak lu-

¹⁾ Nie Matuszewicz — jak zatytułowano jego Pamiętniki — (listy własnoręczne w archiwum Romanowskim, podpisywane wszystkie Matuszewic).

²⁾ „Koniuszyc Brzeski“ — Opowiadanie Kaj. Kraszewskiego.

bionym powszechnie i w każdym pożądanym zebraniu. Miał bowiem umysł bystry, dowcip wielki, o nic nie dbał na świecie i nic go zalterować ni zasmucić nie mogło; śmiał się i drwił całe życie; „facecyonat“, był nie tylko w całym województwie, ale na całej Litwie znany, a koncepta jego jeszcze się do dziś dnia między ludźmi tułają. Pewna rzecz przytem, że był z niego i Wolteryanin, Boże odpuść, i „farmazon“ zaciekły; a gdy mu język zaświerzbiał, gotów i z najświętszej rzeczy koncept sobie uczynić. Mimo tego wszystkiego, lubiono go jednak powszechnie i o towarzystwo jego ubiegano się wszędzie; każdy bowiem woli się weselić, niż smucić, woli śmiać się, niż płakać, albo nawet poziewać, a gdzie był pan Nietyxa, już się tam nikt z pewnością nie nudził.

On to, gdy nastąpiła moda wyszukanych imion, a nowo zaślubiona i przybyła w okolicę żona sąsiada napisała do niego list, w którym wyczytał podpis jej: „Delicya Ossuchowska“, na jej korespondencyą odpowiadając, podpisał się „Specyał Nietyxa“, co od owej pory poszło na Litwie w przysłowie, do tego czasu znane i powtarzane; owa zaś pani zamiast Delicyi, podpisywała się już nadal, jak metryka chciała, Petronella.

Niewiadomo, szczęśliwym, czy nieszczęśliwym może nazwaćby tego człowieka należało, to pewna jednak, że i facecye i humor nie opuściły go aż do chwili skonań. W roku już 1810 gdy był bardzo chorym, na dni kilka przed śmiercią, przybyły do niego dwie krewne, Nietyxanki, ze Słonimskiego; stare już, prawda, i wielce szpetne panny, chciały go pielęgnować w chorobie, może też i nie bez myśli pozyskania jakich zapisów gdyż był nieżonatym. Pan chorąży czule im i serdecznie dziękował.

— Slicznieście kochaneczki zrobiły, — mówił wzdychając — bardzo pięknie, po chrześcijańsku; och! tak, tak; siadajcież tu, siadajcie bliżej mego łóżka, niech ja się na was przed śmiercią napatrzę, to mi na tamtym świecie nie tak strasznym będzie się wydawał... dyabeł!

A gdy już był in extremis, konający prawie, i mówiono, że ludzi nie poznaje, nadjechał JMPan Łopot, sąsiad Nietyxy odwieczny, człowiek poczciwy ale ograniczony, z którego on też zawsze żarty sobie stroił, lubo cały wiek w przyjaźni przeżyli. Chciał tedy JMPan Łopot wejść do pokoju umierającego przyjaciela. Służący zastępuje mu drogę.

— Nie ma Pan po co iść — mówi — do mego Pana, bo już i nie poznaje nikogo.

— At! co mi tam gadasz — huknął gość — żeby mnie nie poznał?! ot to!

— Ale tak, proszę pana — twierdził sługa — nie poznaje nikogo.

— To nie może być! — wykrzyknął przybyły, a wpakowawszy się do pokoju, stanął nad głową chorego i, zniżając głos — jak sądził — aż się szyby zatrzęsły, zawołał:

— Panie Chorąży! czy poznajesz mnie?

Nietyxa podniósł powoli ociężałe powieki, popatrzył chwilę i gasnącym już, cichym odrzekł głosem.

— Poznają.

— Któż ja jestem? — pyta przyjaciel.

— Kiep... — wyszeptał Chorąży i w tej chwili skonał.

To było jego ostatnie słowo.

Utrzymywano później powszechnie, że pan Nietyxa, umierając, wybornie ludzi poznawał.

Tych więc kandydatów, Paszkowskiego i Nietyxę, popierało stronnictwo Hetmańskie.

Na parę tygodni przed mającym się odbyć sejmikiem, JMPan Korycki zbierał się właśnie iść do postrzygalni i foluszu; Szmid, farbiarz niedawno przybyły, i Wejhan, pisarz fabryczny, po wysłuchaniu monity za jakieś wszczęte między sobą spory, mieli się ku rejteradzie, i gdy wychodzili właśnie, zjawiała się na progu nowa figura. Był to stary Szajka, zaufany *bojar*, czyli gospodarz rolny, który powinność swą gruntową do dworu odbywał jazdą własnym kosztem, i obowiązany był na rok sto mil ujechać, konno, biedką albo wozem; w każdych dobrach większych znajdowało się kilku albo kilkunastu podobnych tak zwanych na Podlasiu „bojarów“. Szajka, człek już nie młody, z siwą krótko podstrzyżoną brodą, miał na sobie kożuch i sukmanę, pod pachą czapkę baranią, bat w ręce i skórzaną torbę na plecach.

— Niech będzie pochwalony — rzekł, kłaniając się w pas, i zdjawszy z pleców torbę, oddał marszałkowi.

— Na wieki wieków... a! poczta — mruknął JMPan Korycki, skwapliwie z rąk Szajki odbierając torbę, i już do jej wnętrza sięgał, gdy, przypomniawszy snadź sobie zwykły porządek, położył ją na stole pod oknem i postąpił ku szafie, stojącej przy drzwiach wchodowych. Szafa to była potężnych rozmiarów; za otwarciem jej drzwi szerokich pokazało się wnętrze, opatrzone półkami, szafkami i szufladami, kryjącemi w swych czeluściach bezdennych najróżnorodniejszą i niezliczoną ilość przedmiotów, począwszy od ubrań, butów, czapek, gospodarskich regestrów, kores-

pondencyj i papierów, aż do kluczy, kłódek, świec, smarowidła, sznurków, rzemienia, tysiącznych rupieci, kieliszków wreszcie i butelek. Z tych jedną wyjąwszy, marszałek nalał dobrej miary czarę żółtawej starki i podał ją bojarowi.

— Na — rzekł — napijże się.

Stary czapkę rzucił w kąt pod szafę, bat przy niej postawił, i lewą ręką biorąc kieliszek, drugą przeżegnał się pobożnie, splunął za siebie, a po tych dopiero niezbędnych przygotowaniach jednym haustem wychylił kieliszek; zaczem, oddając go, schylił się znowu w pół do ukłonu, rzeczy porzucone zabrał i, potuptywszy w kółko, zwrócił się do drzwi.

— Niech będzie pochwalony — rzekł wychodząc.

— Na wieki — odparł gospodarz, zamykając szafę, i wnet do poczty się zwrócił.

Przesyłanie korespondencji urządzone było w ten sposób, iż jeden, tak zwany ułan dworski, stał zawsze z koniem w Siedlcach; z Kodnia, czy z Warszawy przysyłano tu listy, które on dalej odwoził z odpisem wracając, oddawał je czekającemu bojarowi z Kodnia lub innemu ułanowi z Warszawy. Ten porządek raz na zawsze przyjętym był w ważniejszych czasach, jeśli księstwo bawili w Warszawie.

JMPan Korycki z niejaką niecierpliwością dobył z torby listy i papiery; było ich nie mało do różnych osób we dworze, a nawet i do niektórych w sąsiedztwie obywateli, do marszałka zaś od księżnej i od księcia Kazimierza. Wziął pierwszy do ręki, przeczytał go uważnie, złożył, i do koperty napowrót wsuwając, mruknął sam do siebie:

— Paszkowski... hm, poczciwy człowiek; Nletyxa...

noo, to ja sam myślałem; kogo lepiej, niż jego?... gęba panie co no! i... statysta!

Wziął się do pisma księcia Kazimierza, ale w miarę czytania coraz większe zdziwienie malowało się na twarzy marszałka; wreszcie, rzuciwszy list, zamyślił się głęboko.

— No! — mruknął znowu po chwili, ramionami ścisnąc — to komedia! Ale... niema co gadać; podkomorzy Wysłouch, to ale człowiek! i starosta Niemcewicz także; no!?! Księżna tych, książe tych, bądź tu mądry! Jak ma być na sejmiku zgoda, kiedy jej między matką a synem niema?

Począł chodzić, zafrasowany, wielkimi krokami wkoło długiego stołu, który środek izby zajmował. Pokój to był obszerny, pierwszy z głównej sieni na prawo; tu jadano, tu się bawiono i tu była kancelarya marszałka; za tą izbą dopiero dalej zajmował on z żoną i dziećmi kilka pokojów. Właśnie gdy tak zadumany chodził, z dalszych drzwi ukazała się żona; była to kobieta w sile wieku, dobrej tuszy z wyrazem poczciwości na nieszpętnej jeszcze twarzy, na której wszelako i pewna energia się malowała.

— Wiesz Imość co? — spostrzegając ją i zatrzymując się, rzekł Korycki.

— No? cóż?

— To panie... awantury! — machnął ręką desperacko.

— Cóż takiego?

— Słuchaj-no Imość — mówił marszałek, oglądając się wkoło — tylko... ani słowa, nikomu.

— Co? — spytała ciekawie pani Korycka — może Helenka za mąż idzie?

— Et — ofuknął mąż — wam tylko zawsze „zamaż“

w głowie! to są, ja mówię, ważne rzeczy! bo to, uważasz, niewiadomo co począć? Książę każe biało, a księżna... czarno!

Zaśmiała się pani Korycka.

— Rób Jegomość szaro, to obojgu dogodzisz.

— Ale?! bo uważasz, sejmiki; trzeba posłów popierać... księżna chce Paszkowskiego z Małuszewicz i Chorażego Nietyxę, a książę Podkomorzego Wysłoucha i Niemcewicza starostę.

— Masz się też czem turbować — odparła żona — alboś ty jeden tylko do tej roboty? czyś znów taki dygnitarz, że kogo będziesz chciał, to już wybrać mają?

— Ba, nie o to idzie — przerwał mąż — ale zawsze będzie przecie, ja mówię, wiadomo, kogo się tu w imieniu pryncypałów forytuje... Hm, nie wiadomo, co robić? i tak źle i tak nie dobrze.

— I na to jest rada — odrzuciła śmiejąc się żona, i podszedłszy bliżej szepnęła — forytuj wszystkich czterech, tylko tak, żeby jedni o drugich nie wiedzieli.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się marszałek — otóż-to prawdziwie białogłowska rada! — I rozweselony uściskał żonę.

W tej właśnie chwili ukazał się na progu Nielepiec.

— Może ja państwu przeszkadzam? — rzekł z uśmiechem, spostrzegając czułą scenę.

— Ale nie; broń Boże! czekaj Waszmość, — mówił, podchodząc ku niemu gospodarz — właśnie miałem po ciebie posyłać.

— A ja widziałem Szajkę — przerwał dworzanin — i chciałem się dowiedzieć, czy niema jakich nowin z Warszawy?

— Nie tak dalece, — ciągnął marszałek, — piszą tylko, że jakoby cesarz niemiecki chce z nami aliansu, ale tu, ja mówię, są ważniejsze rzeczy. Trzeba Waszmości jechać do Brześcia; mamy wszystko prawie do sejmiku przygotowane; główna rzecz, ale *sub secreto*, że księżna każe popierać na posła chorążego Nietyxę; z nim jest teraz na bakier sędzia Koisiewicz, jeszcze za tę sprawę Witanowskich, otóż, ja mówię, dziś na sejmikach palestra wszystko może, bo to panie wyparzone gęby, a Koisiewicz jest nasz, musi zrobić, co księżna każe; więc Waszmość, panie Ignacy, jedź natychmiast i powiedz Koisiewiczowi — bo tego pisać nie wypada — żeby robił co chce, a niech nam nie przeszkadza.

— A któż idzie na drugiego posła? — spytał Nielepiec.

— Hm, tego — zaciął się marszałek — na drugiego posła... ja mówię... no...

Zaturkotało na dziedzińcu zamkowym; wyjrzeli oknem.

— A! stary Drohomirecki — zawołał Korycki i wybiegł na spotkanie gościa.

Nim się przywitają i wejdą, powiedzmy słów parę o nowo przybyłym.

Rodzina Drohomireckich, bardzo stara na Rusi i pono od Włodzimierskich książąt ród swój wywodząca, dziwnym zapewne, ale łatwym do wytłómaczenia trafem, w żadnym herbarzu nie jest wprost wymienioną, lubo w koligacjach z wielu możnemi domami ciągle się o Drohomireckich wspomnienia napotyka; podpisy ich gęsto też natrafiamy w najdawniejszych aktach elekeyi królów, w Łuckich zaś i Chełmskich, tak ziemskich, jako i grodzkich archiwach tranzakcyje rodzinne Drohomireckich sięgają XV wieku. Wszelako za-

pomnieli o nich wydawcy herbarzy z bardzo prostej przyczyny, iż, nie bogaci, nie świecili złotem i dostojenstwami, ale „rycersko i rolno“ tylko służąc swej ziemi, siedzieli w głębi Rusi wśród ludu, a z dziada pradziada, aż do ostatniego z tej linii pana Łowczego, wszyscy trzymali się wytrwale wschodniego obrządku.

JMPan Bazyli Drohomirecki, Łowczy Czernihowski, *in partibus infidelium*, posiadał spory folwark Turów w ziemi Chełmskiej, na granicy samej starostwa Lubomlskiego, które naówczas należało już do hetmana Branickiego; komisarz nawet Hetmański, JMPan M. Uruski, który z kolei Przemyskiem i Jaworówkiem, także Branickiego, zawiadywał starostwem, jako nie lada w różnych sprawach biegły, wynajdował jakoby dyferencją jakąś graniczną między starostwem Lubomlskiem a gruntami Łowczego; ale to za wpływem głównie JMP. Koryckiego szczęśliwie załatwionem zostało. Ztąd między Łowczym a Marszałkiem przyjaźń była wielka i prawdziwie serdeczna; ludzie się nawet tej zażyłości nie mało dziwili, bo JMP. Drohomirecki, pomimo lat siedmdziesięciu, temperament miał taki, że z nim każdy, wedle przysłowia, musiał jak na szpilkach chodzić. Uznawano go powszechnie za najzacniejszego człowieka, ale weredyk niemiłosierny najmniejszego nie znosił fałszu, a przy tem, mimo swej sędziwości, impetyk był tak siarczysty, że się w mgnieniu oka bez pamięci zapalał; że zaś chłop był ogromnej statury i nadzwyczajnej ręki, pod którą nie daj Boże było dostać się komu, więc mu się kłaniano z daleka, a unikano go ostrożnie. Nie raz też okiereszowawszy kogo z prędkości haniebnie, płakał potem jak dziecko i szafował czem mógł, chcąc krzywdę nagrodzić, ztąd i fortuny nadwyreżył nie mało; ale ani go to popra-

wiło, ani wiek tej krwi gorącej jeszcze nie ostudził. Odsobniony od ludzi, żył on samotnie prawie ze swymi poddanymi, Rusinami jak on, co by za niego w ogień pójść byli gotowi, jak ojciec z dziećmi, i dowodzić lubił, że chłop w prostej sukmanie, co z dziada i pradziada na jednym siedział zagonie, a często gromił wraz z dziedzicem nieprzyjaciół kraju, lepszym był, wedle niego, i bez dyplomów szlachcicem, niż niejeden tegoczesny z łokcia i kwarty, a z cudzego dobra panosza, co się tarza w złocie, jak młyński szczur w mące.

Łowczy Rotmistrzem był niegdyś, i jak mówił, służył z „Demulierem“¹⁾ i z księciem Kajetanem Sapiehą; ztąd stary Opoczyński witał go zawsze w Kodniu z niekłamaną uciechą.

Siostra Łowczego, Elżbieta, była za Podsędkiem Ziemskim Podolskim, Adamem Weryhą Darowskim, dziedzicem Hlibowa i Haracyowicz; Łowczy zaś, wdowiec, jedyną miał córkę, Helenę, która wówczas bawiła na dworze księżnej Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, Wojewodziny Braclawskiej, w Siemiatyczach.

JMPan Drohomirecki, jakieśmy wyżej powiedzieli, był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, nieco pochyło się trzymający, siwy jak gołąb; ale co nadawało niezwykłą jego fizyognomii i osobie cechę, to wąsy, po których go wszyscy znali, gdyż drugich podobnych, ręczyć można, że w całej Litwie i Koronie nie było. Wąsy te były białe jak mleko, a tak ogromne, że JMPan Łowczy, piąte palce obu rąk za

¹⁾ Tak nazywano generała Dumouriez (Klaud. Ferd.), który przez ministra francuzkiego Choiseul'a wysłany był w 1770 r. dla popierania Konfederacyi Barskiej.

pas włożywszy, mógł jednak swobodnie końce ich pokręcać; to też kto raz w życiu widział Łowczego, już go nie zapomniał do śmierci.

Nielepiec, który niedawno na dwór Kodeński przybył, a gościa tego ujrzał raz pierwszy wysiadającego teraz ze starego skarbniczka, osłupiał ze zdziwienia.

— A toż wasy! — wykrzyknął mimowolnie — jeszcze też takich, jak żyję, nie widział!

Zaledwie tych słów domawiał, weszli panowie i wnet go Marszałek przedstawił poważnemu gościowi; Drohomiński z pod nawisłych brwi białych spojrział uważnie.

— Czyś Waćpan nie krewny tego Nielepca, co był w cudzoziemskim autoramencie w szarży pułkownika, za przeszłego króla, i gdzieś w niemieckich krajach bił się razem z panem Hetmanem?

— To był mój ojciec — odrzekł pan Ignacy.

— A, znałem — mruknął Łowczy, i zwrócił się do Koryckiego.

— Mam kłopot, szanowny Marszałku! jak mi Waś po starej przyjaźni nie dopomożesz, to nie wiem, co pocznę.

— O cóż to chodzi? — spytał gospodarz.

— At! *beda i hody*, — zarywając po rusińsku, swoim zwyczajem, ciągnął gość. — Ze sześć lat temu będzie, oczmucił mnie ten farmazon, Chorąży Nietyxa, i zarwał na pięćset czerwonych złotych; dopominam się i dopominam, kpinami mnie zbywa a pieniędzy nie daje; więc cóż robić? pozwałem go i mam sprawę w rejestrze *summarii processus* w Grodzie Brzeskim, bo to najprędza ekspedycya — no, z obligu; ale sejmiki za pasem, a na tydzień przed sejmikami sądy, jak wiadomo, ustają. Muszę więc spieszyć do Brześcia. Ot, *ne miła baba kłopotu, kupyla porosia*; a tu

z drugiej strony, prosiłem księżnej Wojewodziny Braclawskiej, żeby mi pozwoliła odebrać już moją dziewczkę; przebyła tam lat kilka, będzie dość już tej edukacyi, i mam do tego powody, żeby do domu wróciła: a u mnie też pustki w domu, *bez hospodara chata płacze*, tak samo i bez gospodyni. Wojewodzina jutro wyjeżdża do Ostroga, moja Helena zostanie sama w Siemiatyczach, jeśli jej zaraz nie zabiorę... no, i widzisz Jegomość, choć ty siadłszy płacz! i tu pilno, i tu pilno, trudno się rozerwać na dwoje...

— Ee, to my na to poradzimy — zawołał wesoło Korycki — nie frasuj się, mój Łowczy kochany! wszystko to, ja mówię, da się uregulować.

— Ja to na was i rachowałem — podając rękę, rzekł Drohomirecki — ale jak zrobimy?

— Najprostszy sposób — odrzekł Marszałek — Waszmość, Panie Łowczy, ruszaj sobie do Brześcia i siedź tam póki trzeba, a jutro moja baba *summo mane* pojedzie do Siemiatycz, zabierze ztamtąd Helenkę i będziemy tu czekać Waścinego powrotu.

— No, toś mi kamień zdjął z serca, kochany Marszałku — przerwał stary.

— Ale — dorzucił Korycki — jutro właśnie pan Nielepiec jechać ma do Brześcia, może się Waćpanowie razem zabierzecie.

— Bardzo chętnie — odrzekł Łowczy — pojedziemy razem.

— Będę służył — rzekł, skłoniwszy się lekko Nielepiec.

— Tylko — dodał żywo, zwracając się ku niemu Korycki — zwijaj się, panie Ignacy, żwawo w Brześciu i wracaj, ja mówię, co najrychlej: a powiedz temu pędziwi-

chrowi, Narbuttowi, co już tam trzy dni dla sprawy kahału Brzeskiego siedzi i pewno gdzieś sobie z Suzinem i Machwicem baraszkuje tylko, żeby też wracał z Waszmością, bo Koreywy niema, a tu...

— Gdzież Koreywa? — spytał gość

— Z Raciborskim do Prenu pojechał, stado zlustrować i obejrzyć młode, co się ma wziąć na zimę; otóż — dodał Korycki, zwracając się jeszcze do Nielepca — wracajcie, nie bawiać, bo tu pisaniny huk, i gości być może nie mało, i roboty teraz przed sejmikami aż strach, a ja sam nie dam rady.

Wśród tej rozmowy poczęto do wieczerzy nakrywać i gospodyni nadeszła. Projekt Koryckiego, co do Siemiatyckiej podróży, ostatecznie przyjętym został i postanowionym; zabierano się do stołu, a Marszałek z niezgłębionej szafy pospieszył wydobyć starą i gdański goldwasser; znaleźli się też w sali, razem, z zapachem wnoszonych zrazów: Rajmer, Zdzitowiecki i, jak cień jego nieodstępny, Nassalski, chudy, blady, z długim, nieco rumieniącym się, jak majowa jutrzienka, nosem; za nimi wkroczył ojciec Ambroży i nakoniec wilczym krokiem wsunął się Sumiński; kieliszek z wódką poszedł w kolej z rąk do rąk, ksiądz cicho a żwawo benedykcyę odmówił, zajęto miejsca u stołu.

Dopóki zrazy były na półmisku, zupełne panowało milczenie, dopiero po ich sprzątnięciu rozpoczęła się rozmowa.

Milczenie przerwał najpierwszy Bernardyn:

— Miałeś, panie Marszałku, wiadomości z Warszawy?

— Żadnych tak dalece — odparł Korycki.

— Ja miałem, i bardzo ważne — z tryumfującym uśmiechem ozwał się Sumiński, i potoczył wzrokiem, śle-

dząc wrażenie; ale nikt jakoś, nawet ojciec Ambroży, nie zdawał się tych nowin Sumińskiego być bardzo ciekawym.

— Bardzo ważne nowiny! — powtórzył nadzorca fabryki — piszą mi, że przecież na pewno możemy cieszyć się, że stan miejski uzyska wszelkie prerogatywy, jakie do tej pory szlachta sobie tylko przyznawała.

— Aa, to parso ładna rzecz! — wyrwał się Rajmer — ja sobe saras będę kupowałem wesz, i będą mne robić dopytatem.

Wszyscy jakby na komendę roześmieli się serdecznie; Rajmer i Sumiński nieco się zmieszali, a stary Łowczy mruknął basem:

— *Wo Włodawi ohoń horyt, a u Kijowi dymno!* — i dodał głośniej:

— Mądry Sejm; a powiedz-że mi Wasze, skoro masz wiadomości tak dokładne, cóż tam postanowią dla chłopów?

— Dla chłopów — odparł Sumiński — mają też coś zrobić, ale to... cóż tam, mniejsza rzecz; mieszczaństwo grunt, a chłop, co? nieoświecony naród.

— Mój panie — ozwał się Łowczy — kiepski to byłby, z przeproszeniem za słowo, taki sejm mieszczański, gdyby przybyszów z całego świata obdarzano przywilejami, a zapomniano o poczciwych braciach naszych, co z nami i ojczystą skibę orzą, i kraju nieraz bronią, i jeśliby tam ich zwać miano, jako Wasze sam, nieoświeconym narodem, bo i oni rozum swój mają; ale ja się spodziewam, że tak źle nie będzie...

Tu pani Korycka, chcąc przerwać dysputę, która mogłaby się stać zbyt gorącą, dała znak do wstawiania od stołu; gdy więc ławy i stołki runęły, rozmowa zagłuszona

została, poczęto się żegnać, kłaniać i odchodzić, a z gospodarzem Łowczy tylko jeden pozostał; obejrzawszy się więc wkoło, rzekł do Marszałka:

— Muszę ja też Waszmości ważną nowinę powie-
dzieć.

— O? co za nowinę? — spytał zdziwiony Korycki.

— Ot, Bogu dzięki — mówił Łowczy — doczekałem się przecie przed śmiercią, że los mojej Helenie zapewnię.

— Jako? za mąż ją wydajesz?

— Wydaję.

— Za kogo?

— Ha, wola Boża! — odparł stary, — złożyło się to niespodzianie; oświadczył afekt swój JmPan Ruszczyc.

— Namiestnik? — spytał marszałek.

— Nie; ten z Janowicz pod Siemiatyczami, Podstoli. Korycki zwrócił się żywo do Łowczego:

— Żartujesz chyba!

— Broń Boże! alboż co?

— Ależ bój się Pana Boga! — prawił marszałek. —

Stary grat!

— Ot, stary! co Waszmość gadasz? Już cię nie młody, no, w średnim wieku, człek poważny, personat...

— Zmiłuj się, lat pięćdziesiąt z okładem!

— To głupstwo, — mruknął Łowczy, — fortuna prawie pańska, człek rządny.

— Skąpy, pyszałek, — przerwał Korycki, — i opinii u ludzi nie ma; nie gub dziecka, to się na licha nie zdało.

— Co Waszmość gadasz? co gadasz? — mówił, ozywając się, Łowczy — kalumnie jakieś powtarzasz... co to nie gub dziecka! toż to los i opatrność; masz chyba za-
wiść jaką. Ja mu też dużo jestem obowiązany: kiedym się

bił w Barskiej, on mojej fortuny rozszarpać nie dał; no, a teraz jak okazał chęć swoją i sentymenta, nie miałem co mówić, a Helena serce ma wolne, rozsądna jest dziewczka i posłuszna; ot tak się i złożyło.

— I to już na pewno? — spytał Korycki.

— W przeszłym tygodniu, kiedym był w Siemiatyczach, Wojewodzina to jakoś ukartowała, niech Jej Bóg nagrodzi; zrobiły się zrekowiny.

— Już? — rzekł marszałek zdziwiony. — Ha, — dodał, — jeśli tak, to szczęście Boże! śmierć i żona od Boga przeznaczona; ale wybacz, mój Łowczy! mówisz, że Ci nie dał rozszarpać fortuny; cóż za dziw? toć ją pono naówczas trzymał od Waszmości w arendzie, a tyś się włóczył po świecie; i ludzie gadają, że się ztamtąd pięknego dorobił grosza!

— At, co ludzie mówią! — odparł, machnąwszy ręką Drohomirecki — arendował, to zarobił; tanio czy drogo, ale się wypłacił; a gdyby tak wioska bez gospodarza została, coby było? he?

— No, jak już po zaręczynach — kończył marszałek — niema co deliberować.

Po krótkiej jeszcze rozmowie, gdy gość odszukał swoją lisią z uszami kapuzę, wyszli obaj panowie do sieni, gdzie stary Opoczyński, służbista, czekał już na nich z ogromnym pękiem kluczów i latarnią.

— Jak się masz, stary? — ozwał się wesoło i uprzejmie, spostrzegając go, Łowczy.

— Upadam do nóg Wielmożnego Rotmistrza — odrzekł murgrabia, kłaniając się nisko i prezentując potężną łysinę.

— No, świeć że nam i prowadź — przerwał marsza-

łek, wiedząc, że gdyby się Opoczyński rozgadał, mogli-by w chłodnej sieni stać do północy.

Murgrabia, mrucząc coś pod nosem, ruszył na przód po wschodach, a znalazłszy się na górnym kurytarzu, schylony w pół, przy latarce odszukał klucz i otworzył niewielką narożną izdebkę. Stało tu żelazne łóżko, bardzo misternie ozdobione wykrętami, nakryte białym z kolorowymi brzeżkami kocem, stolik, na nim w mosiężnym lichtarzu zwyczajna łojowa świeca, kilka drewnianych prostych na toczonych nogach stołków, których oparcie, wycinane po bokach we floresy, w środku miało także do ujęcia ręką wycięte serduszko. W rogu izby piec z białych kafli, mających na sobie malowane niebieskie figurki i herby Sapienhów, w kącie drugim miedziany dzban ze świeżą wodą, kubek i potężna misa. Oto cały sprzęt gościnnego pokoju, najściślej prawdziwy, w domu magnackim w owych czasach, nie przeznaczonego wprawdzie dla dygnitarzy, zawierającego jednak wszystko, czem się większa część gości najwyborniej zaspakajała.

Gdy już, pożegnawszy się, odszedł marszałek, stary murgrabia zamknął drzwi za nim, postąpił parę kroków i chrząknął.

— Może-by wielmożny Rotmistrz pozwolił — ozwał się — to-bym buty ściągnął.

— Bóg zapłać, — odparł Drohomirecki — przyślij mi Wasze lepiej jakiego wyrostka; bo, *primo*, taki ty stary, jak i ja, a *secundo*, jesteś mi towarzyszem z naszej chorągwi, byliśmy przecie razem pod Lanckoroną, to już jakoś zgola nie wypada, żebyś mi tę posługę czynił.

— Ii! to tam, proszę pana Rotmistrza, mała rzecz, bajki! — rzekł Opoczyński, stawiając na stołku latarkę

i już coś przeżuując w ustach — posłużyć, panie tego, komu warto, to warto; a tej służby u nas to pełny zamek, panie tego, a jak zrobić, niema komu, zaraz do Opczyńskiego; to, panie tego, u nas *cała kapela, a jak ja nie nastroję, nikt nie zagra.*

I gestykulując, podszedł do Łowczego, aby mu dopomódz do zdjęcia ubrania.

— Bo to, panie tego — ciągnął — ta służba, żaden kąta nie pilnuje; pan marszałek za dobry na nich; młodsze to latawce, panie tego, raz w raz do miasteczka, a te nowomodne kamerdurnie, to, panie tego, wszystko panowie! Albo ten księcia pana faworyt. *Wuran* czy *Baran*, dyabli jego wiedzą, może gdzie i był przy baranach; ah! pewno i nie szlachcic, a taki bundiuczny, taka mina, tak się stroi, panie tego, co *kudy!* jeszcze lepiej, niż pan szambelan Tołoczko!

— Bo to, mój kochany — przerwał Łowczy, kiwając głową — jak się teraz panowie w niemieckie pludry postroili, to już szlachcic, czy wychrzta, wszystko za jedno, *ambo meliores.* No — dodał — a jakże tam Waścina ręka?

— Jak na słotę, to, panie tego, dokucza.

Tu jął sąźnić lewą ręką machać na wszystkie strony.

— Ale — mówił — *trochu tam ruchać* mogę, bo to ten dragon bestya, jaby *sia* jemu nie dał, ale on mnie minął, a potem jakoś, panie tego, na odlewkę ciął, bo ja *sia* zapatrzył na naszego księcia, co go ktoś z naszych z boku postrzelił¹⁾.

— Jakto z boku? — przerwał Łowczy — to bajkę splekli, nie wierz temu...

¹⁾ Mówiono o tym wypadku wiele w owym czasie.

— Panie! — zawołał Opoczyński i palec na palec założył — przysięgnę, że to ktoś z naszych wypalił, czy ono panie wypadkiem, czy *sumyślnie*, kto jego wie? ale przecie w tym popłochu...

— At — machnąwszy ręką, rzekł Łowczy — wieczny mu pokój! już lepiej o tem nie mówmy. No, dobranoc ci, mój Opoczyński.

— Upadam do nóg pańskich — odrzekł stary, biorąc latarkę i klucze, i, ku drzwiom postępując.

Na wschodach gestykulował jeszcze i, niby w jedną i w drugą wskazując stronę, mruczał sam do siebie:

— Bo gdzie to! panie tego, tu nieprzyjacieli, tu Demulier, tu my, a tu dyabli wiedzą zkad .. pęc i ot tobie masz!... Wieczne odpocznienie!

Westchnął z cicha, kiwając głową.

Wszedł wreszcie do swej izdebki na dole, obejrzawszy wpierw dobrze, czy główne drzwi od sieni zamknięte były, jak należy. Tu klucze na kołkach porozwieszał, latarkę zgasił i, rozebrawszy się przy małym świecy jarzącej ogarku, których kawałki skrzętnie zwykł był przechowywać, do snu się ułożył. Już świeca zagasła, a słychać było jeszcze mruczenie starego: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie.... o! mysz bestya, panie tego, skrobie! trzeba drugą *pastkę* postawić.... święć się imię Twoje...” szeptał coraz ciszej a ciszej i wkrótce skrzypiący tylko ruch zegaru towarzyszył skrobaniu myszy i chrapaniu starego murgrabiego.

III.

Nazajutrz JMPan Korycki zajęty był cały dzień prawie pilnowaniem obijania ścian w gabinecie księżnej na Placencji; znalazł bowiem w skarbcu zapomniany materiał zapaśny, sto dwadzieścia łokci bardzo pięknego cycu czyli kartunu niebieskiego, oraz podobnejże w kratki kitajki na franki. Ucieszony, że księżnie sprawi niespodziankę, zapomniał o Bożym świecie; aż ku wieczorowi, gdy wracał do zamku, już kościół minawszy, usłyszał za sobą turkot bryki, od strony Brześcia jadącej, i dopiero przyszło mu na myśl, że coś długo Nielepiec i Narbutt nie powracają. Zbliżyła się tymczasem bryka, widocznie żydowska, za którą szły uwiązane dwa powodne konie. Właśnie sobie marszałek robił w duchu uwagę, że szpak coś bardzo podobny do tego, którego Narbutt miał, gdy przypatrzywszy się, poznał już istotnie i samego Narbutta, a z nim i Nielepca na bryce, która też zatrzymała się zaraz, podjechawszy bliżej.

— Cóż znowu? — zawołał Korycki — jedziecie Waszmość najętą bryką, jak widzę, a konie luzem idą; to mi dopiero pięknie, po kawalersku!

Kiedy Nielepiec na drugą stronę bryki powoli wysiadać zaczął, Narbutt wyskoczywszy żywo, powitał marszałka.

— Stał się *casus* wcale niespodziewany — rzekł — szczęście, że się na małej rzeczy skończyło.

— Co to? — zawołał Korycki, spostrzegając podchodzącego powoli z ręką na temblaku Nielepca — jak się masz? rąbałeś się? co? a to pięknie!

— Cała historia — przerwał żywo Narbutt. — Dziś

około dziesiątej zeszliśmy się na wódkę i śledzia u Koisiewicza: ja, regent Rzeszko, stolnik Suzin z Laskowskim, Szczepanowski i jeszcze ktoś... a! Marcin Chociszewski; wchodzi Nielepiec ze starym Drohomireckim; gadu, gadu, Koisiewicz kazał przynieść wina, wypiliśmy ledwie po lampce. Nielepiec wziął gospodarza na bok, wyszli do drugiej izby, tam gadali czas jakiś i wracają; na progu mówi jeszcze Nielepiec do sędziego: „No, więc Nietyxa, kiedy tak, na pewno utrzyma się na sejmiku“. Stary Drohomirecki, jak to usłyszał, zczzerwienił się i krzyczy do Nielepca: „Co? tego heretyka, kpa, forytujesz Waszmość na posła?“ Nielepiec zdziwił się nieco, ale nie wdając się w długie wywody, mówi spokojnie: „Komu może kiep, mnie nie; czemu nie ma być posłem?“ — „Bo farmazon i oszust! — krzyknął Łowczy — dziwię się, że go Waszmość bronisz“. — My osłupieli; Nielepiec się tylko uśmiechnął. „Niech się — mówi — pan Łowczy nie dziwi, bo to nie jasełka; bronie go, bo tak mi się podoba“. Na to Drohomirecki, zerwawszy się ze stołka, krzyczy już w pasyi wielkiej: „Głupie Waszmości przekonanie, a kto łajdaka broni, to i sam nie lepszy“. Tu już Ignacy się obruszył i coś mu bąknął grubszego.

— Powiedziałem mu tylko — przerwał Nielepiec — że każdemu zdanie wolne, a kto kogo lży albo infestuje, własną skórą odpowiada.

— Łowczy to usłyszawszy — kończył Narbutt — jak opętany skoczył, wywijając tem swoim szabliskiem; na szczęście Nielepiec się szybko zastawił: my się rzucili broń, ale stary wpadł z takim impetem, że Ignacy, nim się obejrzał, już dostał po łapie.

— Komedya! — mówił słuchając opowiadania Kory-

cki — *komedyja!* *ja powiadam;* a to stary niepoprawny! no i cóż?

— A no — ozwał się Nielepiec z uśmiechem — nim tam uspokoili trochę Łowczego, my wyszliśmy i już nie wiemy, co się dalej stało.

— Ręczę — wołał, poruszony mocno, marszałek — że stary sam teraz swojej porywczosci żałuje; ale to szalony impetyk, chociaż zacny człowiek. Wybacz — dodał ściskając Nielepca — to tak, jakby z mojej przyczyny.

Ruszono się do zamku, gwarząc już nieco weselej; troskliwy Korycki odprowadził Nielepca do pokoju, w którym razem z Narbuttem mieszkali. Rana była dotkliwą, lecz wcale nie groźną, a że na razie opatrzona w Brześciu, już ją tak na tę noc zostawiono, rano zaś miał jeszcze Rajmer obandażować na nowo.

Niespodziewany ten wypadek zmartwił trochę szanownego marszałka, cenił bowiem wysoko Nielepca, wiele w nim upatrując zalet i pięknych przymiotów, które w tym właśnie wypadku, jak sobie rozmyślał, okazały się jawnie. Naprzód, że działając w imieniu samego Koryckiego, nie zastawiał się wcale jego osobą tam, gdzie-by mógł przez to zapewne dobre stosunki starych przyjaciół na niejaki szwank wystawić. Tu był wielki takt i umiarkowanie. Dalej, że lubo młody, w zajściu tak gorącem nie tylko się nie uniósł, broniąc się jedynie impetowi starego, ale w całym zachowaniu się swoim okazał nawet rozsądną wyrozumiałość dla znanej powszechnie zapalczywości Łowczego, którego tym sposobem wiek i zasługi uszanować potrafił. Krótko mówiąc, w rozumowaniu marszałka Nielepiec wyszedł z tego zajścia świetnie, gdy stary Drohomirecki, jak to powiadają, pokpił sprawę widocznie. I rzekł sobie w du-

chu JMPan Korycki: *Quid virtus sine prudentia?* Bo cenił Łowczego, jako człowieka z charakterem niezłomnym i ze wszech miar godnego szacunku, gdyby nie ta popędliwość, która go i w późnym wieku wcale nie opuszczała; co wszelako mniej się dziwnem wyda, zważywszy, że mimo lat, temperamentowi jeszcze i siły odpowiadały wybornie. Bądź co bądź, postanowił sobie Korycki wszelkiemi sposobami za przybyciem Łowczego sprawę tę załagodzić, do czego spodziewał się dojść tem łatwiej, ile że stary Drohomirecki serce miał miękkie, a jak zapalał się, również prędko ostygł.

Zgryzł się jednak tem zdarzeniem marszałek, a niecierpliwie czekając przyjazdu Łowczego i nie mogąc spokojnie na miejscu usiedzieć, krzątał się nazajutrz po całym Kodniu od samego rana. Znano go już z tego względu doskonale, że jeśli żółtawa cera jego ukazywała się bardziej niż zwykle do cytrynowej barwy zbliżoną, pomimo całej wrodzonej dobroci i łagodności, gderał natenczas niemiłosiernie; rzecz niewątpliwa, że nieborak cierpiał czasem na wątrobę i raz nawet z polecenia księżnej i rozkazu jej wyraźnego, jak to opowiadał często, jeździł do *K lisbatu*. Owoż, czego JMPan Korycki najbardziej nie lubił, to oczekiwania, jeśli mu zwłaszcza coś na sercu leżało, a teraz właśnie oczekiwał powrotu żony i przyjazdu Łowczego; jak mógł więc czas zabijał, łażąc z kąta do kąta. Był jeszcze na rynku, wracając od budujących się właśnie sklepów, kiedy równo z południem wysunął się z kuchni zamkowej na dziedziniec zasmolony ale pucółowaty i opasły kuchta, oznajmując obiad i waląc w bęben co siły z wyborną wprawą i nieudanem zadowoleniem.

— Ten osieł Mementy — mruknął marszałek, spozie-

rając na pektoralik — dyabli wiedzą po jakimu bębni; jeszcze niema dwunastej.

I posunął się ku zamkowi.

Wszyscy już byli zgromadzeni na sali, nie wyjmując Nielepca z ręką na temblaku, — gospodarza tylko oczekiwano. Obiad w milczeniu, lub przerywanych tylko rozmowach, zszedł do połowy, gdy zaturkotało na dziedzińcu. Marszałek zerwał się na równe nogi i wybiegł do sieni; słychać było gwarne powitanie, otworzyły się drzwi, i, nie tylko w tej chwili ustał brzęk sztućców i talerzy, ale i usta wszystkie jakoś oniemiały. Przyczyną wrażenia tego nie była zaiste znana dobrze korpulentna postać pani marszałkowej, ale raczej osoba, co ją przy wejściu do sali właśnie poprzedzała. Była to łowczanka, Helena Drohomirecka; kto na nią spojrzał, widział naprzód jedynie dwoje czarnych wielkich oczu, w których zdawało się skupiać całe jej jestestwo i życie; oczy te, jakby coś mówiły, badały i do dna duszy sięgając, zapytywały; było to może złudzenie, bo nietylko dziwnie regularne i wdzięczne rysy, ale i postać cała składać się musiały na to silne a nieuniknione wrażenie, jakie na każdym prawie wywoływał widok tej prawdziwie pięknej istoty.

Szybko przeszły panie mimo stołu, lekko się zebrałym biesiadnikom skłoniwszy, za nimi podążył żwawo Korycki do drugiego pokoju. Mimo cichych szeptów powszechnego uwielbienia i niejednego może jeszcze cichszego westchnienia (nie ręczylibyśmy nawet za starego rachmistrza), słychać było dolatującą z drugiego pokoju urywkową i bardzo żywą rozmowę, w której parę razy wyraźnie nazwisko Nielepca było wspomniane; słychać było kilka prześlicznego

dźwięku wykrzykników i przeważający na ten raz, choć umyślnie przytłumiany, głos JMPana marszałka.

W sali rozmowa u stołu zaczynała być już gwarniejszą; nowe życie jakieś i zupełnie bezwiedne rozweselenie w biesiadujących wstąpiło; dla czego? Nad tem zadumała się właśnie mocno łysa a badawcza głowa starego rachmistrza, gdy wszelkie kombinacje jego przerwało wejście gospodarstwa wraz z nowoprzybyłą, dla zajęcia miejsc u stołu.

Wobec wyżej opowiedzianych wypadków, zbytecznem zdaje się dodawać, że pierwsze przy wejściu pięknej łowczanki wejrzenie skierowało się na rannego; zaledwie próg przestąpiła, kiedy oczy Nielepca spotkały się z oczyma panny Heleny i... już było po nim. Niezaprzeczenie, nie zdawał on sobie bynajmniej sprawy ani z wrażenia, ani z uczuć, jakie go pod promieniami tych niezgłębionych oczu i tej całej postaci ogarnęły. Ale po nim było, zginął nieborak; bo choć o tem nie wiedział, stracił od tej chwili wolę swoją i swobodę, które stosować się już nadal miały do nowych warunków i niedających się przewidzieć okoliczności. Dusza jego w tej chwili skupiła się w wejrzeniu tylko, i sama myśl, nigdy, zda się, nie spracowana, zamilkła.

Ogólna i głośna rozmowa zbudziła go jakby ze snu pod sam koniec obiadu; z niebiosów nieokreślonych marzeń spadł na ziemię i myśleć zaczynał. Po krótkim poobiednim gwarze i ruchu, porozchodzili się domownicy wszyscy, prócz Narbutta, który czekał na Nielepca, kiedy ten, roztargniony i zadumany, sam nie wiedząc dla czego, z miejsca się nie ruszał. Skorzystała z tej chwili łowczanka i, zbliżając się śmiało, wyciągnęła doń swą białą rączkę.

— Panie Nielepiec — rzekła z wdzięcznym uśmiechem — pierwszy raz się widzimy, a ja mam już wielką prośbę do pana.

Panu Ignacemu tak silnie w tej chwili krew uderzyła do głowy, że jej tętnienie zagłuszyło niemal wdzięczny głos panny Heleny, i zmieszany, ledwie zdołał wyszeptać:

— Co pani rozkaże?

— Niech pan raczy o tem zajściu z moim ojcem zapomnieć, wyrozumiałym być, przebaczyć...

— Ależ pani — przerwał Nielepiec — ja nie mam najmniejszego żalu do pana łowczego...

— Mój ojciec jest nadzwyczaj żywy, prędko — mówiła panna — prócz tego, tyle miał zmartwień w życiu, odosobniony od ludzi...

— Niech pani wierzy — odparł żywo Nielepiec — że ja żadnego resentymentu do szanownego ojca pani w duszy mej nie chowam; znana jest powszechnie zacność jego charakteru, również jak i ta... krewkość, a zresztą ja także mimowolnie mogłem dać jakąś przyczynę...

Łowczanka uśmiechnęła się smutnie.

— Pan jesteś bardzo szlachetnym — rzekła — ale... ja znam mego ojca; dobry, zacny, kochany... wszelako... impetyk, to wiadomo, i w pasy trudno się hamuje; pan marszałek mi całą rzecz opowiedział. Więc pan się gniewać nie będziesz? — spytała jeszcze, czarującym wzrokiem jakby na uwięzi trzymając pana Ignacego.

— Ależ pani... zaręczam...

— Pan się z ojcem pogodzisz?

— Niczego więcej nie pragnę.

— Dziękuję — dorzuciła łowczanka — wdzięczną będę panu przez... całe życie.

Tu podstąpili oboje państwo Koryccy, nieco przedtem zajęci, i wmieszali się do rozmowy, a niebawem Narbutt z Nielepcem znaleźli się w swej izdebce na górze.

Pan Ignacy usiadł przy oknie i gdzieś w dal wpatrzony zapomniał o Bożym świecie. Narbutt chodził, świstał, tupał, oddalał się, powracał, i spoglądając od czasu do czasu na przyjaciela, uśmiechał się pod wąsem nieznanie.

Nazajutrz i dnia następnego Nielepiec coraz bardziej smutnym i zamyślonym się stawał; tęsknota jakaś ogarnęła go widocznie. Narbutt patrzył tylko i czekał; aż trzeciego dnia wieczorem, gdy pan Ignacy, jak zwykle, albo chodził wielkimi po izbie krokami, albo siadał nieruchomy, a zawsze milczący, Narbutt, wyczerpawszy już widać cały zasób swojej cierpliwości, pierwszy przerwał milczenie:

— Źle, widzę, koło ciebie, mój kochany Ignacy.

— Źle? co źle? — podnosząc zdziwione oczy, spytał Nielepiec.

— Co to gadać — mówił Narbutt — to jasna rzecz, że oczy panny Łowczanki i tobie zawróciły głowę.

— Jako i mnie? — żywo ozwał się Ignacy.

— I tobie, jak każdemu, co ją zobaczy, ale to sobie wybij z głowy.

— Dla czego?

— Dla czego? boś przybył tu niedawno i pierwszy raz ją widzisz; a my znamy pannę Helenę; przesiadywała tu kilkakroć po tygodniu i więcej, a co było młodzieży, mało za nią wszyscy nie poszaleli; ale to — dodał żywo i zapalając się — to głaz, kamień, lód!

Uśmiechnął się Nielepiec.

— Hm! coś, panie bracie, bardzo to mówisz gorąco; ja tego lodu nie widzę.

— Lód! — powtarzał gwałtownie Narbutt — powiadam ci: lód! To tak, jak nam ksiądz fizyk pokazywał w konwikcie: kawałek lodu, obtopiony na kształt i podobieństwo palącego szkła, co promienie słoneczne ściąga, skupia... wszystko w koło siebie pali, a samo, ot... tak, jak ona, zimny lód!

I mocno ożywiony Narbutt chodził po izbie wielkimi krokami.

— Nie rozumiem — ruszając ramionami, odrzekł towarzysz; — zresztą, cóż mnie to obchodzi? — dodał po chwili.

— Ale ba! obchodzi; bo ja to widzę, żeś się, mój kochany Ignacy rozmiłował na dobre; a ja, jako przyjaciel, ostrzedz cię muszę. Daj pokój; po co masz sobie życie zatruwać?

Na to zerwał się Nielepiec na równe nogi.

— Aha! — zawołał gwałtownie — wiem ja, widzę o co ci chodzi: tyś sam w niej rozmiłowany... ja ci przeszkadzam... a jeśli tak, niech nas Boska wola i szabla rozsądzi!

I stał, pałającym wzrokiem śledząc każdy ruch Narbutta; ale pan Jan już się był uspokoił i z pierwszego w rozmowie zapału całkowicie ochłonął; gorzko się uśmiechnął tylko i rzucił ramionami.

— Powoli, powoli! — rzekł — w gorączce jesteś, mój kochany Ignacy; uspokój się, siadaj. Oho! jak ci to pilno; że ja dziś o łowczance nie myślę, daję ci na to słowo, parol kawalerski. Nie zapieram się, że gdym ją pierwszy raz zobaczył, tak, jak i ty teraz, małom nie oszalał,

ale mnie prędko ostudziła! Ach! — mówił, ożywiając się znowu — co w niej jest? ja nie wiem; niby ot tak, prosta, śmiała... no, a dostępu do niej niema! To *hic mulier* — dodał, śmiejąc się i rozweselając, — kto ją dostanie, oddaj się Bogu! charakter kamienny, jak u tatula, a żebyś wiedział, jak strzela z rusznicy! cha! cha! to w kąk Chorąży Buchwiecki i nasz rotmistrz Wereszczaka!

— At! pleciesz — uśmiechając się już, rzekł Nielepiec.

— Ale nie, naprawdę; wszyscyśmy na to patrzyli, kiedy tu w przeszłym roku bawiła. Na stawie, pod zamkiem, pokazały się nurki; wiadomo, jak to ptak ostrożny, a tem bardziej, że tu kto żył, palił do nich na próbę; tylko to głowę na wierzeh wysadzi i znów bulk pod wodę. Więc któregoś dnia pod wieczór strzelali znowu, a łowczanka, właśnie z marszałkową wyszedłszy przypatrywać się tej zabawie, dawajże z nas żartować i docinać, że nikt strzelać nie umie, że to wstyd dla rycerskiej młodzieży, i śmiała się bez końca. Korycki tedy niby znów żartem powiada: — Ot, kiedy tak z nas Waćpanna dworujesz, a sama podobno strzelać próbowałaś, to pokaż, co umiesz. — Dobrze — odpowiada — proszę o pańską tę małą ptaszynkę; tylko — dodaje — żeby była kulą nabita. — Myśmy spojrzeli po sobie. Marszałek pyta: — Jakto kulą? — Kulą — mówi łowczanka — bo ja inaczej nie strzelam. — Dano jej tedy owę strzelbeczkę kulą nabita; czekamy, śmiejąc się po cichu; wtem o kroków jakie sześćdziesiąt od grobli wysadza łeb nurek z pod wody. Padł strzał w mgnieniu oka; my patrzymy: nurek prawdziwie spłynął; dostali go, — głowa jak nożem ucięta. Osłupielśmy, jak Boga kocham! Potem jeszcze, stojąc na grobli, jaskółkę

w lot tak samo ubiła! Jak mi Bóg miły, pogłupieliśmy wszyscy!

Nielepiec uśmiechał się z zadowoleniem, słuchając opowiadania.

— A ja — kończył Narbutt, potrząsając głową — jakoś od tej pory, Bogu dzięki ostygłem; — ruszył ramionami — to Herod-baba!

Zaśmiał się Nalepiec.

— Jakto Herod? cóż to szkodzi? ja to właśnie lubię, to mi się podoba; zręczność, odwaga... no, charakter, cóż to szkodzi?

— Ta... zapewne — bąknął Narbutt — jak co komu służy; jużci przeciw znowu ja nie mówię nic; edukowana panna; no... miłosierna, ubogim tu i fanty swoje, i jałmużny rozdawała; ale to wszystko — machnął ręką — to... fantazya!

A po krótkim milczeniu dodał:

— Już to że urodziwa, słowa niema, ale w niej taka buta... a taka cięta...

Poskrobał się po czuprynie, potrząsając głową.

— Niech ją tam Pan Bóg sekunduje!

Pan Ignacy uśmiechał się, słuchając Narbutta.

— Że mi się — rzekł wreszcie — panna łowczanka tak podobała, jako żadna w życiu białogłowa, tego się nie zapieram; ale żebym się jej bał, jak uważam ty, kochany Janie, to nie; owszem, dziękuję ci za te wiadomości o niej; a jeśliś tedy mój przyjaciel prawdziwy, to nawet o pomoc twoją proszę, abym mógł i jej serce, i jeśli Bóg pozwoli, rękę pozyskać.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Narbutt — tylkoś co się z ojcem bił, a córkę chcesz brać; ciekawa rzecz,

jak tego dokażesz? No, ale jak chcesz, dobrze; tylko ja, jako twój właśnie prawdziwy przyjaciel, ostrzegam; ostrzegam — powtórzył, — pamiętaj, co ci mówiłem. Zdrowej głowy pod ewangelię nie kładź; łowczanka piękna, ale *bat'kowa detyna*, taka w niej będzie fantazyja jak u starego, a taką niewiastę brać za żonę, to, panie bracie, dalibóg fixacya! Czy waści życie obrzydło?

— Obrzydnie mi, gdy jej nie wezmę; — odparł żywo Nielepiec — charakter silny bez rozsądku może zrodzić upór i zaślepienie, to prawda; rozsądek bez charakteru silnego rodzi słabość, niestanowczość: ale rozum z charakterem, w mężczyźnie czy w białogłowie, daje pełnię sił, daje to wszystko, czem ma być człowiek jak należy. Takiej ja chcę właśnie towarzyszkę życia, taką mi się też wydaje panna łowczanka, innej nie chcę i nie będę mieć.

— Ha! — przerwał Narbutt — maxymy to są niby i rozumne, i prawdziwe; czy się do łowczanki zastosują? Pan Bóg święty wie; ale... jak Nietyxa powiada: „*wola twoja panie Łoyko!*“ Chcesz? dobrze; i owszem; z ojcem pewno „*perepałki*“ będą, może wypadnie wykładać... czemu nie? będę pomagał! Ot przynajmniej znajdzie się robota, bo już tak w tym Kodniu nudno, że choć ty zgiń!

O łowczym tymczasem ani słyhu nie było; Nielepiec rozchmurzył się nieco po owej ostatniej z przyjacielem rozmowie; miał on sposobność co dzień zbliżać się i rozmawiać z panną Heleną. Ale i ona też, jak Narbut sam utrzymywał,cale się teraz inną okazywała, niż w czasach dawniejszych. Bo gdy przedtem znano ją zawsze z jednostajnego humoru, wesołą, śmiałą i przytomną, dziś na podziw stała się jakąś milczącą i jakby trwożliwą niekiedy: bladła i kraśniała, roztargnioną była często lub zadumaną, a cza-

rodziejskie jej oczy albo się ciemną przysłaniały rzęsą, albo blask swój jakby w łzie przejrzystej zdawały się pławić.

— No! — pomrukiwał Narbutt sam do siebie — kto ją wie? może sobie istotnie upodobała Nielepca; ha, szczęście mu Boże! — ale — dodawał po chwili — łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne...

Upłynęło tak jeszcze dni parę, gdy jednego wieczora młodzi przyjaciele, powracając z miasta, ujrzeli na dziedzińcu zamkowym trzykonny skarbniczek łowczego i piękny srokaty cug w dangłowskiej kolasie, z których właśnie rzeczy do sieni znoszono.

— Ot i łowczy przyjechał! — zawołał Narbutt.

Nielepiec pobladł nieco i stanął jak wryty.

— Ale czyje drugie konie? — ciągnął Narbutt — wcale jakieś nieznanne.

Podeszli bliżej; Opoczyński stał w ganku zamkowym.

— Kto z łowczym przyjechał?

— A to, panie tego, pan Ruszczyce podstoli.

— Widno, że sejmik za pasem — ozwał się pan Jan, wchodząc już do mieszkania — kiedy i ten sknera podstoli ruszył się z domu, a do tego tak jeszcze buńczuczno wystąpił; to będzie, widzę, prawdziwie, jak pisał do marszałka podsędek Darowski: „*sejmikowy katar generalny*“.

A po chwili zwrócił się do towarzysza:

— No cóż, panie bracie? wypada nam zejść na dół do gości; idziesz, czy nie?

— Trudne tu moje położenie — odparł, wychodząc z zamyślenia, Nielepiec — nie radbym się Łowczemu narażać i narzucać tak zaraz, nie wiedząc... co mnie tam czeka.

— At, zachciałeś! chodźmy; jest tam przecie panna Helena, będziesz miał najlepszą próbę jej serca.

Żywy rumieniec okraślił bladawą twarz Nielepca.

— Bóg to wie — westchnął zcicha.

W tej chwili dał się słyszeć na wschodach szybki chód marszałka.

— No — zawołał Korycki, wbiegając — chwała Bogu, wszystko dobrze; zgoda! chodźcie ze mną oba; łowczy gotów był do ciebie, panie Ignacy, sam się wdrapać na górę, alem go wstrzymał; cha! cha! — śmiał się marszałek — i Helenka mu też palcem nagroziła; zalterowany stary, ja powiadam, swoim wybrykiem.

Ruszono na dół; w sieni już spotkała ich wychodząca z sali łowczanka.

— Gdzie pani idziesz? — spytał marszałek.

— Do kościoła na chwilkę — odrzekła — wkrótce na Anioł Pański zadzwonią. — A rzucając na Nielepca wymowne spojrzenie, i zarumieniona, żywo spuszczaając oczy, dodała — przed odjazdem chcę się jeszcze pomodlić w kaplicy.

W sali słyhać było głośną rozmowę gości; stary Drohomirecki, spostrzegłszy wchodzących, posunął się ku nim, uprzejmie podając dłoń Nielepcowi.

— Wybacz Waszmość! — rzekł głosem zdradzającym niejakię wzruszenie — impetyk jestem, to wiadomo; zalał bo mnie ten Chorąży za skórę! uniosłem się z owej apprehensyi i skrzywdziłem cię, panie Ignacy; radbym Waszmości duszą i sercem ten dług wyplącić.

— Ależ panie łowczy dobrodzieju! — przerwał Nielepiec — każdemu się zdarzy unieść; nie mam najmniejszego resyntymentu.

— Przepraszam Waszmość, publicznie, solenniter! — wołał jeszcze stary, ściskając swego niedawnego przeciwnika. — Bądźmyż od tej pory dobrymi *socyuszami* na zawsze — zaśmiał się wesoło — *chto koho lubyt, toj toho czubyt*. Jużemy chrzest przyjaźni przebyli, niech-że ona będzie dozgonną!

— Mości panowie! — zawołał wesoło marszałek, nalewając wcale pokaźny kielich maślaczu — zdrowie wasze! *probatum est*, że najtrwalsza przyjaźń po wybitej; kochajmy się! — Podał kielich łowczemu.

— Ale — dorzucił, uderzając się dłonią w czoło — oto głowa do pozłoty! zapomniałem! panowie się nie znacie, przedstawiam...

— JMPan Nielepiec.

— Podstoli Ruszczyc.

Pan Ignacy zanadto miał umysł i serce w tej chwili zajęte, aby baczniejszą na nowego przybysza zwrócić uwagę. W innej porze, spostrzegłszy raz pierwszy podstolego, nie mógł-by bez wątpienia powstrzymać się bodaj od lekkiego uśmiechu. JMPan podstoli bowiem w niczem zapewne nie musiał być podobnym do owych sławnych, rycerskich czterech braci Ruszczyców, od których jeszcze w XV wieku Sapiehowie całe Kodeńskie dobra nabyli. Ten był istną na parawan karykaturą. Mały, grubawy, brwi miał jasne, oczki malutkie, nos kaczkowaty, przypominający stopkę od rądelka, gębę od ucha do ucha, z wargą wierzchnią mocno odstającą, twarz okrągłą, żółtawo-różowej, całkiem jednokowej od czoła do brody barwy; do tego był wygolony zupełnie, — z pod peruczki jedynie kilka rudawo-siwych wymykało się kosmyków. Z takim od natury uposażeniem, szanowny podstoli, który niedawno miał szczęście być Kró-

lowi Jegomości przedstawionym, o czem ciągle wspominał, uznał za właściwe ozdobić się jeszcze strojem francuzko-niemieckim, na oczywisty dowód swych wyższych z nowomodnym światem stosunków. Że zaś ta metamorfoza nastąpiła przed kilku tygodniami zaledwie, co chwila więc, z przyzwyczajenia, albo się macał po rudawym wąsów ściernisku, albo po okrągłym żołądku, na którym w miejscu szukanego pasa znajdował jedynie potężne od pektoralika dewizki. Strój podstolego na ten raz składał się z bronzowego aksamitnego, ze stalowemi guzikami fraka, podobnych-że pluderek, długiej, perłowej w lite paski kamizeli, pończoch, trzewików ze stalowemi sprzączkami, a na dobitkę, z żółtawo-białawej z harbejtlem peruki. Dodajmy, że francuzka szpadka, alias rożenek, do której elegancki podstoli nie był przywykły, ciągle mu się koło nóg zaplątywała; z braku zaś długich cholew, całe życie noszonych, marzył teraz nieznośnie, zwłaszcza w chłodne czasy, ustrojony w cienkie, niemieckie pończoszki; dla ogrzania się przeto, a może i dla opędzania kęsającym owadom, nieustannie nogę o nogę pocierał, zupełnie na podobieństwo much domowych, które sobie łapki wkoło łapek okręcają i wycierają starannie, jak dzisiejsi uczeni utrzymują, dla otrząsania jakichś niedojrzanych żyjątek; ale co oni wiedzieć mogą? może również z zimna, albo nawet z dobrego humoru.

Podstoli, po kilku widać poprzednich libacyach, już nieco rumieńszy był niż zwykle i rozweselony; oczki mu jeszcze bardziej zmałyły, rozszerzyła się buzia; znajdował się widocznie w owym błogim stanie, który jeszcze nie jest upojeniem, a przestał być trzeźwością. Uśmiechał się, spoglądał wkoło, i nim co wyrzekł, pierwej mu się już usta

bezwiednie ruszały; widząc godzącego się łowczego z Nielepem, wybełkotał, szepleniąc :

— Aa, to ślicznie, jak bookom! że panowie jakoś, tak, tego... rekoncyliacya; bo to... te... wyzywania, szermowania, w naszym wieku... jak bookom, barbarzyństwo! Nawet Król Jegomość tego nie lubi i... o... o... bardzo nie lubi.

Rozmowa ożywiać się zaczęła, a rozochocony marszałek wnosił już drugi toast *na concordia*, gdy wszedł ojciec Ambroży, a za nim z Raciborskim Koreywa. Nastąpiły powitania i gwarniejsze jeszcze gawędy; korzystając więc z zajęcia ogólnego i zbliżającego się już wieczora, Nielepiec wymknął się z sali. Spieszno mu było choć słów parę jeszcze przed rozstaniem swobodniej pomówić z łowczanką; miała bowiem nazajutrz wraz z ojcem odjechać do domu. Zdawało mu się, że przy spotkaniu przed chwilą czytał w jej oczach pozwolenie i ułatwienie prawie tej poufnej rozmowy; któż choć raz w życiu nie gonił za podobną chwilą w podobnem zdarzeniu?

Wybiegł więc pan Ignacy i pośpiesznie do kościoła podążył.

Drzwi były otwarte; dziadek kościelny, w szarej z granatową peleryną opończy, siwy i przygarbiony, stojąc w środku nawy, właśnie Angelus wydzwaniał. Żywe, czerwone blaski wieczornej zorzy, wpadając prostopadle do wnętrza pięknej świątyni, gubiły się już nieco w jej ciemnych załomach; z prawej strony kaplica N. P. Maryi oświeconą była bladym, migającym płomykiem srebrnej dużej lampy, zwieszającej się od wysokiego sklepienia, której słabe światło mięszało się i zlewało z gasnącego dnia promieniami. W kościele, prócz dziadka dzwonnika, nie

było nikogo, głucha tu panowała cisza; lekki szmer kroków Nielepca zwrócił widać uwagę klęczącej w kaplicy łowczanki, rzuciła po-za siebie żywe, przelotne spojrzenie, lecz w tejże chwili do dawnej ukorzonej w modlitwie powróciła postawy. Przyklął i pan Ignacy opodał z lewej strony marmurowej balustrady, i znów głęboka zaległa cisza, przerywana tylko to pokaszliwaniem dzwonnika, to za ledwie dolatującym tu z zewnątrz echem sygnaturki, lub suchem skrzypieniem linki, co ją poruszała.

Wiek, czy chwilę jedną trwały te ciche młodej pary modlitwy, sami oni nie wiedzieli zapewne; tymczasem blask wieczornej zorzy, z barwy różowej przechodząc w żółtą, z żółtej w szarą wreszcie, coraz już więcej nocnym ustępował cieniom.

Łowczanka, westchnąwszy z cicha i schyliwszy się kornie, powstała i kierowała się ku wyjściu.

Zdała podążył za nią Nielepiec; zeszli się u drzwi kościelnych przy kropielnicy.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór.

W milczeniu wyszli na dziedziniec kościelny, wysokim od rynku oddzielony murem.

— Państwo jutro odjeżdżacie? — drżącym głosem ozwał się pan Ignacy.

Łowczanka wstrzymała się, duże swe, czarne a wymowne podnosząc oczy.

— Tak, jutro — odrzekła i dodała ciszej — może już się nigdy nie zobaczymy.

— Nigdy? dlaczego? ojciec panny Heleny wcale się już na mnie nie gniewa... chyba pani...

— Ja? mogłaż-bym się gniewać? pan wiesz, żem mu obiecała być wdzięczną, ale...

— Ale co? czyż mi pani nie dozwoli do Turowa przyjechać?

— Po co? — ruszając lekko ramionami, ze smutnym uśmiechem, szepnęła łowczanka.

— Po co? pani mnie się pytasz? — wyjąknął Nielepiec.

— Alboż pan nic nie wiesz?

— Co? o czym?

— Jestem przecie zaręczoną — dodała z cicha.

Ostłupiały, blady i oniemiały prawie, stanął Nielepiec, jakby weń piorun z jasnego nieba uderzył.

— Niepodobna?! to być nie może?! — składając ręce zawołał po chwili — pani żartujesz? z kim? gdzie? kiedy?

Łowczankę zdradziły wreszcie, niepowstrzymane w tej chwili, dwie bujne; brylantowe łzy, które się po jej pięknej potoczyły twarzyczce.

— W Siemiatyczach — odrzekła — w przeszłym tygodniu, ułożyło się to u pani wojewodziny i zaręczyny się zaraz odbyły... ojciec ma jakieś obowiązki względem pana podstolego...

— Jako? z Ruszczycem?!

— Tak.

— Niepodobna! i pani się zgodziłaś?

— Ha! — westchnęła Helena — ojciec życzył sobie tego, kazał; pan go znasz, a wówczas...

Zawahała się i dodała ciszej:

— Wówczas... miałam serce wolne, byłam posłuszną.

— Pani! panno Heleno! — zawołał Nielepiec, chwytając i całując namiętnie nie bronioną rączkę — pani mówisz: wówczas... więc teraz... teraz zerwać!

— Zerwać?! — cofając się nieco, zapłoniona odrzekła łowczanka — alboż to można? słowo ojca, moje... dałam je przecie!

— Ależ to niepodobna! — mówił żywo Ignacy — to musi być zerwane! ja niedopuszczę, ja podstolemu...

— Na miłość Boga! — chwytając Ignacego za rękę przerwała Helena — nie rób pan nic, żadnych ekscesów, zmiłuj się! ja proszę, błagam pana! dla mnie to uczyn.

— Ależ pani! panno Heleno najdroższa! czyż ja mogę patrzeć spokojnie...

— Zaklinam cię, panie Ignacy, — wołała żywo — jeśli mnie prawdziwie...

— Ach! — przerwał Ignacy — czyż możesz wątpić, panno Heleno?...

— Tak — kończyła zarumieniona i wzruszona łowczanka — jeśli mnie więc prawdziwie... jesteś przyjacielem, zaklinam cię, proszę, daj pokój! Każdy eksces sto razy by pogorszył położenie nasze... ja ojca znam; czekajmy; przeciągnie się to, ja będę zwlekała... może, może da Bóg... może co się odmieni!

Zadumała się chwilę i westchnęła.

— Ha! wola Boża!

— Ależ życie, panno Heleno, — mówił Ignacy — życie całe z tym człowiekiem! czyż to być może? jeśli go nie kochasz...

— Kochać? jego? — odrzekła z gorzkim uśmiechem — a, to trudno! ale szanować-bym musiała.

— Alboż on wart nawet szacunku? mówią o nim źle, drwią z niego w oczy, albo nim pogardzają; niepodobieństwo!...

— A! cóż robić? ale — dorzuciła z cicha — nie jedna-m ja na świecie; pan o mnie zapomnisz...

— Ja? nigdy! nigdy, do śmierci! chyba pani...

— Powinna-bym — szepnęła łowczanka — i pan również powinienes; zresztą — ożywiając się dodała — i pan tu, panie Ignacy, pewno w Kodniu długo nie usiedzisz; kraj potrzebuje ludzi rycerskich, wojska; alboż dziś o czem innem myśleć przystoi.

Nielepiec z załamaniem rękoma stał, jak skamieniały. Runął bez śladu cały gmach złotych, czarodziejskich marzeń, przyszłość zakryła się przed nim czarną, jak kir żałobny, oponą.

— Tak — szepnęła z cicha po chwili milczenia panna Helena — spodziewałam się, że dziś jeszcze tu pana zobaczę; trzeba się wyrzec tych marzeń; są obowiązki, powinniśmy je wypełnić... oboje.

— Jakto? — boleśnie westchnął Ignacy — więc mi nie będzie wolno ani widzieć pani?

— Nie, nie! — odparła — do czegoż to? na co? Ach! już wieczór, późno — dodała, skinąwszy głową, — żegnam... muszę śpieszyć...

Nielepiec raz jeszcze do ust gorących podniósł rączkę łowczanki; wyrwała mu ją, uściskawszy lekko, i chyżym krokiem ku zamkowi pobiegła.

Noc była już późna; w izdebce murgrabiego zegar chrapliwym głosem jedenastą wydzwonił, w zamku panowała cisza i ciemność zupełna, prócz małego w jednym z piętrowych pokojów światła.

Stary Opoczyński z pękiem kluczy i nieodstępną larką, po raz może dziesiąty wyszedł do sieni.

— A to, panie tego — mruczał pod nosem, przeżuwając kawałek razowego chleba. — Nic nie powiedział, licho wie, panie tego, i kiedy, i gdzie poszedł; niewiadomo, zamykać, czy nie zamykać? A tak zdaje się do tej pory był porządny człek; ale to, at! młodość! a tu, panie tego, stój na warcie, no! ktoś zdaje się idzie... o!... idzie.

Drzwi się raptownie otworzyły; błądy jak ściana wszedł do sieni Nielepiec i żywo pobiegł na górę.

— O! panie tego — mruczał zaryglowując drzwi Opoczyński — co jemu jest? nawet głową nie kiwnął! jakiś, panie tego, straszny, hm... to coś jest! A taki był porządny człowiek!

Narbutt szerokimi krokami przechadzał się po pokoju, widocznie zaniepokojony; gdy nadbiegł towarzysz, stanął.

— Co ci jest? — spytał.

Nielepiec padł na łóżko i, twarz zakrywszy rękoma, siedział milczący i nieruchomy.

— Co się stało? — powtórzył Narbutt — wiesz już? co? pili zdrowie narzeczonych przy wieczerzy. Łowczanka była blada, jak nieżywa; myśleliśmy, że zemdleje, ale nie; gdzie byłeś?

— Nie pytaj — jęknął z cicha Ignacy — wiesz o wszystkim.

— Ale to panie — ciągnął Narbutt — ktoby się spodziewał po łowczance? no!

— Co?

— A no, żeby za taką niemiecką małpę wychodzić! otóż to, panie, białogłowy!!

— Ojciec kazał; musi.

— Kazał? z kąd wiesz?

— Wiem na pewno.

— Aha — mruknął Narbutt — a to stary! niech go milion! Ale — dorzucił — wiesz co, mój Ignacy, zrzuc tę aprehensją z serca! przecie i od ołtarza ludzie się rozchodzą; wielka rzecz, że zaręczona! do ślubu jeszcze daleko, a spokojną głową można coś przecie wymyślić, uradzić.

— Co tu radzić? rady niema.

— Ale ba! można-by jaką sztukę podstolemu wy-
stroić; ja ci się przyznam, że osobiście mam na niego chrapkę ogromną. On mego ojca pieniał najniesprawiedliwiej, wyrwał krwawej pracy piętnaście tysięcy, za opłaconym już obligiem; oszust, łajdak, głupi jak sak, a na złe ma rozum.

— Okropna rzecz! — westchnął z cicha Nielepiec.

— Ja mu jakąś sztukę muszę wyprawić! — mówił, chodząc ciągle i rozgorączkowany się, Narbutt, któremu zapewne i wieczorne libacje niemało animuszu dodały — muszę! boś i ty mnie przyjaciel, i dałem ci słowo, że pomagać będę; a już jak słowo, no, to słowo!

— Daj pokój, daj pokój! — smutnie kiwając głową, przerwał towarzysz — tu rady niema, i awantur żadnych robić nie wypada. Łowczanka to na mnie wymogła, obiecałem...

— Tak! ty, dobrze... ale nie ja!

— To wszystko jedno.

— Hm! — mruknął znacząco Narbutt — zobaczymy!

— Ja się zaraz zaciągam do korpusu *Judyckiego* — przerwał po chwili milczenia Nielepiec... Mam tam wielu znajomych.

— Dawno to i ja o tem myślałem — odparł Narbutt — ale ojciec mi kazał tu siedzieć — ruszył ramionami — licho wie po co? no i księżna ani myśli puścić. Hm, mógłbym, na kiel wzięwszy, drapnąć cichaczem... ale znów głupstwo... byłoby źle... licho wie co robić. Zazdroszczę ci tej determinacyi... ale jak pójdziesz... to dalibóg i ja chyba nie wytrzymam.

IV.

W dni kilka po wyżej opowiedzianych wypadkach, zaczął się ruch przedsejmikowy; zjeżdżali się dygnitarze wojewódzcy i majątniejsi obywatele, po drobną szlachtę posyłano z dóbr kodeńskich furmanki, naradzano się i rozprawiano; na zamku i w miasteczku roiło się, jak w ulu.

Tymczasem i partya hetmańska zabiegała również gorliwie, rachując na znaczną liczbę przeciągniętej na swą stronę szlachty kobryńskiej.

Nadjechał do Kodnia JMP. strażnik koronny, Mierzejewski; ruszono do Brześcia. Nielepiec robił co mu kazano: jeździł, pisał, pracował, milczący jednak i ponury, mimo powszechnego gwaru i ożywienia. Oświadczył on marszałkowi chęć wstąpienia do korpusu wojska litewskiego, będącego pod dowództwem *Judyckiego*; nie sprzeciwiał się Korycki, ale prosił o zwłokę, a raczej doradzał ją, dla po-

rozumienia się z pryncypałami. Rzecz więc na czas jakiś w zawieszeniu została.

Po odjeździe łowczego, pomimo zaprzątionych przed-sejmikowym gwarem umysłów, w dni kilka wszyscy już wiedzieli i szeptali sobie o wzajemnych afektach Nielepca i panny Heleny; wszyscy też nad obojgiem ubolewali, a szanowna marszałkowa najgłośniejsz na starego Drohomireckiego piorunowała. Współczucie to dla Nielepca ogólne powiększało się jeszcze powszechnem i zadawnionem lekceważeniem dla podstolego, który najniespodziewaniej miał zostać mężem łowczanki.

Nadszedł wreszcie dzień 15 listopada, poprzedzający sejmiki, stanowczy i od nich samych częstokroć ważniejszy. Zbierano się po kwaterach, posyłano, biegano; namowy i umowy nie ustawały; od rana do nocy panował ruch, latanina i zajęcie ogromne. Tu obie walczące strony sondowały i obliczały własne i przeciwników siły; lecz już od samego początku rokowań, partya hetmańska ujrzała się tak nieliczną i odosobnioną, że, mimo wielu wybitnych i nie lada animuszem obdarowanych ludzi, którzy nią kierowali, jako ów sławny rębacz Janikowski, hetmanowi z duszą i ciałem zaprzędany, wszelkie zabiegi bezskuteczności się okazały. Widząc przeto niepodobieństwo utrzymania swych kandydatów, postanowiono przycichnąć tu, rachując na lepsze może w innych województwach powodzenie. Tak więc i na ten raz sprawdziło się stare przysłowie: „z wielkiej chmury mały deszcz“.

Zaszedł wprawdzie z wieczora w przeddzień sejmików, i to, jak na toż, znowu w mieszkaniu sędziego Koiszewskiego, niejaki „casus“; przemówił się bowiem JmPan Stanisław Laskowski, brat regenta, z szambelanem Józefem

Suzinem, co był później w komisji cywilno-wojskowej, i lubo na razie jakoś to załatwiono, później się jednak porąbali nieco. Sejmik wszelako nazajutrz odbył się całę porządnie i nadspodziewanie spokojnie; posłami obrani zostali JW. Zenon Wysłouch, podkomorzy, i Stanisław Niemcewicz, sędzia grodzki, Rewiatycki starosta; utrzymali się więc kandydaci księcia Kazimierza Sapiehy.

Chorąży Nietyxa, promowany pierwotnie przez stronnictwo hetmańskie, konfuzyę swoją nadrabiał dobrą miną, ostrym zaś dowcipem i żartami nagradzając sobie niepowodzenie, tyle narobił śmiechu, że nikt nie miał myśli, ochoty, ani czasu z samegoż niedoszłego posła żartować. Bystry i, jak to mówią, szpakami karmiony, obrachował on sobie, że działając w ten sposób, a dobry humor panów braci podsycając zawsze, lubo na ten raz upadała jego kandydatura, popularności wszelako nie straci. Więc gdy imiona posłów podawać miano, a działo się to w pojezuickim kollegium, które, lubo ogromne, szlachta tak przepełniła, że jeden drugiemu następował na pięty, ile że dzień był słotny, a taka cisza w owej chwili zapanowała, że było słychać chód pektoralików; więc z owej korzystając ciszy, chorąży, na ławkę wylazłszy, zawołał: „Mości panowie! proponuję na posła JMPana podstolego Ruszczyca!“ Ten i ów się uśmiechnął, bo tę kapuścianą głowę znali, aż ktoś zapytał: „A cóż to za propozycya?“ A chorąży na to: „Podaję podstolego na posła, gdyż posiada on wielkie do tej funkcyi zalety, potrafi bowiem mówić równie głupio, jak inni, a o wiele krócej!“ Śmiech na to powstał tak głośny, że go ledwie prezydujący uspokoić zdołał. Gdy zaś już posłowie ogłoszeni zostali i wieszowano im w mniejszem kole, podszedł też rezolutnie i chorąży do podkomo-

rzego Wysłoucha, który, trzeba wiedzieć, iż był zagorzałym myśliwym; robiąc przeto i do niego, a więcej do opieszałości sejmu, alluzję, Nietyxa przy składaniu swych powinnowań dodał: „wiele sobie po szanownym podkomorzym tuszymy, a zwłaszcza jeśli na sejm raczy się wybrać z *na-gonką*“.

Ale jeśli wybory poszły gładko, nie tak atoli było z ułożeniem samego *laudum*, czyli instrukcyi, jaką województwo posłom wydawało: tu każde stronnictwo swoje podsuwało punkta i dezyderata, lub wreszcie, nie mogąc jakiegoś partyi przeciwnej paragrafu z *laudum* wykluczyć, podsuwało w szerokich do niego dodatkach zastrzeżenia, lub określenia, tak gładko nieraz w prawniczych terminach ułożone, iż objaśnień tych odrzucić nie było podobna, a one jednak stanowiły często drogę wcale wygodną do wyminięcia punktu głównego.

W podobny też sposób spisane zostało i *laudum* Województwa Brzeskiego na owych z d. 16 listopada sejmikach. Zamiast jasno i krótko określonych żądań i poleceń, bitym, drobnym charakterem zapisano *pięć arkuszy*, w trzydziestu dziewięciu *punktach* zalecenia swoje posłom wyrażając¹⁾.

Projekt ofiarowania tronu, po śmierci panującego króla, elektorowi saskiemu, przyjęto wprawdzie, ale, o dziedziczości zamilczając, położono jeszcze zastrzeżenie, że gdyby elektor tronu nie przyjął, lub w przyszłości podobnegoż wyboru była potrzeba, wolna elekcyja ma być zostawioną.

Było innych punktów siła, mniej lub więcej ważnych

¹⁾ Akt oryginalny w archiwum autora.

i na uwagę zasługujących, a między niemi i takich, które na ten raz bez grzechu można było pominąć. W punkcie 16-tym miała szlachta Brzeska od wyjazdu za granicę naznaczyć opłatę, „*mając na uwadze JJWW. Ministrów, co się w pokatną na swoje rękę politykę bawić lubili, oraz częste białych głów peregrynacye*“, które, widać, panom mężom nie były do smaku. W punkcie 25-ym proszono o przywrócenie istnienia Jezuitów, jako zakonu młodzież wychowującego, bez zwrotu nawet dóbr, co do nich niegdyś należały. W 26-ym, również w sprawie szkół, poruczono opiece Stanów zakon Bazylianów, z zastrzeżeniem zachowania dóbr i opactw do nich należących i szczególnym polecono względem superyorów Wereszczakę — Chełmskiego i Borejszę — Brzeskiego; obaj oni byli z dziada i pradziada szlachtą tegoż województwa.

Wiedzieć bowiem potrzeba, iż owe prelatury głównie miejscowi zajmowali ziemianie, a wielu też i ze świeckiego stanu na dewocyi, szczególnie u Bazylianów, osiadać lubiło. W punkcie 34-ym, w wyrazach istotnie pięknych, polecono szczodrobliwości Stanów zasługi pułkownika wojsk litewskich, Samuela Korsaka, i wreszcie w 36-ym proszono, aby Kościuszko, który posiadał szarżę generał majora wojsk koronnych, w tymże stopniu do wojsk litewskich, jako urodzony Litwin, przemianowanym został.

Tak tedy skończyły się owe sejmiki: JMPan Walerjan Budny instrukcyę posłom do Akt Ziemskich Brzeskich podał i wszystko, przynajmniej z pozoru, do dawnego wróciło porządku. Mówimy z pozoru; bo jutro nie jest tem, czem było wczoraj, a każdy dzień rodzi w sercu i umyśle ludzkim nowe odcienia żądz, myśli, pragnień i pojęć, nawet i wyobrażeń; to jest istotą ludzkiego życia, a skoro

umysł i serce nowych nie osięgają zdobyczy, życie przestaje być życiem i jest tylko beczynnem przedłużeniem bytu — odpoczynkiem przed noclegiem.

Owoż wszystko niby do dawnego wróciło porządku, ale w położeniu Nielepeca zaszła zmiana zupełna z powodu poznania się z łowczanką i jej przyszłego zamezcia z Ruszczycem. Przebolawszy pierwsze chwile ciężkiego i głębokiego żalu, chociaż nieuleczoną trapiony tęsknotą, zdał się wreszcie na los, jaki mu został przeznaczony; a życie, co mu już szczęścia rokować nie mogło, mając prawie na zbyciu, postanowił, nie oszczędzając, dla powszechnego dobra poświęcić. Rozpoczął więc natychmiast starania, aby doprowadzić do skutku zamiar swój wstąpienia do korpusu wojsk litewskich. Tu się jednak niemała zjawiała przeszkoda. Był on, jak wiadomo, przedstawiony na dwór książęcy w Kodniu przez hetmana Branickiego, chcąc zaś nieodmiennie do litewskiego wstąpić wojska, gdyż tam miał krewnych i znajomych niemało, mógł się bezwąt্পienia protektorowi swojemu narazić, z tej racyi, że jakoby się z pod jego ręki usuwał, wchodząc do wojska, któremu natenczas hetmanił Ogiński. Należało więc obmyśleć sposób, pozwalający dopiąć celu bez narażenia się hetmanowi Branickiemu, który był jego protektorem i opiekunem, z ramienia ojca naznaczonym; podjął się tego zadania poczciwy a każdemu usłużny marszałek Korycki, ale za warunek położył cierpliwość i niejaka zwłokę.

Czekał zatem Nielepiec, ale tęsknił i usychał w marzeniach, tembardziej, że po skończonych sejmikowych robotach ubyło i pracy, a czas wolniejszy pozwalał szeroko młodzieńczej bujać fantazyi. Na szczęście, nieustające w rodzinie książęcej sprawy, rachunki o sukcesyie, ugody i działały,

tak dóbr, jak i ruchomości, nastreczyły nowe i zgoła nie-
spodziewane zajęcie. Księżna bowiem w liście do marszałka
poleciała pilno spisanie biblioteki, pozostałej jeszcze po Ja-
nie Frydryku Sapieże, której część przejść miała w posia-
danie księżnej Jabłonowskiej, Sapieżanki z domu, do Sie-
miatycz. Księgozbiór składał się z kilkuset tomów, między
którymi było nieco autorów łacińskich, najwięcej francuz-
kich i włoskich, w polskim zaś języku ledwie kilkadziesiąt
ksiąg, starych dziejopisarzy, albo religijnej treści. Nie było-
by z tem spisaniem i uporządkowaniem wiele kłopotu dla
człowieka, co z podobną pracą był obznajomionym; ale ani
pocziwy marszałek, ani JMPan Koreywa nigdy w życiu nie
mieli czasu bawić się w literaturę; rozkaz przeto księżnej
Jejmości wydał im się czemś tak dziwnem, zadaniem tak
olbrzymiem, że im się ono całkiem w głowie pomieścić nie
mogło. Jeden chyba ksiądz Ambroży, jak zauważył Ko-
rycki, mógłby się podjąć tej pracy, ale Bernardyn, od rana
do nocy zajęty fabryką, strzepnął tylko rękoma i ani chciał
słyszeć o bibliotece.

— Hm — mrucał nieukontentowany marszałek —
także się zachciało księżnej robić mnie na starość bibu-
larzem!

Koreywa ruszył ramionami.

— A no — ozwał się po chwili — chodźmy przy-
najmniej zobaczyć, ile to tam tego i co to jest?

Udali się więc na górę do pokoju, co go zwano kan-
clerskim, gdyż w nim mieszkał niegdyś książę Jan Frydryk
Sapieha.

Zadumali się oba głęboko, ujrawszy volumina, grubą
warstwą szarego pyłu przysute.

— A to panie — zawołał Koreywa — robota na

dwadzieścia lat, od siedmiu boleści! wolałbym zboże nosić do śpichlerza.

Marszałek wziął kilka tomów po kolei i przeglądał tytuły.

— Tutaj bo — ozwał się — polskich książek coś mało; różnemi językami pisane, nie wiadomo co?

— Żeby tak na mnie — zauważył komisarz — jabym poprostu wielkie do wielkich, małe do małych, porządnie obliczył, spisał; tych tyle, tych tyle i skończona rzecz!

— Ba! jużci pewno — potwierdził Korycki — bo co to, ja powiadam, tutaj panie wieża Babel, pomieszanie języków!

— E, to nie dla nas robota — rzekł Koreywa, z niechęcią rzuciwszy książkę, którą trzymał w ręku — my na takie głupstwa i czasu naprawdę nie mamy! Ale — dodał po chwili, uśmiechając się wesoło — doskonała myśl! posadzić Nielepca! on podobno i po francuzku umie, i w melancholii po łowczance najlepszą będzie miał dystrakcyę!

— A prawda! — zawołał wesoło marszałek — doskonale, dalipan, wybornie; tylko, że — dorzucił machnąwszy ręką — rozmiłowany! będzie patrzył na volumina, jak to powiadają, jak kozieł na wodę, i zamiast liter będą mu po kartkach czarne oczy chodziły!

Pomimo tej uwagi Koryckiego, stanęło na tem, że Nielepcowi oddano robotę; wziął się też do niej p. Ignacy ze szczerą i tem większą ochotą, że mu ona skracała czas i długie samotne godziny tęsknoty, ciężkie do przebycia. Okazało się też, że nikt w Kodniu lepiejby od niego tej pracy skutecznie nie zdołał. Siedział więc na górze całemi dniami na pociechę marszałka i komisarza, tylko JMPani Korycka z dobroci serca mężowi i Koreywie su-

szła głowy, że do tak ciężkiej roboty zaprzęgli Nielepca, który i bez tego widocznie na zdrowiu szwankował.

Tymczasem o Drohomireckich i o Podstolim ani sły-chać nie było. Dziwiono się zwłaszcza Podstolem, że do narzeczonej nie jeździł; o czem z pewnością wiadano, gdyż z Iwanowic do Turowa droga szła na Kodeń, którego Ruszczyc nie omijał nigdy, nie tak może dla przyjaźni mar-szałka, jak przez znane skąpstwo, dla bezpłatnego noclegu. Dopiero gdy na Gromniczną zjechało się do Kodnia nieco więcej gości, przyszła też i wiadomość, że spóźnionym kon-kurom podstolego „zazdrośna pedogra położyła *veto* i, do nóg mu upadłszy, w domu zatrzymała“. Taką zdał relację JMPan chorąży Nietyxa, dodając wszelako, że podstoli spro-wadził sobie z Czarnowczyc jakiegoś uczonego żyda cyru-lika, faworyta niegdyś księcia Radziwiłła Krajczego, i ten go nietylko z pedogry wyleczyć, ale zgoła odmłodzić na-wet obiecuje, a tymczasem kapie go w ogrzewanych w ko-tłach preparatach, zbieranych w oborze, które, mimo zapa-chu, cudowne skutki sprawić mają.

Naśmiano się tedy z opowiadań Nietyxy, kosztem pod-stolego, o którym chorąży szczególnie gawędzić lubił, wy-myślając, czy wynajdując o nim coraz nowe, najosobliwsze anegdoty.

Upłynęło jeszcze dwa przeszło miesiące; zbliżała się Wielkanoc, która tego roku w d. 24 kwietnia przypadała, zaczęły się więc u JMPani marszałkowej solenne do świę-conego przygotowania. Od świtu do nocy tłuczono coś tam na dole w moździerzach, wonie różnego gatunku rozcho-dziły się po wszystkich komnatach, łechcąc nosy wyposz-czonych, ku większemu ich umartwieniu. Latały baby i dziewczęta z miskami, wierciochami i nieckami; wykra-

dano z archiwów stare, nadjedzone przez myszy registra, aby z nich na baby budować monstrualne formy. Ruch był ogromny, wszyscy uciekali białogłowom z drogi, gdyż tak były ważnością swych robót zajęte, że z niemi nawet dogadać się nie było podobna.

Wśród tego właśnie domowego zamętu, w sam Wielki Czwartek z południa, gdy się tego najmniej spodziewano, przed zamek zatoczyła się landara podstolego. Nielepiec, jak zwykle, był na górze, gmerając jeszcze w bibliotece i o bożym świecie nie wiedział; w sali zaś na dole u marszałka znajdowali się właśnie: Narbutt, Raciborski, Korywa, Obuchowicz (gubernator Łęczniańskiego klucza), Ostromecki i dwaj ekonomowie: Korzeniewski z Dobratycz, człek porządny, oraz z Kątów Koczalski, pijak sławny, na którym się, jak na toż, z zimowych omłotów jakieś malwersacye pokazały, więc o nie głośna szła sprawa.

Marszałek na ten raz nie bardzo z gościa był uradowany, bo się właśnie różne domowe agitowały sprawy, ale chcąc nie chcąc, przyjął podstolego, jak Pan Bóg przykazał, przystojnie. Marszałkowa, u której Ruszczyc od czasu swych zaręczyn z łask wypadł, niby dla zajęć swoich wyjść nie chcąc, przysłała tylko miód i zakąski na prędcę. Gawęda szła dość gwarno, bo wiadomo, że u nas, jak świat światem, do takiej pracy, a zwłaszcza przy lampce miodu, ochotnych robotników nie brak. Gdy więc marszałek, przeprosiwszy gościa, rozmawiał jeszcze z Koczalskim i wyszedł z nim do sieni, znalazł się tam i Narbutt przypadkiem; po odprawieniu zatem Koczalskiego, rzekł do Narbutta Korycki.

— Wlazł mi tu ten podstoli, ja mówię, jak *pila*

w kredę! tyle czynności przed świętami, a to, Panie Boże odpuść, gość, prawda gość, ale... cale nie w porę.

Ztąd Narbutt zmiarkował, że marszałkowi na ten raz podstoli był nie na rękę; uśmiechnął się, ale żadnych uwag nie czynił. Korycki wrócił do sali, dobre jednak pół godziny minęło, nim się tam i Narbutt wśliznął niepostrzeżony z powrotem; w liczniejszym jednak gronie wcale na chwilową nieobecność jego nie zwracano uwagi; wmieszał się więc do rozmowy, która szła jak w najlepsze. Dzień dość pogodny zdawał się ku wieczorowi deszcz zapowiadać.

— Coś się chmurzy — rzekł Ruszczyc — gotów być deszcz i drogę popsuje.

— Jużci podstoli dziś nie pojedziesz — odparł gospodarz.

— Skorzystam z łaskawej gościnności kochanego marszałka, bo to, jak bookom, i późno trochę.

— Niema złej drogi do swej niebogi — dorzucił, śmiejąc się, Raciborski — a pan podstoli pewno do Turowa śpieszy?

— A tak, tak, — odrzekł Ruszczyc — choć to teraz i roboty w polu się zaczynają, ale cóż robić? słabość mnie w domu długo trzymała, dawno nie byłem, jak bookom, wypada.

W tej chwili drzwi się otworzyły; wszedł żyd, kłaniając się nisko, czapkę i bicz wtłoczył pod lewą pachę, a głęboko sięgnąwszy do bocznej kieszeni, list z niej wydobył.

— Zkąd to? — spytał marszałek.

— Z Lubomla, Wielmożny Panie.

Już miał pismo odpieczętować Korycki, ale wstrzymał się i zasepił nieco, oglądając kopertę.

— A! to do Narbutta — rzekł — brzydko to jakoś wygląda: cały list pokłuty... zaraza, czy co?! niech Bóg uchwowa!

Narbutt pieczętkę rozłamał i niespokojnie list przebiegał oczyma; w miarę jednak czytania, coraz bardziej twarz mu się przedłużała.

— Ty, żydzie, ruszaj sobie ztąd — ozwał się żywo — możesz tam w karczmie w miasteczku na odpowiedź poczekać.

Żyd wyszedł; Narbutt czytał dalej nachmurzony wielce, a co chwila wyrывały mu się wykrzykniki: — A to! no! okropne rzeczy! niech Bóg broni!

— Cóż to jest? — pytano wkoło.

— Zaraz, zaraz. — Czytał dalej.

Ciekawość i niespokojność ogólna, podsycane wzdychaniami, wykrzyknikami i miną Narbutta, do olbrzymich wzrastały rozmiarów; marszałek stał jak na ruszcie, Korywa dreptał na miejscu, u Ostromęckiego twarz z okrągłej zrobiła się podłużną, Raciborski sapał, a podstoli, spoglądając na wszystkich osłupiałemi oczyma, co chwila ślinę przetykał, bo go coś w gardle dusiło.

— No cóż tam? gadajże Waszmość, albo czytaj — przerwał niecierpliwie Korycki.

— Straszne rzeczy! — rzekł Narbutt. — Pisze mi Uruski, plenipotent hetmana, z Lubomla, że się okropne w tamtych stronach pojawiło morowe powietrze; Kryłów, Dubienka, Chełm, Luboml, Krymno, Kowel... wszędzie raptem to uderzyło; ludzie, słyszę, padają jak muchy; w drodze, przy robocie, na ulicach... gdzieś to podobno ode Lwowa idzie. Niech Bóg broni!

Zatrwożyli się i zmieszali słuchacze.

— To tak, widzę, jak dwadzieścia lat temu — ozwał się Raciborski — w 1771 roku, także się to na wiosnę jakoś pojawiło; ale — dodał — teraz gorzej chyba, bo coś bardzo gwałtownie i niespodziewanie.

— Kara Boska! — westchnął marszałek.

Podstoli bladł i dygotał, trzęsła mu się dolna szczeka jak w febrze.

— Okropo...pocieństwo, jak bookom! — wyjąknął — czy to może być?! jakoś nie było nigdzie słyhać!

— Ot, niech pan czyta — rzekł Narbutt, podając list, który w istocie cały był poprzekłuwany, jak rzeszoto.

Podstoli już rękę wyciągał, ale, spostrzegłszy podziurawioną kopertę, odskoczył jak oparzony.

— Upadam do nóg, dziękuję! — mówił cofając się żywo — ja... tego, wierzę, jak bookom, ale dałem sobie słowo nigdy cudzych listów... tego... nie czytać.

Uśmiechnęli się wszyscy na te sumienne zapewnienia Ruszczyca.

— Chwała Bogu, — zawołał marszałek — że szanowny podstoli jedziesz do Turowa, bo to ci biedni Drohomireccy jakoby w samym centrum tej plagi siedzą; zmiłujże się, zabierz ich z sobą; prosz, niech tu do nas uciekają.

— W centrum?! — powtórzył z cicha podstoli, wpatrując się w Koryckiego. — A! prawda — dodał po chwili — jak bookom, w centrum! w samym centrum, aha! oto panie! — Pstryknął ustami — źle!

— Prosz, prosz podstoli, niech tu przyjadą! — mówił Korycki.

— Ja bo — wyjąknął Ruszczyca — nie wiem jeszcze, czy... tego... czy się z nimi zobaczę.

— Jakto? przecież tam jedziesz.

— Tak! niby... miałem, ale... ot, przypomniałem sobie, mam, jak bookom, bardzo ważny interes w domu; tak, o! bardzo ważny... nawet pilny!

— Nie pojedziesz podstoli? wracasz?

— A a... muszę, muszę, jak bookom, koniecznie... muszę wracać; bo nawet coś mi tak... nie tego, nie dobrze jest, wcale się czuję jakoś... nie tego...

— Możebyś się szanowny podstoli rumianeczku napił, hę? — spytał, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, marszałek.

— Oj to to, jak bookom, rumianeczku, aha! i trzeba kazać konie zaprzęgać.

— Cóż tak zaraz pilno? — perswadował Korycki — pod noc?

— Muszę, muszę! wybacz, kochany marszałku; uf! coś tak mi niedobrze! niby... tego... po żołądku...

— To tak od postu — przerwał tubalnym głosem Ostromięcki.

Zapraszania marszałka nie nie pomogły. Podstoli, rumianeczku wypiwszy, drżący i blady, z największym pośpiechem pożegnał się i wyjechał, pędząc z powrotem do domu.

Ledwie ruszył z przed ganku, wszyscy się roześmieli.

— A to się wyląkł stary! — zawołał Koreywa.

— Śmieście się Waszmość, śmieście — rzekł Korycki — ale to nie żarty, straszna rzecz!

— Przecie koło nas, Bogu dzięki, nie słyhać — wtrącił Raciborski.

Narbutt począł się śmiać serdecznie.

— Niech się pan marszałek nie alteruje — rzekł,

podchodząc do Koryckiego i całując go w ramię — to moja sztuka.

— Jaka sztuka?

— A no, ja list podrobiłem, żeby trochę nastraszyć Ruszczyca.

— A niechże cię Pan Bóg sekunduje! — śmiał się Korycki — ale i nam niemałego Piotra napędziłeś!

Po uspokojeniu nareszcie z owej wymyślonej trwogi, przypominając sobie zachowanie się, miny i strach podstolego, wszyscy się jeszcze długo jego kosztem bawili; Narbutt wszelako, choć w sekrecie, cieszył się najwięcej tem, że przeszkodził Ruszcycowi do Turowa dojechać.

V.

Z nadejściem wiosny, Nielepiec nie mógł już dłużej w Kodniu usiedzieć, a list protekcyjonalny od księcia generała artylerji otrzymawszy, pośpieszył do Słonima, gdzie stała właśnie Judyckiego komenda; chciał się pierwaj co do swego pomieszczenia w chorągwi upewnić, do Kodnia wrócić, a następnie sprawy swe jeszcze w folwarku własnym, Sielnicy, uporządkowawszy, dopiero się ostatecznie do służby zaciągnąć. Ruszył więc do Słonima pod koniec maja, lecz, wróciwszy do Kodnia, tak raptownie na zdrowiu zapadł, że, zawdzięczając jedynie ocalenie swoje doktorowi Müllerowi, którego Flemming do Terespoła był sprowadził, ledwie w połowie czerwca dźwignął się z choroby, a do końca tegoż miesiąca na powrót się oczekiwać musiał. Pozdrowiawszy wreszcie, udając się na Polesie do swej ojcowizny, uprosił sobie Narbutta, aby mu w tej podróży

jeszcze towarzyszył; że zaś zbliżał się termin nowo zaprowadzonego na dniu 2 lipca walnego w Kodniu jarmarku, a księżna poleciła przyjmować gości, dla zachęty nadal, solennie, uprosił ich obu przeto marszałek, aby na ten czas nieodmiennie wrócili, poczem dopiero Nielepiec miał ostatecznie dwór Kodeński opuścić.

Wiosieczka JMPana Ignacego leżała na głębokiem Polesiu, między Ratnem i Dolskiem; z Kodnia, było do niej dwa do trzech dni drogi. Uczestowani i uprowidowani po macierzyńsku przez poczciwą panią marszałkową, po mszy przed cudownym obrazem Najświętszej Panny Maryi wysłuchanej pobożnie, prawie już w południe Narbutt i Nielepiec wyruszyli w drogę. Kawalkata ich nie była wprawdzie pańska, ale siedzieli na dobrych koniach, mieli broń piękną, a za nimi szedł wózek porządnie wyładowany rzeczami, gdzie, jako u myśliwych, sterczały jeszcze dwa potężne gardłacze, ptaszynka i sztuciec. Droga wiodła z Kodnia Polesiem zaraz na Hwoźnicę i Zbaraż, mil cztery, dokąd na noc zdążali; ztamtąd na Tur, około jeziora tegoż nazwiska, do Ratna; tu miał być etap drugi, mil sześć; z Ratna zaś do Sielnicy pięć mil z górą drogi prawdziwie poleskiej zostawało na dzień trzeci podróży.

Polesie, kraj zapadły, otulony lasami, bagnami podmokły i piaskiem przysuty, powszechnie jest zniesławione. Proszę jednak wezwać Poleszuka, żeby się na żyzny a piękny i znany mu dobrze Wołyń przeprowadził; można z góry zaręczyć, że się za nic w świecie na tę zmianę nie zgodzi. Odpowie on swym zwykłym, malowniczym sposobem: „*swoja sermiażka, nykomu ne tiazka*”. Nie jest to samo tylko do rodzinnego kąta przyzwyczajenie; natura dla tych, którzy są do niej zbliżeni, co ją instynktem i sercem

pojmować umieją, ma swoje niezrównane powaby i urok prawdziwie niewysłowiony, w każdym czasie i w każdym bez wyjątku miejscu, nawet na Polesiu. Podróźni nasi, młodzi i swobodni, znalazłszy się w szerokim polu i na dobrych koniach, co dla wesołej myśli jest środkiem wypróbowanym, byliby mogli drogę tę, chociaż w tak pustej i zapadłej okolicy, uważać za najprzyjemniejszą przejażdżkę, gdyby oba zarówno przystępni byli zewnętrznym wrażeniom. Lecz kiedy u Narbutta życie całą pełnią sił młodzieńczych igrało, a twarz jaśniała niezmaconą wesołością i humorem, Nielepiec, złamany smutkiem i tęsknotą, we własnych zatopiony myślach, chmurny był i milczący, jak gdyby oderwany od świata, który go otaczał. I nie dziw: życie, na którego tak krótki przebieg ludzie narzekają, czemuże miało być dla niego, jeśli te kilka miesięcy, w oddaleniu od ukochanej przebyte, zdawały mu się całym wiekiem żałoby. Co zaś go najbardziej bolało obecnie, to myśl, że przejeżdżać mieli w bliskości Turowa, a wstąpić mu tam nie wypadało. Żeby choć na jedną chwilę — myślał sobie — pożegnać się raz ostatni... ujrzeć ją choć z daleka...

— A niechże go milion kroć stotysięcy! — zawołał pozostały nieco w tyle Narbutt — poczekajno, panie Ignacy, poczekaj!

Z siódmego nieba marzeń do ziemskiego życia strącony, Nielepiec, powstrzymał konia.

— A co tam? — spytał.

— Ktoś za nami pędzi i daje znaki — odparł Narbutt — trzeba zaczekać; a mój szpak, posłyszawszy tentent za sobą, takiego dał niespodzianie szczupaka, że o mało mnie z kulbaki nie wysadził.

W kilka minut rozpoznali podróżni nasi zbliżającego się JMPana Józefa Laskowskiego z luzakiem, który za nim podążał.

— Czołem panom moim! — ozwał się on, dojeżdżając.

— Witamy — rzekł Narbutt — a gdzie Waszmość pędzisz?

— Za wami.

— Alboż co?

— Nic; alem się dowiedział w Kodniu, żeście niedawno wyjechali, a że i ja do Ratna jadę, śpieszyłem, żeby się z wami połączyć.

Zbliżył się, rękę podając, Nielepiec.

— Dziękujemy serdecznie.

— Łepsko panie bracie zrobicieś — dodał Narbutt wesoło — bo przy Ignacym i ja gotów-em melancholii dostać, a we dwóch może go rozruszamy.

— Dokąd wy dziś na noc? — spytał Laskowski.

— Do Hwoźnicy, trzy mile; albo możemy jeszcze milę do Zbaraża dociągnąć.

— A no, ruszajmy, czas nie stoi.

W drodze Nielepiec mało się do rozmowy mieszał, ale Laskowskiemu z Narbuttem usta się nie zamykały.

Dzień już był na schyłku, gdy podróżni nasi zbliżali się do Zbaraża. Niebo rozpogodziło się zupełnie; słońce, w purpurowych lekkich obsłonach spowite, legło gdzieś do snu pod poziomem, a z przeciwnej strony, od wschodu, sinawym cieniem, blado różową jakby tęczą od reszty nieba oddzielona, uwidomiona prawie, noc nadchodziła, co chwila, w miarę gasnącej zorzy, wznosząc się do góry.

Jest Zbaraż w Krzemienieckiem, na Wołyniu, niegdyś

ksiąząt Zbaraskich siedziba, dziś oczywiście rudera i pustka, ozdobna wszelako wspaniałemi zwaliskami zamku, świadczącemi wymownie o dawnej świetności; miejsce to, prócz wielu innych wspomnień, wślawione jest prawdziwie bohaterską obroną *dziesięciu tysięcy* rycerstwa naszego, pod wodzą Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga, przeciw *dwóch kroć sto tysięcy* tłuszczy Chmielnickiego. Ale Zbaraż poleski, prócz nazwiska, nie ma z tamtym nic wspólnego; jest to niewielka osada, złożona z kilku nędznych uliczek, drewnianemi zabudowanych domkami, oraz dwóch karczem zajezdnych, przy środkowym placu na przeciw siebie stojących.

Do tych gospód właśnie zbliżali się nasi podróżni, gdy Narbutt chwycił żywo Laskowskiego za rękę.

— Widzisz? — szepnął mu do ucha — w karczmie z prawej strony...

— A no, widzę: ktoś na noc zajechał.

— Wiesz kto? o, stoi na progu, i srokate konie wiadać u żłobów.

— Nie mogę rozpoznać.

— To podstoli Ruszczye; zmiłuj się, Józefie, jak mię kochasz, pomagaj mi! — dodał śmiejąc się — ja mu tu muszę jakąś sztukę wypłatać.

— O! z ochotą — odparł wesoło Laskowski.

— Będziemy mieli sto pociech — mówił Narbutt — tylko mi potakuj, cha! cha! cha!... już mi nawet concept do głowy przychodzi.

— Dobrze! ja na to jak na lato — zaśmiał się towarzysz — ale ciebie, widzę, zawsze się studenckie figle trzymają.

Zbliżali się już do karczem; Nielepiec zadumany nie

słyszał nawet cichej rozmowy towarzyszków, ale, spostrzegłszy podstolego, szybko posunął się naprzód i wjechał do drugiej gospody.

Narbutt z Laskowskim, za którymi ciągnął furgon i luzak pana Józefa, zbliżyli się do stojącego właśnie na przedsieniu zajazdu Ruszczyca.

— A! szanownego podstolego dobrodzieja! — wołał wesoło Narbutt, zsiadając z konia — submitujemy się!

— Upadam do nóg Waszmościów, upadam do nóg! — mruknął zagadniony, niechętnie jakoś spoglądając i cofając się w głąb sieni.

— Pan dobrodziej pewno do Turowa? — spytał Laskowski.

— No! tak, do Turowa.

— Pan podstoli, widzę, minął Kodeń; nie łaskaw na nas — dorzucił Narbutt.

— A, a, tak minął, żebyście znowu Waszmość nie wymyślili jakiej zarazy... o, jak wtenczas...

— My?! wymyślili! — zawołał Narbutt, z miną bardzo seryo i zafrasowaną — Jezu Nazareński, królu żydowski! któż to na nas przed szanownym podstolicem taką rzucił kalumnię.

— O! kalumnię! — powtórzył Ruszczyca — przecież żadnego powietrza nie było.

— Jakto nie było? — protestował Narbutt — od nas z Kodnia dwóch bojarów posłańców w tamtych stronach umarło! kto mógł mówić, że nie było? a to ciekawa rzecz?!

— No, już-ci nie było; mnie sam Müller z Terespola zaręczał.

— Aa Müller! — przeciągle rzekł Narbutt — no, o!

tak, to co innego; rozumiem; cha! cha! bardzo wierzę, że Müller mógł zaprzeczać!

— Dla czego? co? — spytał niespokojnie podstoli.

— No, oczywiście — odparł Narbutt — bo Müllera wzywano, a on ze strachu nie chciał pojechać; to zwyczajna sztuka doktorska! A zresztą — dodał — prosta rzecz: ktoś z przyjaciół, kogo pan podstoli spytał, wiedząc, że to zawsze wiadomość niemiła i przykrą robi na ludziach impresję, przez samą przychylność musiał zaprzeczać.

— Hm — mruknął Podstoli — a to... może być...

— No — ciągnął Narbutt — i mybyśmy wówczas szanownemu podstolem wcale o tem nie mówili, ale list nadszedł... tak, *insperate*.

— A, jak bookom — przerwał Ruszczyk — to prawda, aha! o, te doktory panie, żeby ich... Powiedz że mnie asindziej, no, a teraz nie słyhać?

— Teraz? nie — mówił wesoło Narbutt — Bogu dzięki cicho: to jakoś gwałtownie się było wzięło i raptem tak, jak nożem uciał, ustało.

— Chwałaż Bogu! — westchnąwszy swobodniej, rzekł podstoli; zaśmiał się. — A ja panie, licho wie, po co mi nałtem Kodeń, i powiadam asaństwu taki szkaradny miałem nocleg w Sławatyczach! horrendum! i obdarli mnie niemiłosiernie, i droga haniebna...

— Bo to, szanowny podstoli dobrodzieju! — wtrącił sentencyonalnie Laskowski — tak, lada komu nigdy wierzyć nie należy; wiadoma rzecz.

— Otóż to, jak bookom prawda — mówił wesoło podstoli. — Ale możebyście Waćpanowie tu razem ze mną w tej karczmie stanęli; już to, co do wieczery, to tak da-

lece... tego... ja z sobą nie mam nic zupełnie, nigdy nie wożę; no, ale jest tu komin porządny, wy pewno coś z sobą macie... a komin, powiadam wam, bardzo porządny, o! i drebka są.

— Dziękujemy najpiękniej panu podstolemu — przerwał żywo Narbutt — ale my tu długo nie możemy stać; wypadnie bodaj nocą pospieszyć, bo to piwo nie przelewki, żartów niema.

Odwrócił się do chłopaka, który przed karczmą z furgonem się wstrzymał.

— Jasiek! — zawołał — wjedź do tamtej gospody.

— A cóż wam tak śpieszno — spytał Ruszczyc.

— Ba! — rzekł Narbutt — to teraz, widzę, szanowny podstoli z nas sobie dworujesz, udając, że nie wiesz nic.

— Ja? jak bookom nie wiem; alboż co?

— Widzisz pan dobrodziej przecie, co tu broni na furgonie.

— No, widzę, właśnie — nieco już zaniepokojony mówił Ruszczyc — cóż to? konfederacya? rewolucya? bunty jakie? he?

— Ale gdzie tam! — prawił Narbutt — daleko gorzej.

— Jakto gorzej! e... co gorzej?

— Sto razy gorzej! wczoraj otrzymaliśmy sztafetę; drugą odebrał Laskowski; posłano do Wystouchów, Buchowieckich, Jagmina, do wszystkich większych i mniejszych myśliwych, bo to pono dla całej okolicy niebezpieczeństwo... cała ludność *in periculo!*

— Co? za...grożona, jakto? — wyjąknął podstoli — a ja, jak bookom, nic nie wiem...

— Ot, wszystko z głupstwa — ciągnął Narbutt poważnie — pańska fantazyja, a ludziom nieszczęście! hetma-

nowi Branickiemu zachciało się udawać księcia wojewodę wileńskiego, więc do Lubomla kazał sprowadzić dwanaście niedźwiedzi węgierskich, a to bestye najzjadlejsze, i do tego sześć hyen...

— Co to, panie, hyen? — spytał żywo podstoli.

— To takie afrykańskie, czy azyatyckie zwierzęta — objaśnił, wchodząc w rolę Laskowski — co trupy z mogił wykopują i głównie ludzkim mięsem się żywią.

— Tfu! — splunął podstoli — a niech go... no i cóż? gadajcież, jak bookom! uciekł który? co?

— A! prawda — ozwał się Narbutt — jeszcze było sześć szakali.

— Co to, panie, szakali? — przerwał znów Ruszczyc.

— To takie, podobne do hyen... gatunek drapieżnego psa dzikiego — dorzucił znów Laskowski — hetman chciał krzyżować rasy do polowania.

— No?! a to panie głupstwo! — mówił, trzęsąc głową, niespokojny podstoli — tak cóż?

— A no, wieźli to zkądś do Lubomla i dojeżdżając do Ratna... jak pan wiesz, ta grobla szkaradna... wywalili panie, het! wszystkie klatki się pogruchotały i to wszystko — kończył Narbutt, machnąwszy ręką — po-oszło w świat!

— Jezus Marya!! — wykrzyknął, oglądając się podstoli — i wszystko pouciekało?!

— Wszystko, co do nogi! niedźwiedzie, hyeny, szakale...

— I cóż?

— A cóż? słyszę, zaraz furmanów, dozorców, konie, het! co było żywego, *stante pede*, te bestye pozjadały, i całą okolicę teraz tak pustoszą, że kogo gdzie napadną, to pa-

nie, oddaj się Bogu! trup; ba! i tego niema, bo z kosteczkami schroboczą do szczętu!

Podstoli, cały drżący, cofał się już do izby.

— A to panie, okropne rzeczy! — jęknął z cicha — i cóż będzie?

— Niewiadomo — ruszając ramionami, rzekł Narbutt — ludzie się, słyszę, pozatarasowywali we wsiach i miasteczkach, nikt nosa nie śmie na świat pokazać; zbieramy się to wygubić.

— Ale, że tutaj o tem nikt nie wie — ozwał się z pewnem niedowierzaniem podstoli.

— No, to nic dziwnego — przerwał Laskowski — najprzód, to się dopiero pozawczoraj stało; powtóre, choć kto może i jechał, to go te drapieżniki rozszarpały i zjadły!

— O... okropne rzeczy! — westchnął z cicha podstoli, oglądając się na wszystkie strony — ale tu... na podsieniu, coś... tego... chłodnawo; chodźmy lepiej do izby.

— No, to my zegnamy pana podstolego dobrodzieja — rzekł Narbutt — odpoczniemy trochę i trzeba ruszać choć w nocy.

— Ale czekajcież bo, moi kochani panowie — wołał żałośliwym głosem, stojąc na progu izby, podstoli — popaście tu, u mnie, pogadamy, może przenocujecie, bo to... dyabli wiedzą, jak bookom! Chodźcie, chodźcie! ja mam trochę wędlin z sobą, jest i starka, i miodku parę butelek jest, bo... i zapomniałem, że jest, chodźcie tu, proszę.

Weszli do izby.

— Antek! — wołał Ruszczye na chłopaka — pozamykaj okiennice! — a zwracając się do swoich gości, dodał:

— Moi kochani, czego wy się śpieszycie? pod noc? to jeszcze gorzej.

— W istocie — rzekł Laskowski — ja się przyznam, że nie jestem za tem, żeby w nocy jechać, to i w dzień straszno, a cóż dopiero... noc!

— Jest to trochę racya — zauważył Narbutt z niewzruszoną powagą — ale uważajcie Waćpanowie, że do tej pory te dzikie bestye trzymać się jeszcze muszą tych lasów, tu za Zbarażem, koło Turowa i Ratna, bo od naszej strony więcej pól odkrytych; ale niechno one przebiorą się przez Bug, to i w naszych stronach będzie źle, więc tu bardzo marudzić nie można.

— A to panie! jak bookom, straszne rzeczy — mruzczał podstoli — ale poradzcie mnie, zlitujcie się, co ja mam robić?

— Jakto, co robić? — spytał Laskowski.

— No, z moją jazdą do Turowa.

— At! — zawołał Narbutt — co tam szanowny podstoli będziesz na to uważał! jechać i kwita.

— Aha! upadam do nóg! a jak mnie gdzie napadną.

— O! zaraz mają napadać; a zresztą choćby napadły, dajmy na to...

— A! niech dyabli wezmą — krzyknął podstoli — co Waszmość gadasz!?

— No, bo uważasz pan dobrodziej — ciągnął Narbutt — jest-że przecie cztery konie, dwóch ludzi i pan; to nim koło nich-by się zabawiły, zawsze pan masz ekspektywę się uratować.

— Dziękuję, dziękuję za taką pociechę, jak bookom! — wołał zdesperowany Ruszczyc, tupiąc i machając rękoma — co mi to za konsolacya! To, jak bookom, niewiadomo, co

począć. Ot! napijmy się starki — dodał, wyciągając flaszkę z puzderka — będzie i miodek, i wieczerza; zostańcie, coś uradzimy.

— Ha — rzekł Narbutt, napiwszy się wódki — to niechże Laskowski tu nocuje, a ja pójdę do koni i na wieczerzę tu wrócę.

Tak JMPan Ruszczyca, ze skąpego stawszy się hojnym ze strachu, i uczęstowawszy towarzyszków podróży, położył się spać w największej trwodze; kazał wszelako pierwej drzwi, okna i kominy nawet najszczelniej zatarasować, niezachwiane przytem powziąwszy postanowienie, przynajmniej dni trzy nie ruszyć się ze Zbaraża.

Rano tymczasem nazajutrz, podróżni nasi, zostawivszy jeszcze we śnie głębokim pogrążonego Ruszczyca, równo ze wschodem słońca puścili się w drogę.

Na parę godzin przed południem zbliżali się już do jeziora Tur, zkąd na lewo od gościńca, zdaleka widać było Turów, starą Drohomireckich siedzibę.

Nielepiec zwalniał kroku koniowi.

— Ach! żebym mógł zajechać! — szepnął do Narbutta.

— Zajedźmy, kiedy chcesz.

— Sam nie wiem... ona nie chciała...

— Ee, co to znaczy! ręczę ci, że będą nam radzi.

Gdy tak rozmawiając, jadą, zawołał nagle Laskowski:

— Patrzcie! a toć pod krzyżem, przy drodze do dworu, bodaj, czy nie sam, *in persona*, stary łowczy siedzi.

— On, niezawodnie — rzekł, przypatrując się, Nielepiec — bo tu i grunta Turowskie do gościńca dochodzą.

W istocie, na dużym kamieniu, pod krzyżem, w słomianym kapeluszu i długich jałowiczych butach, wsparty

na sękatym kiju, siedział stary Drohomirecki; rozpoznać go nie było trudno z samych wąsów ogromnych, co jak dwie białe strugi po szarym kitlu aż do pasa spływały.

Nielepiec mimowolnym prawie ruchem pchnął naprzód konia.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł, zbliżając się i uchylając rogatywki.

— Na wieki wieków — odpowiedział łowczy, wstając. — A! pan Ignacy?! — dodał z uprzejmym uśmiechem — dokąd-że Was Pan Bóg prowadzi?

Nielepiec żywo zeskoczył z konia.

— Jadę do Sielnicy, do siebie; zaciągnąłem się do korpusu Judyckiego, muszę się przed tem w domu trochę uregulować.

— O! bardzo się to Waszmości chwali, bardzo pięknie, bo to ludzie mówią wprawdzie „*światy pokoju, dobre z toboju*“, ale bez wojska pono i pokoju niema.

Nadjechali towarzysze.

— No — rzekł stary, witając ich wesoło — róbcie sobie Waszmość, co chcecie, a ja was nie puszcę, musicie do mnie wstąpić; bo ja tu, swoje pola obchodząc, siadłem, jakobym umyślnie na was oczekiwał; już tak, widać, było przeznaczono.

Zaproszeniu nikt nie odmawiał; nie mogło przyjść w lepszą porę; ruszono więc pieszo, między dwiema ścianami bujnego żyta, a dalej starą lipową ulicą do dworu.

Na wzgórzu, nad obszernem jeziorem, które jak zwierciadłana tafla z lewej strony drogi połyskiwało, brzeg drugi w znacznym gubiąc oddaleniu, wznosił się stary dworzec Turowski; otaczała go mnogość drzew odwiecznych, potężnych lip, klonów, świerków i rozłożystych jesionów, pod-

szytych bujnem i zagęszczonem krzewów pospółstwem. Szerniały dwór drewniany stał na wysokiem, kryjącem w sobie obszerne lochy, podmurowaniu; nad nim zwieszał się potężny dach łamany, kryty małemi osowemi draniczkami. Dworzec sam nie był zbyt przestronnym, ale go znacznie powiększały dwa po rogach skrzydła, czyli baszty, nieco naprzód wysunięte, z pięterkami na górze, również jak i dom drewniane; obszerny ganek okalały ławy dębowe, szerniałe i wyslizgane, na których nie jedno już pokolenie, jak się zdaje, przegwarzyć musiało.

Na ganku spotkała przybyłych zarumieniona i zmieszana nieco łowczanka, gospodarz zaś ponowił powitanie „*nu tem miejscu*“, w obszernej sieni, ozdobionej potężnych rozmiarów kominem i szeregiem łosich, sarnich i jelenich rogów, na których rozwieszoną była rozliczna broń i przybory myśliwskie.

Łowczanka wbiegła do pokojów na prawo, Drohomirecki gości na drugą stronę poprosił. Tu cały bok od czoła domu zajmowała izba obszerna, z której drzwi, wprost wchodowych, wiodły do baszty, sypialni łowczego; izba ta, mimo dwóch sporych okien z drobnemi w ołów oprawnemi szybkami, ciemną była i nieco ponurą, z powodu ciemnych szpalerów, które okrywały jej ściany, i liczne szeregu poczerniałych portretów. Środek komnaty zajmował długi a wązki stół dębowy, na krzyżowych sztucznie wycinanych nogach; dokoła pod ścianami obiegały ławy, wybladłemi kilimkami pookrywane; całość zaś uzupełniały: potężny piec z zielonych kafli, komin i stary zegar szafiasty, który mierzył powolnym krokiem drogę do wieczności.

Izba ta smętną była i poważną, niewypowiedziany wszelako zyskiwała urok z powodu pysznego i wspaniałego

widoku, jaki się z jej okien rozwijał. Spory dziedziniec, z dwóch boków cienistemi osłoniiony drzewami, pochylał się lekkim spadkiem aż do brzegów jeziora, które, jak okiem zajrzeć, roztaczało się modre a przejrzyste i wieczną tajemniczą szemrzące mową.

Gospodarz z serdeczną gościnnością przyjmował przybyłych; krzątał się, wychodził i wracał; surowa zwykle twarz starego łowczego, dziś rozpromieniona i jasna uśmiechem, nigdy prawie na niej nie widzianym, zdradzała wcale jakiś niezwykły stan jego duszy.

Wnet nakrywać zaczęto do stołu; nadeszła łowczanka, rozmowa stała się ogólną, gospodarz zapraszał na przedobiednie przekąski.

— Wybaczcie Waszmość — mówił — u mnie tu nowomodnych gdańskich napitków niema, jest starka dziadowska i nalewki domowe, wszystko po dawnemu i po szlachecku, co Bóg dał na swojej ziemi. Tak, tak — dodał — *„nechaj bogaty dywytsia, jak ubohyj żywytsia“*!

Mimo tych protestacji gospodarza, obiad był i wyborny, i suty; po ostatnim półmisku, toczyła się jeszcze u stołu ożywiona rozmowa; umilkł wszelako łowczy na chwilę i zadumał się głęboko.

— Wiecie Waszmość — odezwał się wreszcie, podnosząc głowę — Bóg temu tylko grzechy przebacza, kto je wyzna ze skruchą i krzywdy uczynione bliźnim stara się nagrodzić. Jam jest człek grzeszny; wziąłem taką naturę, że często jej, mimo wszelkich starań, pohamować nie mogę; i oto... niedawno jeszcze, skrzywdziłem zacnego i uczciwego człowieka... pana Ignacego...

— Ależ panie łowczy! — przerwał Nielepiec.

— Czekaj Waszmość — ciągnął gospodarz — obra-

ziłem, powiadam, niewinnie, ja stary, młodszego, coby mógł być synem moim... wyznaję winę, bo mi ona ciężko na sumieniu zalega — mówił bijąc się w pierś potężną i dłoń do Nielepca wyciągając. — Przebacz mi Waszmość, a że idziesz ojczyźnie służyć, co jest najpiękniejszym i najpierwszym obowiązkiem szlachcica, pozwól, niechże jako ojciec, boś ty sierota, udzię ci moje błogosławieństwo... chodź.

To mówiąc, wstał; twarz i postawa łowczego tak były poważne i jakoby namaszczone, że wszyscy, milcząc, postąpili za gospodarzem ku jego komnacie

Tu nad niskim łóżem, na starej tureckiej makacie rozwieszoną była w wielkiej ilości broń różnego rodzaju.

Łowczy zdjął krzywą, z żelaznym furdymmentem, w czarnej oprawie, na środku onej zbrojowni umieszczoną szablę.

— Oto jest — rzekł — najdroższa domu naszego pamiątka. Niesie podanie, że niegdyś protoplasta nasz, Drohomir, gdy dzicz rozpasana ojczysty kraj plądrowała, dawszy swym ludziom broń najpierwszą, lemiesz, co rodziną krajał skibę, owym lemieszem, czyli sosznikiem, na prostym osadzonym drążku, dzicz pogańską rozgromił i tę szablę zdobył. Księżyc, który tu widzicie, był na niej pierwszej wyryty, nad nim dodano krzyż i to dziś stanowi godło domu naszego: herb Szeliga.

— Z tą szablą — ciągnął łowczy, drżącym nieco głosem — pra-pradziad mój, Hrehory, był z owym sławnym Zamoyskim i z Radziwiłłem pod Wielkimi Łukami i pod Byczyną; był pod Kokenhauzem i Kirchholmem z Żółkiewskim i Chodkiewiczem... zawsze zwycięzko! W dwóch potrzebach ostatnich walczył przy jego boku pradziad mój, Fedor, i gdy Hrehory pod Kirchholmem wraz z Jurahą

i Mickiewiczem dług ojczyźnie spłacił swem życiem, Fedor, z ciałem rodzica tę szablę podjąwszy, walczył z nią jeszcze z Żółkiewskim pod Kluzynem i pod Ochmatowem z Koniecpolskim... zawsze zwycięzko!... Z nią był dziad mój Iwan pod Lachowiczami, Połonką i Cudnowem, z nią był pod Wiedniem... zawsze zwycięzko!... Z nią wreszcie rodzic mój, Hrehory, bił nieprzyjaciół pod Gdańskiem, i gdy mi ją wręczał, wskazał oto ten napis, co na brzeszczocie wyryty:

Krou ne woda
Prolewaty szkoda.

Kto go położył, niewiadomo; rzecz pewna, że w nim jest tajemnicze zaklęcie, aby to żelazo w obronie tylko ojczyzny podnosić, nie wając się krwi bratniej rozlewać... I póty była ta szabla zwycięzką, dopokąd ci, co ją dzierżyli, szanowali jej godło.

— Niestety! — dodał łowczy z ciężkiem westchnieniem — jam ją najpierwszy w krwi bratniej pokalał... i... zwycięzką być przestała!

Tu dwie grube łzy spłynęły wolno po pełnem natchnieniu i powagi licu łowczego.

— Tak — ciągnął dalej — jam grzeszny człowiek... dziś jestem porywczy, cóż było za młodu?! skłóciłem się z JMPanem Darowskim, którego syn później się z moją siostrą ożenił... biliśmy się... i od tej szabli, z mojej ręki... zginął. Z nią byłem potem pod Lanckoroną... przepowiednia się ziściła... wszystko przepadło! — wyszeptał z cicha.

Pod wrażeniem słów starca zaległo głucho milczenie.

— Naż-ci ją — rzekł zwracając się do Nielepca — bom ja jej nie wart wcale, na mnie też za karę grzechów moich kończy się i ta gałęź rodu naszego; ty ją w słusznej sprawie a zacnym boju obmyjesz, a na jej godło pomny, okaż się godnym tych, co nią przed laty władali... zawsze zwycięzko!

Wszyscy obecni, wzruszeni, stali w milczeniu; Nielepiec bezwiednie prawie uchylił się i przykląkł, podniósł go starzec, uścisnął i błogosławił, a wręczając szablę, mówił jeszcze:

— Patrz! oto na drugiej stronie teraz wyryć kazałem na pamiątkę niniejszego sejmu:

„Die quo arma Polonis restaurata
22 Octob. A. D. 1788.“

— Weźże i to — dodał, zawieszając panu Ignacemu na szyję staroświecki ryngraf z obrazem Bogarodziey. — Myśmy to w Barskiej na naszych koleczugach nosili; dziś u was nowa moda, możesz wszelako ten wizerunek pod uniform włożyć.

— No! Mościpanowie! — mówił, rozweselając się i wchodząc do sali — wypijmyż za zdrowie nowego towarzysza broni, a mego po szabli przybranego syna; w ręce wasze!

I wzniosł do góry srebrnemi talarami i portugałami wykładany puhar:

„Kob łycha ne znaty!“

Łowczanka, nie mogąc ukryć głębokiego wzruszenia, wymknęła się z sali, i przed dom wybiegłszy, przypadła

na ławce, w dłoniach ukrywając twarz, po której gorące łzy potokiem spływały.

Rozmowa zaczynała być w izbie coraz gwarliwszą; Nielepiec, jak gdyby instynktem serca i przeczuciem wiedziony, wybiegł na ganek.

— Panno Heleno! — zawołał żywo, spostrzegając siedzącą — powiedz pani, czyż już żadnej... żadnej nie ma nadziei?!

Łowczanka podniosła oczy i wstrząsnęła głową.

— Ależ ojciec! — nalegał Ignacy — tak dobry, łaskaw, życzliwy... czyżby nie mógł zerwać?

— Nie łudź się pan — szepnęła — ja go znam: zresztą on wie o wszystkim... żałuje tego, co się stało, chciałby to całym sercem nagrodzić... ale słowo!... dane słowo... dla niego to rzecz święta i niezłamana.

Nielepiec stał wzruszony; tysiące beładnych myśli błędziło mu po głowie, dech prawie w piersiach zamierał, chciał mówić — nie mógł, nie umiał.

Oprzytomniała pierwsza łowczanka, i z za rąbka złoty wyciągając krzyżyk, rzekła z cicha:

— Ojciec dał panu na drogę pamiątkę... przyjmże to... odemnie...

Pan Ignacy chwycił dar skwapliwie, tysiącem pocałunków obsypując białą rączkę, co go podawała, ale łowczanka, ścisnąwszy lekko dłoń jego, wyrwała swoją i znikła w bocznej komnacie.

Wkrótce konie i czeladź podróżnych stanęły przed gankiem; po rzewnem i serdecznem pożegnaniu, towarzysze puścili się w drogę.

VI.

Po jarmarku kodeńskim, na który w czas jeszcze do pomocy marszałkowi w przyjmowaniu licznych gości powrócili Nielepiec z Narbuttem, miał się już pan Ignacy nazajutrz wybierać do Mińska, gdy nadspodziewanie nadbiegł kuryer od księcia Kazimierza z oznajmieniem przybycia jego na dni kilka i rozkazem wysłania koni na przepręg i rozstawki od Siedlec do Kodnia. Wypadało więc JMPanu Nielepcowi wstrzymać się z odjazdem i zaczekać na księcia, którego przyjazd na trzydziesty lipca był zapowiedziany. JMPan Jagmin przygotowywał bal i assamble w Rzeczycy pod Brześciem, na dzień siódmy sierpnia oznaczone, które księżę marszałek miał obecnością swoją zaszczyścić, ile że z Jagminem żyli w dobrej przyjaźni. Rozkaz był, aby na Placencyi przygotowano dla księcia pokoje, za salą po prawej stronie położoną, samej księżny sypialnią. Dnia 29 go wieczorem, nadeszły już furgony ze służbą, z którą przybył i kuchmistrz księcia, francuz wielce frymuśny, pod jego też komendę oddał zaraz JMPan Korycki trzech chłopców od kuchmistrza księżnej Jejmości, Pierzanowskiego, w Kodniu zawsze zostającego.

Nazajutrz rano, w celu powitania księcia marszałka, przybyło osób kilkanaście, a między nimi i JMPan sędzia grodzki brzeski, Pius Szczepanowski, prawnik doskonały, a znany powszechnie z tak bystrego dowcipu, że i z chorążym Nietyxą nieraz chodził o lepsze. Miał sędzia submitować się księciu, w jakimś, jak mówił, *interesie działowym*, z kąd przypuszczano, że na książąt musiała spaść nowa sukcesya; ale się rzecz wcale pokazała inna.

Miał Szczepanowski własny dworek w Brześciu, nieco opodal za miastem, od strony Kobryńskiego przedmieścia leżący, w którym mieszkał też z nim razem i JMPan Bohusz, exregent, sławny jurysta, z wielkiej elokwencji i niczem niezamąconego humoru również jak i sędzia znany. Byli to od najdawniejszych lat przyjaciele serdeczni, oba juryści, starzy kawalerowie, oba i gębacze sławni, w całym województwie znani. Owoż, bateria artylerii, która stała w Brześciu, urządziła sobie poligon dla wprawy w strzelaniu, w bliskości dworku sędziego. Ćwiczenia wojskowe teraz właśnie najsurowiej nakazane, i exercycje z działami, lubo szanownym jurystom mogły być niekiedy dokuczliwe, gdy działa „gadać“ poczęły, mało oni wszelako na nie zwracali uwagi, gdyż to jeszcze było pytanie, ktoby kogo w końcu przegardłować potrafił. Lecz dnia pewnego parę kul ciężkiego kalibru zaryło się tuż przy samym ganeczku, koło domu JMPana Szczepanowskiego; byli to goście wcale niespodziewani. A właśnie naówczas JMP. Bohusz z gospodarzem siedzieli sobie obaj przed dworkiem, popijając piwko i ważną jakąś prowadząc naradę.

Rzeczecze tedy pan Bohusz, dokończywszy kufelka:

— Masz widzę Waszmość, panie bracie, jakąś w swej posesyi dyferencję graniczną, kiedy ci tak konkwinkujące pozwy przysyłają.

— Na takie argumenta — odrzekł sędzia — widzi mi się, że i Podkomorskie sądy*) nie na wiele się przydadzą, trzeba będzie gdzieindziej apelację założyć.

*) Sprawy graniczne szły do podkomorskich sądów.

Na tych poprzestawszy uwagach, szanowni juryści rzecz swoją dalej ciągnęli.

Nazajutrz rano, gdy się nowe egzercycye artyleryjskie rozpoczynać miały, kapitan Puzłowski, który tam dowodził, spostrzegł zdala, że się na poligonie samym, który, jak wiadomo, za cel do strzałów ma służyć, znajdowali jacyś ludzie. Posyła więc jednego z oficerów dla spędzenia nieostrożnych, czyli nieświadomych może. Ten, do miejsca dotarłszy, kogoż znajduje? Sędziego z Bohuszem, którzy, postawiwszy między sobą kosz porteru, grają najspokojniej w karty, jak we własnym domu.

— Co tu Waćpanowie robicie?

— Gramy w kalabraka.

— Ależ zmiłujcie się! kapitan mnie przysłał, żebyście ustąpili; zaraz strzelać będziemy.

— Tu, do poligonu? — spytał Szczepanowski.

— A no, oczywiście; na toż on jest, to przecie wiadomo.

— A, jeśli tak — odparł sędzia spokojnie — to my tu zostaniemy... tu będziemy najbezpieczniejsi.

Oficer, naśmiawszy się, ale nie nie wskórawszy, wrócił z relacją do kapitana.

— I nie chcą ustąpić? — pytał Puzłowski.

— Ani myślą.

— Jeśli tak — zaśmiał się kapitan — to będzie figiel za figiel. — I kazał nabijać działa, szepnąwszy żeby dano ślepe naboje, ale celowano jak należy, pewnym będąc, że panowie juryści zmykać będą co sił po pierwszym wystrzale.

Dano ognia.

Gdy się dym rozproszył, spojrzano ciekawie: pan Pius z panem Piotrem grali sobie najspokojniej w Kalabraka.

Nie było sposobu; musiał sam pan kapitan, brnąć po głębokich piaskach, kłaniać się i prosić, żeby ustąpili, zaręczając, że nadal będą się starali lepiej celować.

Nie to nie pomogło wszelako, bo w kilka dni potem znowu kule koło dworku padały. Dowiedziawszy się przeto Szczepanowski o przybyciu księcia, pośpieszył, jako do generała artylerji Litewskiej, z zamiarem zanieśienia prośby o odsunięcie dalej poligonów; gdyż, jak dowodził, kule mu zbyt blisko nosa latały i przez kontyzyę mogłyby go wężchu pozbawić, a jurysta bez wężchu, to, jak stary ogar, będzie w piętkę gonił.

I to był ów *interes działowy* sędziego.

W Kodniu na przybycie księcia wszystko jakby odświętną przybrało postać; rachowano na przyjazd około południa, cała więc starszyzna udała się na ten czas do Placencyi. Jakoż niebawem ukazał się naprzód pędzący ułan dworski, a za nim w ślad, tumany kurzawy podnosząc, przeleciała przez rynek w pełnym galopie poczwórna landara, w poszóstny cug siwy uprzężona, za którą dwóch jeszcze podążało ułanów, i mniejsza, czterma kasztanami, kolasa; to wszystko jak wicher przemknęło, kierując się do letniej rezydencyi, gdzie już goście i domownicy na ganku byli zebrani. Konie kurzawą okryte, z których pot strugami spływał po dyszących bokach, stanęły przed gankiem jak wryte. Z trzaskiem otworzono drzwiczki od karety; śmiejąc się i kończąc jeszcze głośny dyskurs jakiś francuzki, wyskoczyło lekko trzech panów. Naprzód JMPan Marcin Tołoczko, szambelan JKMości, młody i urodziwy; za nim ksiązę Kazimierz, czterdziestoletni mężczyzna, lubo się

młodszy wydawał — (choćbowiem nosił się na ten czas po polsku, ale bez wąsów), średniego wzrostu, twarzy okrągłej, dość pełnej, nieco bladej i jakby nalanej, ust trochę wydatnych, nosa grubawego lecz krótkiego; w ogóle dość miał powierzchowność przyjemną, chociaż i pewne ślady fantazyi pańskiej dawały się w niej spostrzegać. Trzeci wysiadł z karety, słuszny, czarniawy i chudy, kawaler de Maisonneuve, poseł Maltańskiego zakonu.

Gdy ksiązę i przybyli z nim panowie zajęci byli powitaniem, hajduk tymczasem, co drzwiczki od landary otwierał, miał za rzecz najpilniejszą pozbierać w powozie rozsypane karty francuzkie, które też śpiesznie schował do własnej kieszeni; zaczęto znosić drobiazgi i rzeczy, całe towarzystwo weszło do mieszkania. Wszyscy jednak miejscowi wysunęli się niebawem, gdyż podróżni wczasu potrzebowali i dopiero wieczorem miały być „pokoje“, czyli przyjęcie i wieczerza. Dom bowiem ksiązęcy i urządzenie jego całe na takiej były utrzymywane stopie, jak gdyby ksiązę z Kodnia nigdy nie oddalał się wcale; a gdziekolwiek dłużej czy krócej bawił, nic się w zwyczajach i porządku dziennym nie zmieniało. W obowiązki też wszedł natychmiast i Verand, który, ustroiwszy się w koronki i aksamity, latał jak kot z pęcherzem, a niższą służbę pędzał, szturchał i łajał, klnąc po francuzku i po polsku.

Wieczorem jarzące światło zalało blaskiem ciemne dotąd w Placencyi pokoje; przyrządzono wieczerzę, kawę, czekoladę, poncz, cukry i wczesne owoce, rozstawiono do kart stoliki; zgoła, wyglądało istotnie tak, jak gdyby setki najdostojniejszych osób zjechać się miało na bal i assamble. Był to jednak zwyczajny i codzienny porządek życia

księcia Kazimierza; na ten raz zebrało się osób kilkanaście, gości i domowników.

Książę wiedział już o sprawie działowej JMPana Szczepanowskiego i uśmieł się z niej serdecznie; spostrzegłszy przeto wieczorem sędziego, rzekł zaraz przy powitaniu.

— Mam Waćpanu proponować, panie sędzio, czybyś nie zechciał rzucić swojej mozolnej jurisprudeneyi, a przejść do mnie na instruktora artyleryi, bom słyszał, że po Waszej nauce kapitan Puzłowski daleko lepiej teraz strzela.

— Najmocniej dziękuję JO. księciu generałowi za jego łaskę — odparł Szczepanowski — ale nie jestem pewnym, czyby moje kule tak dobrze do celu trafiały, jak pozwy, repliki i dupliki, które nie chybiają zwykle, a przeciwników regularnie biją.

— Jeśli tak — dorzucił książę — bądźże, szanowny sędzio, spokojnym; zaręczam ci, że twój dworek nie będzie nadal za poligon służyć.

Wiedzieć bowiem potrzeba, iż księstwo starali się zawsze brzeską palestrę sobie kaptować dla ciągłych spraw i mnóstwa interesów, które przychodziły od nich bądź do grodu, bądź do ziemstwa Brzeskiego.

Natychmiast zatem książę generał przesłał rozkaz do kapitana, aby poligony od domku sędziego oddalono; ale Puzłowski, urażony, że się nań skarżył sędzia, a w protekcyą generała Judyckiego ufny, składał się różnemi pozorami, nie robił nic, i JMPana Szczepanowskiego jeszcze gęściej niż przedtem pociskami obrzucał. Gdy o tem księciu Kazimierzowi doniesiono, że był impetyk wielki, wpadł w pasyą i wydał rozkaz, aby Puzłowski natychmiast wracał do korpusu, a na miejsce jego inny oficer był naznaczony i przysłany. Zrobiła się tedy z małej sprawy lukta

gorąca, bo generał Judycki nie chciał ruszać Puzłowskiego z Brześcia, tłumacząc się tem niby, iż on w komisji cywilno-wojskowej zasiadał.

Latały więc kuryery z Brześcia do Mińska i z powrotem przez cały tydzień, i książę, wyjeżdżając z Kodnia, mocno był na Judyckiego rozgniewany. W istocie też wkrótce wezwany był Judycki do Warszawy, księcia przeproszać musiał, a lubo Puzłowskiego zostawiono na miejscu, z konfuzyą jednak niemałą musiał swoje poligony rozrzucić i nowe gdzieindziej usypać.

Na wyjeździe z Kodnia, książę przypomniał sobie, iż Nielepiec miał się do korpusu Judyckiego zaciągnąć, a że owa sprawa była naówczas w przejściu najdrażliwszem właśnie, rzecze więc, przywoławszy go do siebie:

— Waćpan się do Judyckiego korpusu wybierasz?

— Miałem list polecający od Waszej Ks. Mości — odrzekł pan Ignacy — oddałem go, i właśnie chciałbym jutro jechać.

— Bardzo mi to nie na rękę — mówił żywo książę — Waćpan jesteś przyjacielem naszego domu, Judycki mi „robi szykany“; jeśli możesz więc, idź lepiej do Zabielly, ja ci list zaraz sam napiszę.

Nie było o co się targować, i Nielepiec, zamiast do Judyckiego, zaciągnął się do korpusu Zabielly, czego główną przyczyną była owa sprawa działowa sędziego Szczepanowskiego. I oto, jak się dziwnie losy ludzkie na tym świecie ważą: gdy bowiem nadeszły działania wojenne w roku następnym 1792, Judycki, który, jak się okazało, zabawy z prochem nie lubił, lawirował ze swym korpusem tam i sam, potyczek unikał, i tak się urządzić potrafił, że go wreszcie do boku królewskiego wezwano; a wiadomo,

że tam od kul najbezpieczniej było, gdyż król Jegomość „raczej piórem, niż orężem“, jak to sam wyznaje, wojować wolał. Zabięto zaś, z całą gorliwością i zapałem obowiązki obywatela i generała wypełniający, bił się walecznie, a jak się niżej okaże, znajdowanie się właśnie Nielepca w korpusie Zabięty głównie i stanowczo na los i przyszłość całą pana Ignacego wpłynęło. I okazało się po raz tysięczny, jak nieraz przyszłość człowieka zależeć może od okoliczności, ani dających się przewidzieć, ani żadnego z nami na pozór nie mających związku.

Tymczasem ślub podstolego z łowczanką już był na wrzesień naznaczony; z obu stron czyniono ku temu wszelkie przygotowania, lecz nadspodziewanie w pierwszych dniach lipca zmarła staruszka matka JMPana Ruszczyca z przestachu i przeziębienia, gdy w Iwanowicach stara kuznia zapaliła się w nocy. Chorąży Nietyxa opowiadał, że kiedy się z podstolim spotkał, a nic o śmierci jego matki nie wiedząc, spytał jak zwykle:

— Cóż tam u Waszmości słyhać?

Ruszczyca miał mu odpowiedzieć:

— A nic, tylko mi się przypadek zdarzył.

— Jaki?

— Umarła mi matka.

Owoż, prawda to była, czy tylko koncept chorążego, to wszelako pewno, że podstoli wprawdzie czarno się odział, przy czem, w niemieckim stroju, jak istny karawanierz wyglądał, ale tak ciężkiej straty nie zdawał się wielce uczuwać. Dalej tedy do ślubu przygotowania czynił i do Turowa dojeżdżał; stary jednak łowczy, dowiedziawszy się o tym „przypadku“ Ruszczyca, jako człek dawnego automatu, święcie i niewzruszenie tak przepisy Kościoła,

jako i stary obyczaj szanujący, ani chciał słyszeć o ślubie, póki-by rok żałoby nie upłynął, w czem również i łowczanka całkowicie zdanie ojca podzielała. Ale uparty podstoli za wygraną nie dawał, pewnym będąc, że do przyspieszenia ślubu zdoła jeszcze i ojca, i pannę nakłonić.

* * *

Jesień w kraju naszym ma już sławę ustaloną, i słusznie; powiew przychodzi w tej porze zwykle od strony wschodnio-południowej, pociągniony wygrzaniem przez lato północnych stref naszych, i płynie nam suche a czyste powietrze z szerokich pól i stepów od strony Podola i Ukrainy. Wyjaśnia się i oczyszcza niebo, jak gdyby przed wichrami jesieni i zimową zamiecią chciało nam dni wiosennych odnowić wspomnienie.

Był to więc jeden z owych pięknych jesiennych wieczorów; w Turowie cisza i spokój panowały jak zwykle. Stare drzewa, przed snem zimowym mając ozdobną letnią szatę zrzucić, zmieniały jej barwy w tysiączne odcienia: ściemniały poważne świerki, dąb się purpurą okrywał, rumieniły się powiewne brzozy, a klony, jeszcze w liście bogate, od wierzchołków do spodu jakby z czystego złota stały wyrzeźbione; piękność barw sprzecznych i różnaitość zastąpiły wdzięk świeżości wiosennej, a krajobraz cały, lubo odmienny, nie mniej się uroczo przedstawiał; najwięcej jednak było pociągającym dla oka wspaniałe jezioro.

Dziwny jest prawdziwie i tajemniczy pociąg jakiegokolwiek większego zbiorowiska w ruchu znajdującej się wody. Żaden człowiek, bez różnicy płci, stanu i wieku, oprzeć się temu wrażeniu nie może. Kto zaś choć czas

krótki mieszkał kiedy u brzegu jeziora, łatwo się mógł przekonać, jak ono zawsze na pozór jednakie, nieskończenie jednak rozmaite przybiera cechy i oblicza, stosownie do pory roku i dnia, koloru nieba, słońcy i wichrów, pogody lub ciszy; jak w chwili zmian powietrznych zmieniają się barwy i ruch fali; a wśród wód, najrozmaiciej pomarszczonych, gładkie jakieś, nieruchome a połyskujące jak zwierciadło, tworzą się ścieżki i gościńce, jak gdyby niewidzialne jakieś dla ludzkich oczu przebiegać miały po nich istoty. Jezioro Turowskie, tego wieczoru ku środkowi tylko od drobnych fal przyciemnione, brzegami szklistą i spokojną połyskiwało powierzchnią; z dala od wsi dolatywał gwar wieczornego ruchu, zmieszany, niewyraźny, ale pełny życia i swobody, bo dla wieśniaka jesień, to dostatek, a dostatek — wesele; ligawka tylko tęskne przesyłała tony.

Łowczanka, wsparta na rękę, zadumana i smutna siedziała na ganku, łzawy wzrok utopiwszy w wodach jeziora.

Szelest liści a ciężki i miarowy krok zwiastował łowczego, który z pola powracał. Spojrzał na córkę, wstępując na ganek.

— Daj pokój tej tęsknicy — rzekł, westchnąwszy i siadając obok niej stary, — to darmo! *sužonoħo i koniom ne objidesz.*

— Prawda to — odparła z cicha córka — ale... i mimowoli czasem zadumać się można.

— Żal-bo mnie patrzeć na ciebie, moja Heleno! — mówił ojciec — nie przymuszałem; a kiedy się to w Siemiatyczach układało... byłaś wesołą, nawet i swobodną; dziś... gryzie cię, widno, nie małżeństwo z podstolim, ale to, że nie możesz iść za... kogo innego.

Na te słowa żywy rumieniec okraślił twarz łowczanki; milczała.

— Hm — mruknał stary — gryzie mnie tylko sumienie, żem tego chłopca ukrzywdził niewinnie... ot, tak się wszystko poplątało! Ale cóż robić? co poradzić? daliśmy słowo... po zaręczynach... przepadło!

Spojrzał na córkę; siedziała milcząca, a dwa strumienie łez, długo powstrzymywanych, staczały się po jej licu.

Serce starego ojca zadrżało; i jemu, pomimo lat co źródło wyczerpały, łzy zabłysły jeszcze na powiekach; ale, przywykły sam w sobie przetrawiać zgryzoty, wstał i odszedł żywo.

Cichość panowała dokoła, wiatr tylko lekki od czasu do czasu po gałęziach drzew zaszumiał, plusnęła fala jeziora, lub ptak jaki wodny dzikim pojedynczym wykrzykiem przerwał to uroczyste milczenie.

Łowczanka zadumana nie ruszała się z miejsca; oddalony turkot powozu zbudził ją z odrętwienia. Słuchała. Turkot przybliżał się i coraz wyraźniej słyszeć się dawał; wstała więc szybko i wbiegła do domu.

Niebawem ukazały się znane srokate konie, i żółta kolasa podstolego stanęła przed gankiem.

Starym obyczajem, gospodarz, lubo chmurny i zasępiony, wyszedł na powitanie.

— Upadam do nóg, szanownego łowczego dobrodzieja, — wesoło wykrzyknął, wysiadając, przybyły — droga panie jak mur, jak bookom, tylko te piaski, to panie niech ich!...

— Zkądże Waszmość dzisiaj?

— Ja panie, z Włodawy; zjechaliśmy się z Sierakowskim z Opoła; gadu, gadu, ot... zmarudziłem trochę.

Weszli do środka.

Łowczy mówił mało; podstoli w różowym humorze plótł duby smolone, chcąc widocznie rozruszać starego; oglądał się co chwila za łowczanką, ale ta nie wychodziła wcale. Ukazała się dopiero przy podanej wieczerzy, zimnym ukłonem odpowiadając na gorące powitania narzeczonego.

— Panna Helena — rzekł Ruszczyc przy stole — cokolwiek blada, może nie wyspana?

— Miałabym czas przecie — odparła, lekko ruszając ramionami.

— Już-to — mówił, śmiejąc się, konkurent — czasem i po obiedzie drzemka, jak bookom, dobra rzecz, zdrowiu służy, no, i z wieczora też, żeby nie marudzić; a w Siemiatyczach u wojewodziny, to słyszę, taki obyczaj, że wieczorami jakoby lekturą czasem i do północy się bawią. Pewno panna Helena do tego przywykła; a to panie, ta... tego... lektura, to, jak bookom, ostatnia rzecz, najgorzej zdrowiu szkodzi!

— Jednak tam — przerwał łowczy — nie chorują jakoś, Bogu dzięki, a rozum mają.

— At! co tam! — bąknął podstoli — książkowy rozum, panie, to, jak bookom, na dyabła się nie zdał!

Rozmowa urywała się co chwila; ojciec i córka nie mieli do niej wcale usposobienia i podtrzymywać nie byli zdolni.

Po wieczerzy, gdy gość i gospodarz zostali sami, przystąpił podstoli do starego.

— Panie łowczy dobrodzieju — rzekł, zbierając się widać na odwagę — jakże będzie ze ślubem?

— Jakże ma być? — odparł Drohomirecki chmurno—

jesteś przecie Waszmość w żałobie, trzeba czekać do swego czasu.

— Ii... bo toby... można...

— U was dziś, widzę, wszystko można — kwaśno przerwał gospodarz — nie dziwiłbym się młokosowi... ale Waćpan! Pilno ci do tego szczęścia! — dodał ożywiając się — a ja ci powiem otwarcie... no, daliśmy słowo i ja, i córka... nie zrywamy; ale dziś, gruntownie się rozpatrzywszy, nie widzę ja w tem szczęścia ani dla ciebie, ani dla Heleny.

Ruszczyc stanął z wpół otwartemi ustami.

— O! dla czego? — spytał wreszcie.

— Bo ona nie dla ciebie... no, i Waszmość nie dla niej.

— Jakto Waszmość... e... niby ja... nie dla niej? — spytał żywo podstoli.

— Tyś stary, ona młoda — mówił łowczy — miłości prawdziwej wymagać nie możesz, a ona zresztą, wiedz o tem z góry, idzie za Waćpana, bo słowo jest dane, ale bodaj czy nie nosi w sercu... afektu do kogo innego.

— Do kogo innego?! — powtórzył Ruszczyc — no.. to co? jak będzie moją żoną, to ja, jak bookom, dopilnuję, o! dopilnuję! A że tam będzie o kim sobie myśleć, e, e, to się zapomni z latami.

Łowczy uśmiechnął się pogardliwie.

— Dziwny z Waszmości człowiek! a jeśli tak, to ci wszystko równo z kim się ożenisz.

Uśmiechnął się podstoli głupkowato.

— Kiedyż-bo, jak bookom, mnie panna Helena okrutnie do gustu!

— To się Waszmości tak wydaje — rzekł łowczy —

długo ja na świecie żyję i patrzę uważnie; Waszmość miłujesz samą glinę, a nie ducha co ją ożywia; takich glin jest wiele, a duch... każdy inny; taka też jest różnica Waścinego miłowania Heleny, i tego afektu, który ona w swoim sercu nosi. Ty możesz miłować po swojemu tę, drugą i dziesiątą, a ona... co raz pokocha, pewnym bądź, że nie zapomni do śmierci.

— Hm — mruknął, nieco zbity z tropu podstoli — tak... ja wiem, wiem; gadali, że słyszę ten Nielepiec koperczaki do niej stroił; no, ale poszedł w świat... z Panem Bogiem... może gdzie i zginie na wojnie. Ale to wszystko... tego, te nowomodne lektury, jak bookom, romanse; to... o głupstwo! Wszelako, niech pan łowczy będzie spokojny, asekuruję... oho! już ja tam nie będę taki głupi, żeby tego... tak; i, i, zapomni!

Łowczy machnął już tylko ręką niechętnie; rozmowa się skończyła.

Podstoli, widząc, że jakoś na złe humory natrafił i nie mogąc przyspieszenia ślubu wyjednać, przenocowawszy tylko, nazajutrz rano odjechał.

VII.

W kraju tymczasem wypadki szybkim rozwijały się krokiem. Sejm, z końcem 1790 roku w podwójnym składzie posłów działający, zręcznym obrotem podkanclerzego Kołłątaja i Ignacego Potockiego, przez podstawienie do boku króla Piatolego, który pełne zaufanie panującego umiał pozyskać, wzmocnił się współdziałaniem monarchy. Stanisław August, wahający się do tej pory, otwarcie wre-

szenie i stanowczo przechylił się na stronę partyi narodowej.

Tu nadmieniamy nawiasem, że w działaniach sejmu czteroletniego rozróżnić należy zabiegi dyplomatyczne od właściwych prac organizacyjnych. Cała sprzeczność sądów późniejszych o przebiegu sejmu czteroletniego leży w tem zagadnieniu. Bo gdy alians z Prusami, popierany przez stronnictwo reformy, lubo usprawiedliwiony poniekąd chęcią wyłamania się z ciężących innych traktatów, mógł być na ten raz krokiem fałszywym; to prace czysto konstytucyjne niewątpliwie były najszczytniejszym odrodzenia się narodowego dowodem.

Większość sejmujących czuła nieodzowną potrzebę jak najszybszego w przeprowadzaniu uchwał sejmowych działania; gdyż partya przeciwna, nieskończone wznawiając nad każdym szczegółem dyskusye i gadaniny, przez lat dwa paraliżowała i opóźniała wszelkie roboty: w tym celu uradzono, aby Kiciński, szef gabinetu królewskiego, poseł ziemi Liwskiej, podał wniosek o uchylenie prawa z roku 1768, które nakazywało rozbiór każdego projektu, punkt po punkcie, szczegółowo. Sesya była niesłychanie burzliwą, większość jednak utrzymała wniosek Kicińskiego, i odtąd każde nowo wnoszone prawo w całości przyjmowane, lub uchylane być mogło, co dla spieszniejszego działania stanowiło krok nader ważny.

Niechętni sejmowi i nowo wprowadzanym prawom, Szczęsny Potocki, generał artyleryi koronnej i hetman, Seweryn Rzewuski, dla dogodzenia bądźto ambicyi, bądź fałszywym przekonaniom, u dworów obcych monarchów szukali poparcia swoich zamiarów, chcąc nowy porządek obalić. Napróżno pisano, proszono ich i namawiano, aby wró-

cili i uczestniczyć chcieli w pracach sejmowych, które dla dobrobytu i siły kraju najpewniejsze dawały rękojmię; żadne zabiegi i starania skutku nie odniosły. Sejm przeto w dniu 27-ym stycznia 1792 roku, na wniosek posła Inflanckiego, od urzędów wszelkich Potockiego i Rzewuskiego odsądził. Bronił ich szlachetny książę Kazimierz Sapieha, dowodząc, że „obłąkani są, ale nie zdrażliwi“, uchwała wszelako większością głosów zapadła.

Hetman Ksawery Branicki, szlachcic butny i dzielny, ale w charakterze ani stałości, ani powagi żadnej nie mający, mniej zły, niż lekkomyślny i zepsuty, sumiennie zresztą przekonany o doskonałości dawnego w Rzeczypospolitej porządku, łączył się już z Rzewuskim i Potockim, w niepewności jednak przyszłych ewentów z kraju się nie ruszał, i lubo działaniami partyi przeciwnej kierował, czynił to jednak tak ostrożnie, żeby, stosunków z większością sejmową nie zrywając, zawsze mieć wolne do odwrotu pole. Tak dotrwał do pierwszych dni marca 1792 roku, ale zbliżał się czas wspólnych z Rzewuskim i Potockim robót stanowczych, trudno było dalej wśród tych fal przeciwnych lawirować; znalazł jednak sposób usunięcia się bez hałasu: prosił króla o urlop dla odebrania jakoby spadku po stryju swej żony. Za usilnem wstawieniem się pani Grabowskiej i wielu pań innych, nie bez trudności wszelako, król i stany wydały mu w dniu 14-ym marca pozwolenie opuszczenia sejmu.

Na Litwie w duchu tejże samej opozycji działali Kosakowscy, z tą wszelako różnicą, że całą władzę, jaką rozwijali, a w pełni na czas jakiś ogarnęli później, zwrócili głównie do widoków czysto osobistych.

Stanął dnia 14-ty maja akt konfederacyi, zawiązanej

w Targowicy, w Litwie podobnie, a Szymon Kossakowski w Wilnie sam siebie ogłosił hetmanem, jak się wyrażał „z woli narodu“.

Naród tymczasem jeszcze w dniu 3-cim maja, przez delegatów wszystkich ziem i województw z największym przepychem i wspaniałością obchodził rocznicę wiekopomnej uchwały, a widząc w tem istotne dzieło opatrności, na cześć jej świątynię wznieść postanowił.

Niechętni, poglądając z daleka, z przekąsem o tym wspaniałym wyrażali się obchodzie; wówczas to pojawił się wierszyk pod tytułem :

Prognostyk *).

„Myślałem, co też będzie z majowego wrzasku?
Aż widzę: rząd na lodzie, a kościół na piasku!“

Ale zaraz znalazła się i gorąca odpowiedź:

„Ciekawys, co też będzie z majowego wrzasku?
Rząd trwały, kościół chwały, harde łby... na piasku!“

Pan chorąży Nietyxa, jako niedoszły poseł, żartował sobie również z solenności warszawskich i dowodził, że „zapóźno obejrzano się zakładać kamień węgielny pod świątynię *opatrzności*, gdyż publiczność za długo *nieopatrzności* hołdowała.“

W tym gorzkim żarcie było nieco i prawdy; sto tysięcy wojska na początku sejmu uchwalono, a przez lat

*) Z papierów współczesnych.

cztery ledwie połowa tej liczby uorganizowaną została. Były w istocie przeszkody w opozycyi sejmowej i w niedołęztwie króla, lecz najprawdziwszą przyczynę opieszałości stanowiło niepojmowanie zgoła całej grozy położenia; posypały się wprawdzie później hojne od wszystkich stanów i z ostatków mienia ofiary, ale już było... poniewczasie.

Wojna została wypowiedziana.

Wojska, posiłkujące nowo skonfederowanych, wkroczyły 20-go maja na Ukrainę; Kochowski, Derfelden, Lewanidów, generałowie, a z nimi Potocki i Branicki, tworzący konfederacyę koronną.

Na Litwę weszli: Kreczetników, Metlin, Fersen, z nimi Kossakowscy i konfederacya litewska.

Dwa te pod jednym hasłem rokosze dążyły do zjednoczenia się w Brześciu litewskim, dla zawiązania tak zwanej generalnej konfederacyi.

I jakby na urągowisko, zbabiałemu, najśłabszemu z królów, jacy kiedykolwiek w Polsce panowali, naród, uderzony gromem niebezpieczeństwa, oddaje władzę nad wojskiem, władzę najwyższą, jakiej żaden z najdzielniejszych nie piastował monarchów.

Naczelne dowództwo powierzono księciu Józefowi Poniatowskiemu, który nie tylko chciał, ale mógłby był niejednokrotnie stawiać opór zacięty, i mimo sił znacznie mniejszych, za współdziałaniem jednak tak znakomitych generałów, jak Tadeusz Kościuszko, Wielhorski, Zabiełło i inni, losy wojny i kraju mogły być jeszcze stokrotnie zmienione. Lecz król, który publicznie zapewniał, że się „postawi i wystawi“, wolał wydać owo sławne pisemko: „Raczej piórem, niż orężem“, i postanowił bawić się w isto-

cie piórem, dyplomacją i układami, a wojsku polecił cofać się, jak najmniejsze i nieuniknione tylko staczając utarczki; kazano, wedle wyrażenia ówczesnego „bronić się dyskretnie“!

Wojska też polskie szły wstecz nieustannie, posuwając się ku linii Bugu, jako strategiczną niby obronę stolicy zapewniającej. Na Wołyniu działał książę Józef, Wielhorski i Kościuszko, przeciw Kochowskiemu, Tormansowowi i Lewanidowowi; na Litwie przeciw korpusom Kreczetnikowa i Ferzena: Judycki, Bielak i Zabiello.

Kiedy więc do Kodnia zewsząd o rozpoczynającej się wojnie różnorodne a najsprzeczniesze nieraz dochodziły wieści, znalazł się JMPan Korycki znowu w niemałym kłopotcie. Lubiący porządek i do niego przywykły, widział teraz w powszechnym popłochu rozprzęgający się ten ład ogólny, tak mozolnie wprowadzony i utrzymywany przez siebie od dawna. Już podczas sejmu wszystkie umysły mniej więcej były poruszone; społeczeństwo bowiem całe, żadnego nie wyłączając stanu, na nowych zgoła organizowało się podstawach; jakoby się cały naród odradzał. Nie było więc człowieka, któryby tych zmian kardynalnych nie uczuwał. Z nadchodzącą wojną i przewidywaniem zmian różnych, niespokojność też wszystkich opanowała: ci, którym się nowy stan rzeczy podobał, bali się o trwałość jawnie zagrożonej konstytucyi; niewielka liczba innych, co, z bojaźni zbyt gorących reformatorskich dążeń, trzymała się na boku, uważała wszelako, że Targowicka konfederacya jest lekarstwem, gorszem od choroby. Pierwsi zaś i drudzy, jako i reszta klas nieukształconych, bali się następstw wojny, czyli klęsk wszelkich, jakie ona z konieczności za sobą pociąga.

Szanowny marszałek, który przedewszystkiem zajęty był swemi obowiązkami, nie lubiąc się w politykę bawić, i dla którego każde słowo JO. księżnej pani było jakoby ewangeliczną prawdą, pocieszał się dość długo listami dziedzicki, donoszącej, że to wszystko „jakoś się ukartuje“; ale uniwersał królewski z dnia 2-go lipca, zwołujący pospolite ruszenie, zbił go z tropu zupełnie.

Zastała go żona w głębokiej zadumie, trzymającego w ręku ów dokument fatalny.

— O! będzie źle! — rzekł, spostrzegając nadchodzącą.

— Cóż tam takiego?

— Księżna ciągle pisze, że to się jakoś ukartuje, a tu, widzę, co raz gorzej się miesza.

— Co gorzej? wojna?

— A no, wojna; uniwersał królewski, pospolite ruszenie; to panie... nie żarty!

— At! zachciałeś się Jegomość turbować; na rekruta nie pójdiesz.

— Jeszcze czego?! ale wojna, bój się Boga! mogą być rabunki...

— Jezus Marya! niech Bóg broni! — zawołała pani Korycka.

— A widzisz Imość... a czasu wojny bez tego się nie obejdzie; muszą rabować, bo już to panie żołdat, wiadomo, „pod taką się planetą urodził“!

Tu wszedł żywo ksiądz Ambroży.

— *Laudetur* — ozwał się na powitanie.

— *In saecula*.

— Słyszałeś, marszałku? umarł stary Wereszczaka.

— Umarł?

— Umarł; zostawił sto tysięcy gotówki — mówił żywo Bernardyn — ale to nic; wiesz, marszałku, z czego umarł?

— No?

— Słyszę odebrał jakieś polityczne wiadomości z Warszawy, zgryzł się i... kaput!

— Może być — odparł z westchnieniem Korycki — co to panie, takie czasy!

W tej chwili wbiegł Narbutt.

— Panie marszałku — zawołał — nowina! pełny rynek wojska!

— Co, wojsko? jakie wojsko?

— Pułkownik Rymiński z Judyckiego korpusu — mówił Narbutt — przyprowadził rekrutów ze Słonima i tu mają stanąć na kwatery; pięćset głów, słyszę!

— Masz tobie! — stęknął marszałek — och! żebyż to głowy, ale brzuchy i gardła, a jeszcze może i długie ręce!

Nadszedł Koreywa, zaczęto się naradzać nad pomieszczeniem pułkownika, gdy drzwi się jeszcze otwały i wszedł stary Opoczyński, niosąc list jakiś kilku opatrzony pieczęciami.

— Proszę pana marszałka — ozwał się powoli i dobitnie — sztafeta z Warszawy!

Wszyscy zamilkli; Korycki z gorączkowym pośpiechem rozłamał pieczęcie, rozdarł nawet nieco kopertę, co mu się nigdy nie zdarzało; wypadł list od księżny i jakieś rejestra.

Ciekawość malowała się na każdym z obecnych, ale najdobitniej na twarzy Koreywy, którego przerażały wieści wojenne; z głową nieco naprzód podaną i wyciągniętą szyją, szeroko rozwarte oczy wlepił w twarz Koryckiego,

jakby z niej treść listu chciał wyczytać; a jak marszałek przy swej cichej lekturze lekko poruszał wargami, tak w ślad za niemi bezwiednie poruszały się usta komisarza i, z wyjątkiem nieruchomych oczu, twarz jego cała, jak wierne zwierciadło, odtwarzała mieniące się pod wrażeniem listu oblicze marszałka.

Spochmurniał Korycki.

Zasępił się pan Koreywa.

Marszałek zbladł trochę.

Komisarz zrobił się biały jak chusta.

— Źle, Mości panowie — rzekł wreszcie gospodarz, list opuszczając — bardzo źle... wojna!

— No — zaśmiał się Narbutt — to nie nowina; wiedzieliśmy przecie, że do tego idzie.

— Tak! — przerwał chmurno marszałek — ale księżna pani pisze, że rozkaz wyszedł bronić przez Bug przeprawy... więc sam ogień będzie u nas. Każe księżna co kosztowniejsze rzeczy do skarbcza w kościele pochować.

— Nie zdźwigamy się bardzo — zauważył Narbutt z uśmiechem — tu rzeczy żadnych niema.

— O! niema! — powtórzył Korycki — że acpan nie wiesz o nich, to nie racya; są, tylko nie wiele tego, bo dużo do Warszawy zabrano; ot, księżna i registr przysłała — zaczął czytać głośno: — Cztery kulbaki i cztery do nich rzędy, kamieniami sadzone; dwa dywdyki tureckie, buława z turkusami, klawa hebanowa, buzdygan aspisowy, ołtarz bursztynowy, sahadak turecki, kubek słoński, trzy puhary srebrne...

— Ba! — przerwał Koreywa — to i srebra stołowe...

Marszałek ruszył się żywo.

— A! prawda! — zawołał — no, chodźmy na górę, trzeba się brać do pakowania, niema co odwlekać.

Działo się to we czwartek dwunastego sierpnia.

Popłoch się już tego dnia zrobił w całym miasteczku.

Nazajutrz zaraz doszła wiadomość, że książę Józef, przeszedłszy Bug, stanął obozem w Dorohusku, Wielhorski w Świerżach, a w Dubience Kościuszko.

W niedzielę, piętnastego, wiedziano już, że w sobotę nadciągnął Kochowski z Włodzimierza do Uściługa, a Lewanidow do Lubomla.

MPan strażnik Mierzejewski wpadł na kilka godzin do Kodnia w przejeździe do Warszawy, i zwiastował na pewno, że Zabięło stoi w Szereszewie, ale lada dzień ma wyjść do Brześcia.

Burza z dwóch stron przeciwnych wprost na Kodeń ciągnęła; kto żyw, radby był uciec gdzieś za dziesiątą granicę, ale nikt ruszyć się nie śmiał; Koryckiemu bowiem wyraźnie poleciła księżna, aby siedział na miejscu i przykładem swoim wszystkich w Kodniu utrzymał. Czekano więc od dnia do dnia, dziękując Bogu za każdą spokojnie upłynioną dobę. Trwoga jednak taka opanowała mieszkańców, że po nocach wszędzie widać było w oknach światełka; chodzono, zbierano się, naradzano kupkami, to po mieszkaniach, to na ulicy, starszyzna u marszałka; w dzień czasem gdzie kto mógł, przedrzymał się w kącie. Dwóch było jednak ludzi, na których cały ten popłoch najmniejszego nie robił wrażenia: ksiądz Ambroży i stary murgrabia. Pierwszy, lubo się polityką więcej niż wszyscy zajmował, osobiście jednak żadnej nie podpadał trwodze, i wszystkich jeszcze uspakajając, plagę wojny przyjmować kazał z pokorą i umysłem pogodnym, jako karę lub przestrogę,

z ręki Boga zesłaną. Stary zaś Opoczyński uśmiechał się tylko, pogardliwie spoglądając na wylęknionych.

— Ot — mówił — boją się, panie tego, dyabli wiedzą czego! no, będzie bitwa, to będzie; wielka rzecz! Jak drugi, panie tego, tchórzem podszyty, to może się schować w mieście, licho wie gdzie! Niechby, panie, popróbował w czystym polu! oho! to inna rzecz! A tu co? mury około... at!

Nie każdy jednak obojętnym był tak, jak stary murgrabia; zaraz w niedzielę wieczorem, wpadł do marszałka niemiec Rajmer, chirurg kodeński, zaperzony i wystraszony, oznajmując łamaną a pocieszoną polszczyzną, że musi jechać do Warszawy, bo się boi dostać po plecach „z nahajką“. Napróżno go uspakajał Korycki; zniecierpliwiony wreszcie, pozwalał niemcowi odjechać, zastrzegając wszelako, że mu już powrócić nie będzie wolno i przypadnie obiecana przez księżnę gratyfikacja.

— Gratification?! — powtórzył z cicha Rajmer — i dech wciągając w siebie, dodał basem — jaa...

— No cóż? — pytał marszałek, widząc milczącego i zadumanego mocno chirurga — jedziesz do Warszawy?

Rajmer uchylił głowę i ręce rozstawił.

— Ba! już musi tu zostałem być!

— A nahajki? — spytał z uśmiechem Korycki.

— No... cóż robić... będzie gratification!

Tak jak Rajmer, i wielu innych byłoby do ucieczki gotowych, ale marszałek siedział sam i o ile możliwości wszystkich zatrzymywał na miejscu. Rekruci pułkownika Rymińskiego nie wiele dodawali otuchy, jako żołnierz nie-liczny, młody, mało wyćwiczony; w trwodze więc nieustannej oczekiwano wypadków.

We wtorek wieczorem, siedemnastego, nadjechał z Włodawy żydek wystraszony, zaręczając, że około południa słyszano huk dział od strony Dorohuska, co też i w Kodniu uważali niektórzy.

Jakoż nazajutrz zaraz dobiegła wiadomość o sławnej pod Dubienką potyczce, gdzie generał Kościuszko, mając w swej dywizyi około *sześciu tysięcy* żołnierza, stawiał czoło nieprzyjacielowi, atakującemu go w *szesnaście tysięcy* wojska. Z obu stron potyczka była niesłychanie zaciętą; zginęli w tej akcji najlepsi oficerowie nieprzyjacielscy: Złotuchin, Potemkin, Kochowski, synowiec generała, Lambert, i najdzielniejszy, jak to powszechnie uznano, podpułkownik Pallenbach. Miał to być nie stary człowiek, pochodzący z dawnej kurlandzkiej rodziny, która też zjechała była na miejsce dla postawienia pomnika.

W bitwie tej przy obozie polskim znajdowali się i oficerowie austrijscy, którzy tam przez ciekawość obrotów wojennych przybyli umyślnie.

Tymczasem Zabiełło nadciągnął z korpusem swoim i rozlokował się w Brześciu i Terespolu; po bitwie zaś pod Dubienką, odpoczywał Kochowski dni kilka, a Lewanidow stanął w Lubomlu, gdzie hetman Branicki świetnie dla sprzymierzeńców przygotował zabawy, festyny, bale i polowania. Jak w dym tedy, pisze hetman do JMPana Koryckiego, żeby mu przysłał *dziesięć tysięcy* lamp, których do iluminacyi potrzebowano. Schwycił się nieszczęśliwy marszałek za głowę, z kąd ich wziąć? w całych dobrach kodeńskich, jak świat światem, takiej ilości lamp nie widziano; ledwie ośmset pięćdziesiąt zebrało się w kościele i dwóch cerkwiach, w Kodniu i Okczynie, i te więc najspieszniej do Lubomla odesłał.

Hetman bawił swoich gości; ale rad był przytem, że i sam sposobność miał do zabawy; nie dość bowiem że pił, jadł i hulał, lecz upewniano, że fetując swoich nowych przyjaciół, czasem sobie z nich i żartował niemiłosiernie, płatał figle i tysiączne psikusy, z których się później brał za boki od śmiechu. Skrupiało się to najczęściej na niższych, prostej kondycyi oficerach, którzy w tym kraju nie będąc nigdy, a obyczajów większego świata nie świadomi, rozmaite towarzyskie popełniali śmieszności. Do tych przeto omyłek naprowadzał ich najwięcej umyślnie sam hetman, a dopomagał mu też w owej zabawie własny towarzysz owych oficerów, już nieco więcej ze światem obyty, niejaki książę Kozłowski, rotmistrz, jak mówiono, żołnierz wielce odważny, gorącej krwi, a wesołego serca, który miał i ze starożytnej pochodzić rodziny, bo się od rusińskich książąt Włodzimierskich wywodził; z nim hetman był znajomy od dawna i w dobrej żyli przyjaźni.

Chcąc go też ufetować, jako w łowiectwie zamiłowanego wielce, a zwłaszcza na wilki, które szczwać lubił, że znaczne tych szkodników gniazda znajdowały się w stronie Ratna, nie daleko Turowa, lubo to i odległość była nie mała, tam postanowił polowanie urządzić. Dzień na niedzielę 22 sierpnia naznaczono; o święto bowiem nie wiele dbano, a spodziewano się łatwiej spędzić obławę; bo włościanin, nie mając w polu roboty, na wilka, jako na najpierwszego wroga swego, zawsze idzie z ochotą.

Na dwa dni naprzód wysłano już psy, konie i ludzi; że zaś prócz księcia Kozłowskiego więcej na tę zabawę ochotników nie było, mieli więc tylko we dwóch jechać z hetmanem i kilku domownikami. Rozstawiono konie na przeprząg, aby w niedzielę po polowaniu mógł tegoż dnia

hetman wrócić do Lubomla, a książę drugimi rozstawnemi końmi zdołał wprost podążyć za oddziałem wojska, który na poniedziałek przede dniem, wedle planów z głównej kwatery, powinien był stanąć pod Brześciem.

VIII.

Zbliżał się już dzień ślubu podstolego z łowczanką, na środę 25 sierpnia naznaczony; z krewnych panny obiecywał przybyć do Turowa JMP. podsędek podolski, Adam Weryha Darowski z Hlibowa z żoną, siostrą łowczego; syn jego, rotmistrz kawaleryi narodowej, nie mógł w obecnym czasie przyjechać. Ze strony podstolego, gdy JMPan Feliks Ruszczyk, namiestnik brygady ussarskiej, synowiec, również nie był w stanie w obrzędzie tym uczestniczyć, zaprosił przeto przyszły pan młody pana Klemensa Machwica, z którym go daleka jakaś kolligacya wiązała. Jak stary łowczy, tak i córka, gości ani hucznego wesela wcale sobie nie życzyli, bo i czas nie był po temu; cichy więc i skromny ślub odbyć się miał w miejscowej cerkiewce.

Podstoli, jeśli się po młodemu w łowczance nie kochał, jak utrzymywał jednak, „bardzo w niej gustował“; godzi się przypuszczać, że i nadzieja dostatniej fortuny, która na jedynaczkę spadała, nie mało jeszcze ten „gust“ jego zaostrzać mogła. Pilno mu więc było do ołtarza; a że miał już od dawna wszystko przygotowane, w sobotę więc jeszcze ściągnął z ludźmi, końmi i pakunkami do Turowa. Nieszczęśliwa łowczanka smutna była i milcząca, nie mógł też jej rozweselić gadatliwy podstoli. Ciężka walka, jaka się w jej umyśle i sercu toczyła, nie ukojona jeszcze, czę-

sto ją od zewnętrznego odrywała świata; dźwigała się jedynie hartem woli, jak u ojca niezłomnej; nieraz też w głębokiej pogrążona zadumie długie trawiła godziny, ale ruch jakiś, głos, przedmiot, czasem myśl sama, otrzeźwiała ją: wstrząsała się, jak ze snu zbudzona, spoglądała dokoła, jak gdyby wierzyć nie chciała, że to, co ją dziś otacza, co na nią czeka, nie jest złudzeniem. Twarda rzeczywistość jednak nakazywała jej wracać do prozy codziennego życia; stawała się więc, na pozór przynajmniej, spokojną, swobodną nawet, niekiedy tylko lekki odcień goryczy, całkiem z jej charakterem niezgodny, zdradzał niezwyklej stan duszy.

Stary łowczy stał się jeszcze chmurniejszym i mniej mównym, niż zwykle; dziwił się sam sobie, że lubo podstolego znał od lat dwudziestu, dziś dopiero spostrzegł w nim wady i śmieszności, całemu światu wiadome. O Ruszczycu bowiem tysiączne między ludźmi anegdoty krążyły, najczęściej jednak przez Nietyxę łapane i powtarzane; wprawdzie stary Drohomirecki mało się zwykle z domu wydalał, a mniej jeszcze chorążego widywał, dziś jednak zewsząd uszu jego dolatywały wiadomości różne, a niezbyt pochlebne, o panu podstolim. Przypominały się liczne jego śmieszności, a głównie skąpstwo i pyszałkowatość, które wieczny bój z sobą wiodły; nieuleczone zaś tchórzowstwo, stosownie do okoliczności, tej lub owej stronie na chwilę zapewniało zwycięstwo. Łowczy więc, jak to się często na świecie zdarza, spostrzegł swoją omyłkę, ale, ponieważ; i zwykłą też natury ludzkiej powodowany słabością, winy nie przypisywał samemu sobie, ale żał miał do wojewodziny Braclawskiej, lubo ona istotnie działała tylko w myśl łowczego, który kilkakrotnie wyrwał się był z jakąś po-

chwałą rządności podstolego. Nie było jednak sposobu zerwania ułożonego małżeństwa. Słowo uważał stary za rzecz niezłomną i świętą, a zaręczyny, odbyte solennie, przy świecach, księdzu, wieczerzy i zamianie pierścionków, miały dla niego ważność ślubu. Z tem wszyskiem, widok ukochanego i jedyne go dziecięcia, którego uczucia i strapienia odgadywał łatwo, do głębi serca go poruszał; nieraz przychodziło mu na myśl jakiby to ciężar spadł z głowy i z serca, gdyby się znalazły jakieś nieznanne a niezależne od niego przyczyny, któreby małżeństwu temu na zawadzie stanęły. Ale przeszkód nie było; dzień ślubu nadchodził; należało, uchyliwszy czoło, poddać się ciężkiemu losowi.

Podstoli tymczasem, przyjechawszy w sobotę, wcale nie wesoło bawił się w Turowie; ze starym łowczym rozmowa się nie kleiła, tem bardziej, że Ruszczyć bał się go jak ognia, panna z swych komnat wychodziła mało, ojciec zaś i córka zajęci byli przygotowaniami na przyjęcie gości. Przyszły więc pan młody chodził sobie to około budynków, to się po izbach i sprzętach rozglądał, sumując w myśli zawczasu, co i jak kiedyś użyć, spożytkować lub na gotowy grosz zamienić wypadnie. Łaził, oglądając się na wszystkie strony, uśmiechał się, liczył na palcach lub machnął pogardliwie, stosownie do wartości jaką nadawał przedmiotom; tak mu upłynął wieczór sobotni. Nazajutrz, po mszy w cerkiewce, ucałowaniu patyny i odsłuchaniu owego prawdziwie poważnego i wzruszającego, gdy jest przez cały lud śpiewany, hymnu: *Pod twoju myłost'*, wrócono do dworu. Nastąpił obiad, przy którego końcu dopiero, i gdy już wstali a przeszli na ganek, rozmowa, wpadłszy na tor wojennych wypadków, nieco się ożywiła. Łowczy lada dzień oczekiwał przybycia Darowskich, niepokoił

się więc, jak pomiędzy wojskami będą mogli przejechać, nasłuchiwał co chwila na ganku, czy oczekiwani goście nie nadjeżdżają. Cisza jednak była zupełna, wiatr tylko kiedy niekiedy na lekkiej swej fali oddalone jakieś i niezrozumiałe od strony lasów przynosił gwary; były one wszelako tak słabe, że je zaledwie subtelne ucho łowczanki uchwycić mogło. Ale jednak gwary te zdawały jej się coraz przybliżać, a z każdym nowym wiatru powiewem jak gdyby się wzmagaly i rosły.

Łowczanka słuchała uważnie, chcąc rozpoznać naturę odgłosów.

— Nie wiem — rzekła, zwracając się do ojca — co to jest, ale od strony lasów słyszę jakąś wrzawę.

— Aż, pańska zabawa — odrzekł łowczy — to hetman poluje; mówili mi ludzie pod cerkwią; słyszę, kilka gromad na obławę spędzili, i to w dzień świąteczny, a w kraju wojna! Ale — machnął ręką — Bóg z nimi! Pójdę-no ja, wyjrzę trochę na gościniec, czy podsędek nie jedzie? — dodał stary, powstając z ławki, i sięgnawszy po sękaty a wygładzony od noszenia kij, który stał wsparty o uszak drzwi wchodowych, ruszył w stronę wioski.

Duży pies czarny podwórzowy, faworyt wszystkich domowników, który właśnie przed gankiem, wyciągnawszy się i łeb na przednich łapach położywszy, leżał, widząc odchodzącego pana, wstał też powoli i spokojnym krokiem ruszył się za gospodarzem. Już był w połowie dziedzińca, gdy nagle, nie zważając na oddalającego się pana, stanął, głowę dźwignął do góry i słuchał; po chwili jednym rzutem zwrócił się w kółko na miejscu ku przeciwnej stronie, bardziej jeszcze łeb i szyję podniósł i naprzód wyciągnął, długie uszy postawił do góry, końce ich tylko, do wysiłku

tego niezwykle, pozginały się nieco; wietrzył; nozdrza niepokojnym ruchem rozdymały się, jak rybie skrzela, łysnęły oczy i szerść na grzbiecie jeżyć się poczęła.

Łowczanka nie spostrzegąca wcale tych manewrów *Kruka*, podstoli nie zważał na nie tem bardziej — i zbliżył się do narzeczonej.

— Panna Helena — ozwał się — zawsze taka smutna, jak bookom, jakby się gniewała.

— Nie mam o co, — odrzekła — to mój humor codzienny, niech się pan do niego przyzwyczai.

— Ii — uśmiechnął się Ruszczyć — bo to panny zawsze tak przed ślubem; ale to, jak bookom, nie warto; niechno pojedziemy do Iwanowic, zobaczy panna Helena, u mnie są...

— A! — krzyknęła nagle łowczanka.

— Co... co to? — zawołał przestraszony podstoli.

W tej chwili właśnie, ogromne rudo-siwe wilczysko, z krwią zabiegłymi ślipiami i rozwartym pyskiem, wpadło na dziedziniec; zuchwała i dzielna postawa psa wstrzymała go nieco, wnet jednak rozległ się głuchy hargot, i dwie wrogie natury, zwarłszy się, rozpoczęły bój zażarty.

Podstoli, zapominając o narzeczonej, o pedogrze i o świecie całym, w dwóch susach znalazł się odważnie... za drzwiami.

Łowczanka jednak, ani na mgnienie oka przytomności nie tracąc, skoczyła do sieni — (wisiał tam zawsze na kołku, od przypadku psa wściekłego, kulą nabity karabinek) — porwała go i wybiegła na ganek. Wilk i pies, równej zajadłości i siły, kłębiły się na murawie; złożyła się łowczanka, czekając dogodnej zwierzka postawy; niebawem też wilk, psa obaliwszy, znalazł się na wierzchu; moment

był najdogodniejszy; strzał się rozległ; wilk sążnistym skokiem rzucił się w górę, a łbem uderzywszy o ziemię, padł i wyciągnął się bez ducha.

Podstoli, drżący i wystraszony, wleciawszy do sali, z za krawędzi okna z otwartymi ustami przyglądał się tej scenie.

Jeszcze piękna i zarumieniona od wzruszenia łowczanka dymiący się karabinek w rękę trzymała, gdy silny tentent zahuczał i na dzielnym, w całym pędzie wyciągniętym, bułanym bachmacie, ukazał się w dziedzińcu jeździec, za nim drugi na karym angielskim koniu, dalej trzech towarzyszków jeszcze i zziających psów czereda. Pierwszy, nie zbyt młody, średniej tuszy, ale dzielnej postawy, w polskim stroju bogatym mężczyzna, był to hetman Branicki; drugi, w myśliwsko-kozackim fantazyjnym ubraniu, ciemnych włosów i śniadawej cery, dość urodziwy i młody, był to książę Kozłowski.

Koń hetmański, silną osadzony dłonią, zarył się przed domem. Jeździec jednym rzutem oka objął i zrozumiał, co się stało; zeskoczył z konia dość jeszcze lekko, i oddał go jednemu z dworzan; toż samo i książę uczynił.

Łowczanka, nieco zmieszana, nie miała czasu cofnąć się przed powitaniem gości.

— Zapewne — rzekł hetman, wstępując na ganek — córkę JMPana Drohomireckiego mam honor powitać.

— Tak jest — odrzekła Helena.

— Nie darmo pani, widzę, jesteś córką łowczego, — mówił gość z uśmiechem, a wskazując na wilka, co go właśnie ludzie pociągnęli bliżej, ze łbem strzaskanym, z którego czarna ściekała posoka. Poczem dodał: — Piękny strzał! jak mi Bóg miły! i jabym się go nie powstydził.

W tej chwili gospodarz ukazał się na dziedzińcu i Helena, skłoniwszy się lekko, wbiegła do domu; książę, który stał na boku, a jakby w zachwyceniu ogarniał ją zdumionym wzrokiem, zwrócił się do hetmana.

— Ach! Boże mój — westchnął — o! krasawica! ja jeszcze takiej na życiu mojem nie widział! *charmante!*

Drohomirecki zbliżył się do ganku.

— Witam szanownego łowczego! — rzekł hetman, zwracając się ku niemu z uśmiechem i rękę podając — przepraszam waszmości za ten najazd tatarski, wybacz! myśliwska sprawa; ale piękna córka Waszmości wszystkich nas zawstydzila; oto mi strzał! w sam łeb; nie na żarty!

Łowczy witał hetmana poważnie, ale bez żadnej uniżoności.

— Gość w dom, Bóg w dom — rzekł — może panowie raczycie spocząć pod moim dachem.

— Z obowiązku i z ochotą — odrzekł wesoło Branicki; — zmachaliśmy się nie lada, a już też i polowanie nasze na tem się kończy; bo wilki światami poszły przez obławę i parkany. Ale — dodał, wskazując na towarzysza — przedstawiam szanownemu łowczemu... książę Kozłowski.

Gospodarz po przywitaniu prosił gości do domu.

Hetman za ledwie na próg sali wstąpił, spostrzegł podstolego, który kłaniał mu się uniżenie, podchodząc i schylając się prawie do kolan dygnitarza. Znał go Branicki doskonale, nieraz z niego żartował i uśmieł się też często serdecznie z opowiadań o nim chorążego Nietyxy, który był w szczególnych łaskach u hetmana.

— A aspan co tu robisz? — zawołał.

— Upadam do nóg JW. hetmana dobrodzieja — mó-

wił Ruszczyc — stopki całuję, bardzo jestem szczęśliwy, jak bookom...

— Zkądżeś się tu wziął?

— Pan podstoli — przerwał gospodarz — jest narzeczonym mojej córki.

— Narzeczonym?! łowczanki?! tak?! — rzekł przeciągle hetman z widocznym zdziwieniem — a!! winszuję, winszuję — i usmiechając się, dorzucił pod nosem — no, proszę!

Nadeszli tymczasem dworzanie hetmańscy, podano zimne przekąski, wódkę, miód i wino; przybyli zaczęli się rozgaszczać, wszczęła się rozmowa gwarna, wesoła i pomieszana.

Gospodarz i córka, krzątając się około przyjęcia tak niespodziewanych gości i zarządzenia mającej się podać wieczerzy, wychodzili i przychodzili naprzemian, bawiąc to hetmana, to jego towarzyszków, rozmową.

Tak upłynęło godzin parę; hetman, który śmiać się lubił, rzucał Ruszczycowi do ucha wesołe żarciki, wróżąc mu ciężkie małżeńskie okowy z panną, co tak doskonale strzela, kiedy on miał jakiś wstręt wrodzony do prochu.

Kniaź tymczasem próbował rozmawiać z gospodarzem, zbliżał się, o ile mógł, do łowczanki i widocznie coraz się bardziej nią zachwycał; śledził ruch jej i słowo każde; gdy wyszła, patrzył na drzwi, czekając powrotu; jeśli nie wracała długo, skubiąc kniaź czarne swoje wąsiki, chłodził wzdłuż komnaty i od czasu do czasu porywał tylko ze stołu lampkę wina, czy miodu, bez wyboru, sam nie wiedząc, co pije, jakby nienasycone jakieś chciał ugasić pragnienie. Ale pragnienie, podsycane żarem wewnętrznym, nie gasło wcale, a w głowie coraz bardziej szumiało.

Tak zeszło prawie do wieczora; hetman widocznie zmęczony był i chciał trochę wypocząć; ruszał się niby do odjazdu, na uprzejme wszelako zaproszenie gospodarza, aby przyjął wieczerzę, pozostał chętnie. Gdy towarzystwo zajęte było rozmową, książę, niespokojnością miotany, zbliżył się do hetmana i, nieznacznie przeszedłszy się z nim parę razy po sali, wywiódł go na ganek. Tu, gdy się znaleźli sami, zwrócił się żywo:

— *Mon cher comte!* — zawołał gorąco — ja w śmierć rozlubił się w łowczance! no, bądź mnie swatem; jak nie... *parole d'honneur! je me brulerais la cervelle!!*

— *D'un coup de pistolet dans le ventre?* — kończył, śmiejąc się Branicki — czyś ty kniaziu sfiksował?!

— Jako sfiksował?

— A no! czysta waryacya! panna zaręczona z tym pończoszniakiem podstolim, za trzy dni ślub; nie dla psa kiełbasa!

— Co? zaręczona? *impossible!* — mówił zapalając się Kozłowski — ja ją wykradnę... odkocham!

— At! głupstwa gadasz! na takie sprawy jedź do Warszawy, ale tu na wsi, daj pokój, nic nie poradzisz.

— No... tak ja temu staremu, co w pończochach, w łeb wypalę! będzie miał wesele... *bon!*

— Ej kniaziu, kniaziu! nie rób głupstw — przerwał hetman — bo cię zwiążę i do obozu odstawię!

— *Mon cher comte!* — wołał błagalnym głosem, składając ręce, Kozłowski — ratuj mnie! ty mój przyjaciel, *vous savez...* u mnie słowo, to słowo; widziałeś pod tą Dubienką, że ja się kuli nie boję... *A moi... je vous jure,* jak ty mnie nie pomożesz... ha — dodał żałośnie,

kiwając głową i machnąwszy ręką, — ja sobie... kulka w łeb... i po wszystkim!

— Ot masz! — rzekł Branicki — cóż ja z tobą poradzę?!

— No, radź co chcesz... a jak mnie ożenisz, to ja u ciebie... choć za pastucha odsłużę.

— A co mi dyabli po takim pastuchu! — zaśmiał się hetman — śpisz cały dzień, trzoda się porozłazi...

— Ach! *mon Dieu!* — westchnął książę, kiwając głową — ot, taka to wasza polska przyjaźń!

— A cóż ja zrobię? — mówił hetman — ale... czekaj — dodał — szkoda mi ciebie, kiedyś taki głupi, żeś się zakochał...

— No... ja głupi — przerwał Kozłowski, bijąc się w piersi — ha! ha! już u mnie takie serce... ale ty, *mon cher...*

— Czekajże — ciągnął hetman — mogę popробować; jeśli mi się uda, że Ruszczyca odsadzę, to już będzie połowa wygranej; no, a reszta na potem.

— A ojciec? — spytał książę.

— Z ojcem to potem, zobaczymy; wiem pewno, że z tego małżeństwa córki nie bardzo rad, bo mi się z tem wyraźnie wymówił, kiedyś się dziwił, że za tego kpa podstolego wydaje; no, więc poprobuję, tylko głupstw nie rób i nie pij dużo.

— Ach! *mon cher!* — zawołał Kozłowski, rzucając się hetmanowi na szyję — ty mój druh... mój ojciec...

— No, no... cicho, cicho...

Weszli do sali; tu zaczynano się krzątać około podania wieczerzy.

Hetman, z tym i owym pogawędziwszy chwilę; zbli-

żył się do Ruszczyca, który, widząc to, zerwał się z siedzenia.

— Wiesz co, szanowny podstoli — rzekł — mam z Waszmością parę słów do pomówienia; wyjdźmy trochę na ganek.

Ruszczyca z przymileniem i ukłonami posunął się za hetmanem.

— Siadaj-no Waszmość — mówił Branicki, lokując się na ławie i wskazując miejsce obok siebie.

Posłuszny podstoli przycupnął na brzeżku.

— Waszmość masz się żenić z łowczanką?

— A, a, tak, niby... tego, we środę ślub.

— Hm — mruknął hetman — rzecz jest taka: mój przyjaciel, książę Kozłowski, szalenie się w łowczance zakochał.

— Zakochał się? — powtórzył Ruszczyca niespokojnie.

— A no, zakochał się — ciągnął Branicki — i to tak, że chciał asanu koniecznie, i to tu, zaraz, w łeb wypalić...

— A pfe! a to! a niech go dyabli, jak bookom! waryat, czy co? — blednąc, słabym głosem zawołał podstoli.

— Słuchajże aspan — mówił hetman dalej — no, chciał ci w łeb wypalić, i byłby to zrobił, jak Bóg Bogiem; alem ja aspana pożałowałem i uspokoiłem go tymczasem... ale, niema innej rady, trzeba żebyś aspan od łowczanki odstąpił!

— Jakto? ja? żeby odstąpił?... JW Pan żartuje! jakże po zaręczynach? no... i to dla mnie... tego... los jak bookom, jakże, tak...

— No... ja ci tak radzę, po przyjacielsku, bo choć-

byś nie odstąpił, to cię i tak książę nie dopuści, i jak amen w pacierzu w łeb wypali, to już u nich taki obyczaj...

— A niech go... jak boo... — wyjąknął podstoli.

— Czekażże — ciągnął Branicki — bo znowu, jak odstąpisz, to ja ci to postaram się wynagrodzić.

— Jaktó, JW Panie?

— Słuchaj tylko i uważaj. Znasz waspan Tadeusza Morskiego?

— Oj, oj! bardzo dobrze; w Warszawie poznałem.

— Otóż widzisz, zrobili go ambasadorem w Hiszpanii*).

— A, tak, tak, słyszałem!

— Otóż jak łowczanki odstąpisz, ja to aspanu wyrobić... będę się starał, żeby cię naznaczyli na ambadora do... Portugalii!

— Że niby ja — mówił, wskazując na siebie podstoli — będę ambasadorem do... do tego... gdzie to proszę JW. hetmana?

— Do Portugalii!

— Może to gdzie bardzo daleko?

— Zaraz koło Hiszpanii, o miedzę; będziecie się z Morskim widywać.

— Hm — pytał Ruszczyk — ale to pewno koszt wielki?

*) Marszałek Ignacy Potocki, sądząc, że na sejmie da się przeprowadzić odstąpienie Prusom Gdańska i Torunia, wysłał w tym celu zawczasu, nieurzędownie, Morskiego, dla uczynienia układów; gdy jednak sejm propozycję Prus stanowczo odrzucił, z obawy aby się nie wydały nieupoważnione przez stany dyplomatyczne roboty, wyrobił dla Morskiego, owe śmieszne i żadnego celu nie mające, poselstwo do Hiszpanii, i wierzytelne listy posławszy mu do Berlina, polecił, aby, nie wracając do kraju, śpieszył na miejsce swego przeznaczenia.

— Jaki koszt? — perswadował z miną seryo Branicki — toć przecie Rzeczpospolita daje na to fundusze, i gdyby nie to, że wiem, iż aspan lubisz życie wystawne, no, to na drugiego, mógłby sporo grosza uciuć. Morski już w pierze porósł; powiadają, że tam w Hiszpanii śliczny folwark już targuje, Wólkę Barcellońską. No, a prócz tego ambasador, wiesz, co znaczy... ot jak u nas... wszystkiem trzęsie!

— Cha! cha! — zaśmiał się podstoli — to, to, jak bookom niezła rzecz!

— Spodziewam się! a zresztą — mówił Branicki — gdyby się nie udało zrobić cię ambasadorem, bo to jest rzecz nie łatwa, to ja ci daję na to słowo i rękę, że jak odstąpisz łowczanki, wyrobię dla ciebie order świętego Stanisława; no, to przecie piękna rzecz!

Było to w istocie odwieczne podstolego marzenie.

— Ach! JW Panie — zawołał uradowany, całując w łokieć hetmana — taka łaska! to już ja odstępuję, odstępuję łowczanki, jak bookom... tylko — poskrobał się w głowę — tylko jedna rzecz...

— Co takiego?

— Nie wiadomo... tam pewno w tej Portugalii, mało kto po polsku i umie?

— E, to głupstwo — rzekł Branicki — gdybyś tam jechał, to weźmiesz faktora; od czegoż są żydki? pewno tam u siebie jakiego masz?

— A mam, mam — żywo podchwycił podstoli — Abramek ryży, sprytna bestya, na szynku w Iwanowicach.

— No... to prosta rzecz — mówił, śmiech tłumiąc, Branicki — weźmiesz go na tłómacza; może być razem

sekretarzem legacyi, no... i... w potrzebie będzie czyścił buty! Oszczędność i wygoda razem!

— A to prawda, jak bookom — potwierdził podstoli — tylko znowu... którądy jechać?

— To najmniejsza rzecz — odparł hetman, machnąwszy ręką i z ławki już wstając — z Siemiatycz na... Siedlce... Mokobody... rozpytasz się po drodze — no, więc — kończył — *definitive*, odstępujesz łowczanki?

— Odstępuję, a jakże? — potwierdził Ruszczyc — tylko... JW. hetmanie... zapomnieliśmy o jednej rzeczy, a to sęk! stary Drohomirecki?... jak z nim zrobić? bo to JW Panu wiadomo, jak bookom! do trzech nie gadaj... oho!

— A! ze starym — powtórzył Branicki — właśnie miałem ci powiedzieć... to się wszystko zrobi, tylko uważaj, co ci powiem; ja przy wieczerzy wniosę twoje zdrowie...

— Ach! JWielmożny...

— Słuchaj, co ci mówię: otóż wniosę twoje zdrowie jako przyszłego ambasadora, a aspan powiesz dopiero, że... nie chciałbyś żony narażać na niewygody tak dalekiej podróży, więc... wracasz słowo, ot i po wszystkim! reszta ułoży się jakoś... zobaczysz!

Zmrok już zapadał, gdy się ta rozmowa kończyła; ukazał się też łowczy na ganku, zapraszając na wieczerzę. Weszli do sali.

Stół był suto zastawiony i oświecony rzęsiście, zdobyły go pyszne starożytnej roboty świeczniki, a srebra odwieczne nawet hetmańską uwagę zwróciły; z uśmiechem więc szepnął gospodarzowi do ucha:

— Piękne masz statki, mój łowczy szanowny, ale chowaj je dobrze, bo teraz nie czas to na wierzch dobywać.

Usadowiono się wreszcie po niejakich ceremoniach u stołu. Łowczanka znalazła się na pierwszym miejscu, przy wązkim boku stołu; z prawej strony koło niej siedział hetman, za nim podstoli, z lewej Kozłowski i gospodarz obok niego; dalej dworzanie hetmańscy. Rozpoczęła się wieczerza, a że naonczas było zwyczajem powszechnym i nieodbitą koniecznością, iż gospodarz pił zdrowie tych, których w swym domu przyjmował, łowczy więc, nie uchylając dawnej gościnności prawom, wniósł zdrowie hetmańskie; dalej Branicki z podziękowaniem intonował toast na cześć gospodarza. Już dania zmieniono, a rozmowa u stołu ożywiła się znacznie, gdy hetman powstał, kielich pełny podnosząc.

— Pozwolisz — rzekł — szanowny gospodarzu, że wniosę zdrowie JM Pana podstolego Ruszczyca, — i dodał dobitnie — przyszłego ambasadora do... Portugalii!

Obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Co to jest? — ozwał się łowczy.

— A tak, tak — zawołał Ruszczyca, podnosząc się i kłaniając — JW. hetman oświadczył mi i zapewnia, jak bookom, że ja mam mieć konferowany urząd ambasadora do... o... tego, do Portugalii; ja też chciałbym bardzo służyć ojczyźnie, gorliwie, jak bookom, i z tego powodu właśnie... tego, szanowny łowczy dobrodziej i panna Helena niech mi raczą darować, że... wyznać muszę, nie chciałbym mojej... niby... przyszłej żony, gdybym się ożenił, na taką okropną podróż narażać...

— Naturalnie — przerwał hetman — niebezpieczeństw, a niewygody.

— O! otóż to, cha! — ciągnął podstoli — niewygodny, ogromny... niepodobny! więc ja czuję się w obowiązku przez szacunek i afekt... dane słowo, niby respektem ułożonego małżeństwa, tu właśnie przy wszystkich obecnych zwrócić szanownemu łowczemu dobrodziejowi i panie Helenie, jak bookom... bez żadnej pretensji... zwrócić...

Była chwila milczenia.

Łowczy osłupiał, Helena pokraśniała, jak wiśnia.

Ojciec i córka szybkie zamienili wejrzenie; oboje zarówno szczęśliwi byli z tego niespodziewanego wypadku, lubo go sobie na razie wcale wytłómaczyć nie mogli; wielki ciężar spadł z serca obojgu.

Łowczy też, skwapliwie chwyciwszy puhar nalany i szyderskie na Ruszczyca rzucając wejrzenie, zawołał wesoło:

— A! winszujemy ci, szanowny podstoli, tej nowej godności; nie przeszkadzamy bynajmniej i ze słowa zwalniamy. Sądzę — dodał, zwracając się do Heleny — że i moja córka tegoż samego będzie zdania.

Helena, której twarz jaśniała już niekłamaną swobodą, podniosła lampkę wina.

— O! zwalniamy ze słowa — rzekła — i pijemy zdrowie przyszłego ambasadora.

Ruszczyca w najlepszej wierze dziękował wkoło z uśmiechem, pocił się i obcierał co chwila. Głośna rozmowa rozpoczęła się na nowo u stołu; skorzystał też z niej książę Kozłowski, i schyliwszy się do ucha sąsiadki, rzekł z cicha:

— Ach! *qu'il est bête ce monsieur* podstoli?

Łowczanka w takim była usposobieniu, że, nie mogąc się wstrzymać, głośnym parsknęła śmiechem.

— *A! n'est ce pas mademoiselle?* ja prawdę powiedział? — pytał Kozłowski.

— Nie wiem, z kąd pan to wnosisz?

— Jakże? — ciągnął kniaz z cicha — kiedy on mógł mieć taką żonę, jak panna Gielena, a teraz się wyrzeka!... *si j'étais à sa place, je vous jure...* ja-by się dał w puch rozrąbać, a taki-by nie odstąpił!

Łowczanka, na tak gorący komplement nie znajdując na prędcie odpowiedzi, uciekła się do zwykłego w takich razach manewru i sięgnęła po szklankę wody; w tej chwili też ruszono od stołu.

W dziedzińcu stały już powozy, szaraban dla dworzan i lekka półkryta hetmańska kolasa, w której cztery dzielne konie, w poręcz uprężone, niecierpliwie drepcąc na miejscu, tupotały i przysiadały, kopytami rwąc ziemię, a gotując się do ręczego biegu. Myśliwstwo całe dawno już naprzód pociągnęło, sześciu tylko dworskich kozaków kręciło się na koniach, przyspasabiając w żelaznych koszykach na długich drażkach osadzone kagańce; z torb zawieszonych na ramionach wydobywano pakułowe smołą nasycone gałki, zapalano je i wrzucano do koszów. Wesoły rozhovor i śmiechy kazały się domyślać, że staropolska gościnność łowczego nie ograniczała się, jak to dziś bywa, przyjęciem samych tylko panów i dostojników.

Wnet też dziedziniec cały oblał się czerwonym i jaskrawem światłem, przybierając pozór niezwykły i fantastyczny; jasno i wyraziście wystąpiły bliższe plany i przedmioty, rażąco stanowiąc różnicę od dalszych, pograżonych w ciemnej nocy, która się jeszcze stokroć stawała czarniejszą.

Zabierano się już do odjazdu; hetman, znalazłszy się z gospodarzem na osobności, ścisnął go za rękę.

— Dziękuję Waszmości — rzekł — za uczciwą gościnność! daj Boże odstąpić; w terażniejszych czasach różne przychodzą ewenta; gdybyś był, szanowny łowczy, czego Boże uchowaj, w jakim niemiłym terminie, udaj się do mnie. Ale ja mam Waszmości przeprosić jeszcze za podstolego; wybac, muszę ci rzecz objaśnić.

— A cóż dziwnego — przerwał łowczy — jeśli ma być ambasadorem...

— Cha! cha! — zaśmiał się Branięki — mój łowczy szanowny, posłuchaj-no: żyję ja dość długo na świecie i ludzi na wylot znam. Z tego, coś mi o tem zamierzonym małżeństwie wspominał, uważałem, że ci ono wcale nie było do smaku; i słusznie; bo, uczciwszy uszy, taki kiep podstoli wcale nie dla was... no? nie prawdaż?

Uśmiechnął się łowczy.

— Tego zaprzeczyć nie mogę; swatała pani wojewodzina...

— A widzisz! — przerwał hetman — no, a ja mam dla was coś lepszego.

— Co? kogo? — spytał gospodarz.

— Książ Kozłowski... rozmiłował się szalenie w waszej córce i prosi, abyście się o jej względy pozwolili ubiegać.

— Ten... książ? — rzekł zdziwiony Drohomirecki.

— No, ten sam, mój przyjaciel, Kozłowski.

— Daruj mi JW. hetmanie... to chyba żart?

— Broń Boże! jakto? dla czego?

— No... tak, człowiek innej nacyi...

— Daj pokój, kochany łowczy — przerwał Branięki—

to stare przesady; dzisiaj świat inny; wszystkie nacye od Adama i Ewy pochodzą. Obałamucili was wszystkich sejmowi krzykacze... *totus orbis deliras!* Wierz mi, mój łowczy, że i ja ojczyznę kocham nie mniej od Waszmości, ale świata widziałem nie mało i *justo pretio* rzeczy oceniam; naszą siłę i całość Rzeczypospolitej tylko dobrymi stosunkami z pobratymczym a silnym narodem zachować możemy. A zresztą — śmiejąc się dodał — Waszmość jesteś wiekowy człek, zatwardziały, nie chcę ja dziś poniewolnie narzucać wam mojej konwikcyi... *respice finem*... czas to pokaże; a jeśli chodzi o nacyę kniazia? to ja ci, mój kochany łowczy, powiem, że on jest z tego samego rodu, co i ty sam, bo ze krwi książąt Włodzimierskich; tu, od nas, z Rusi sprawiedliwej procedencyę wywodzi.

— Czyż to może być? — spytał Drohomirecki, a twarz mu zajaśniała jakimś dziwnym wyrazem.

— Tak jest, tak; ręczę ci honorem — potwierdził Branicki.

— A to ciekawa rzecz! — mruknął łowczy, kiwając głową; ale — dodał — niech to będzie na późniejszy czas.

— No, tak — odrzekł hetman — a zatem... żegnam! bywajże mi zdrów, Mości łowczy dobrodzieju.

To mówiąc, hetman, bardzo uprzejmie pożegnawszy gospodarza, wyszedł na ganek, gdzie całe towarzystwo oczekiwało.

Już się Branicki wraz z kniazim usadowił w kolasie, gdy podbiegł jeszcze z uniżonemi ukłonami podstoli.

— Jaśnie Wielmożny hetmanie dobrodzieju — zawołał — jeszcze jedno słówko!

— No? cóż tam?

— Chciałem jeszcze JW. Pana prosić, żeby to jakoś...

tęgo, tak urządź, żeby to moje poselstwo, jakby na to przyszło, nie wypadło broń Boże we źniwa... bo to panie, jak bookom, roboczy czas...

— A! to najmniejsza rzecz — zaśmiał się hetman — już ja w tem, że pojedziesz zimą.

— Otóż to, to-by było doskonale, JWny panie!

— Tak, tak — kończył Branicki — zimą pojedziesz, zimą, saneczkami sobie do Portugalii, we dwa konie szydłem machniesz się... No — zawołał wreszcie — bywajcie zdrowi!... Ruszaj!!

Konie skoczyły raźnie, za chwilę w długiej lipowej ulicy widać było tylko wśród czarnej nocy jasny obłok kurzawy, w której się kagańców światło roztapiało. Turkot powozów i tentent koni głuchł coraz bardziej, światło malało i nikło...

Gospodarz, córka i podstoli weszli do domu.

— Niespodziany trafunek — ozwał się Ruszczyc, niby w sposobie tłumaczenia się — wielce mi żal, jak bookom, ale cóż robić?

— Nie frasuj się Waszmość — przerwał gospodarz — co się stało, bardzo dobrze się stało; winszuję, bardzo winszuję.

— No, tak, cóż robić? — mówił podstoli, prostując się i przybierając dygnitarską postawę — przecie ambasador, panie, sam hetman mówił, senatorska godność, służba ojczyźnie, niema co, jak bookom, to trudno! ale bądź Waćpan dobrodziej przekonany, panie łowczy, że... co do przyjaźni i wzajemnych relacyj... to ja... broń Boże... owszem, gdybyś kiedy potrzebował jakiej protekcyi!...

— Upadam do nóg aspana! wdzięczny jestem za ten dowód afektu, ale znasz Waszmość przysłowie: *sobaka kó-*

szłaty jomu ciepło, muzyk bogaty jomu dobro! a zatem — dodał, rzuciwszy ręką z uśmiechem — myśl Waćpan o sobie, a my o sobie.

Podstoli, nieco zbity z tropu, chwilę się jeszcze po izbie pokręcił i, tłumacząc się wreszcie, że jutro do dnia wyjechać musi, pożegnał gospodarza, udając się na spoczynek.

Czekała snadź łowczanka na odejście Ruszczyca; za ledwie bowiem drzwi się za nim zamknęły, wbiegła do pokoju ojca i rzuciła mu się na szyję.

Stary, ściskając córkę, ucałował ją w czoło.

— No cóż? — spytał z uśmiechem.

— Ojczy drogi — szeptała Helena — nie miej mi za złe, ale ja wyznaję, że z tej nadspodziewanej zmiany jestem tak szczęśliwą, ach! tak szczęśliwą, że naprawdę... zdaje mi się, że świat nowy stanął przedemną otworem.

— Nie bardzo i ja się gniewam — rzekł stary wesoło — pozbyliśmy się z łaski hetmana tego, z pozwoleniem, błazna... Bóg łaskaw; znajdzie się dla ciebie co lepszego.

— Już ja, cię drogi ojczy, nie odstąpię teraz — mówiła łowczanka — a zresztą...

— No, no, o tem potem — przerwał ojciec — idźże sobie asińdzka, a śpij już spokojnie; ja mam dużo do czynienia, i pacierze wieczorne zalegają, a to już późno.

Łowczanka, rękę ojca ucałowawszy, lekka jak ptaszek, wybiegła z pokoju.

W starym dworcu Turowskim wszystkie ognie pogasły; w narożnym tylko oknie prawego przyczółka, na dole, blade migotało światelko; czuwał jeszcze stary łowczy w swej sypialnej komnacie. Tu, po lewej stronie drzwi

wiodących do dużej sali, stała odwieczna, pod strop sięgająca, dębowa szafa, z dwóch sztuk złożona; dolna szersza, ze stołem do pisania, szafkami i szufladkami na potężnych, niskich, toczonych spoczywała nogach; górna, w otwarte opatrzone półki, mieściła w sobie szlacheckie archiwum i bibliotekę. Więc w rzędach najwyższych stały ścięśnionym szeregiem, sznurkami powiązane, żółtkłe i zczerniałe akta i fascykuly, z między których, tu i owdzie, drewniana półkulista, lub płaska mosiężna, niby tabakiera, zwieszała się z pieczęciami puszka; niżej żółtawe, ciemne, lub całe czarne, połyskując grzbietami, stały poważne *Volume Legum*, dyaryusze sejmowe, kroniki dawne i herbarze.

Łowczy, po wieczornych, klęcząc odmówionych pacierrzach, a³ uderzeniu się w pierś szeroką trzykrotnem, aż głuche zatętniało echo, wstał zwolna i do szafy się zbliżył; z szufladki wyjął i wcisnął na nos okrągłe, jak sówie ślepie okulary, ujął jakiś foliał duży, i ustawivszy świecę między twarzą a księgą, wertować ją począł. Szły kartki za kartkami; wziął drugą, obok stojącą, zajrzał do tytułu, — były to Bartosza Paprockiego „Herby Rycerstwa“, — znów kartki przerzuczał, wreszcie półgłosem czytać począł: „O klejnocie starodawnym polskim Jastrzębiec, alias Boleszczyc“.

— O! — zauważył — tu jest.

— „Dom Kozłowskich, kędy wspomniano te męża zaśluzone: Pankraca, Wawrzęte, Wojciecha, Piotra i Wszebora; od tych za wieku mego był Wawrzyniec, służąc żołnierką na Podolu, znaczne męztwo pokazował; u Iwonie, Hospodara Wołoskiego, był starszym nad Polaki, jako czytać o tem w Historji będziesz. Był pojmany do Turek,

przez Ormiany wykupion. Był to syn sędziego grodu Płockiego, człowieka biegłego w prawie“.

— Hm — mruknął łowczy — ale tu nie pisze, żeby się od kniaziów Włodzimierskich wywodzili... ciekawa rzecz, co Jabłonowski pokaże?

Wyjął więc jeszcze małą, éwiartkowego kształtu książkę, i szukał pilnie.

— O! — szepnął sobie — paragraf szósty, linia Włodzimierska.

Przerzucił kartek parę i czytał.

— „Idą potem Żyżemscy, Worotyńscy, Odojewscy, Nowosieleccy, którzy ze Smoleńszczyzną razem odpadli, książęta Kozłowscy także, na Moskwie kwitną“.

— Hm, prawda... są — potwierdził stary z uśmiechem zadowolenia, i zdjawszy okulary, porządkował książki; wreszcie, stawiając świecę przy łóżku, machnął ręką nie dbale i mruknął: *at! nie jedion sobaka lysko!*

Tą filozoficzną uwagą zakończywszy swe genealogiczne poszukiwania, przeżegnał się pobożnie i... ostatnie światelko w Turowskim dworcu zagasło.

IX.

Tegoż dnia, kiedy hetman bawił się polowaniem, ambasadorstwem Ruszczyca i swatami w Turowie, mieszkańcy Kodnia, którzy do tej pory łudzili się nadzieją, że teatr wojny gdzieś się dalej od nich przeniesie, w największą popadli trwogę. Z jednej strony bowiem dochodziły wieści, że korpusy generała Kochowskiego i Lewanidowa ciągną ku Brześciowi, częścią Polesiem, częścią po lewym brzegu

Buga, z drugiej otrzymano wiadomość pewną, że wojska polskie pod generałami: Zabiellą, Bielakiem i Frankowskim, rozłożyły się obozem pomiędzy Brześciem i Rzeczycą, oraz między Terespołem i Neplami.

Kodeń był więc jakoby punktem środkowym między dwoma ogniami; katastrofa na miejscu, bitwa i wszelkie następstwa wojny zdawały się nie już możebnemi, ale nieuniknionemi prawie. Trwogę i popłoch powiększyło jeszcze przybycie wielu żon urzędników z Brześcia i Terespoła, które tu przed niebezpieczeństwem uciekały, a jak to mówią, z deszczu pod rynnę wpadłszy, lamentowały wniebogłosy.

JMPan Korycki nadrabiał wprawdzie miną, ale nieboraczysko żółty był jak wosk, humor go opuścił, często gęsto gderał niemiłosiernie, że i Jejmości nawet nieraz się dostało. Verand, żadnej od księcia nie otrzymując wiadomości, a widząc na co się zanosi, stracił minę buńczuczną, spokorniał i tylko co moment latał do marszałka, dopytując się o nowiny z Warszawy. Co dzień prawie chciał się tam wyrwać, ale go żona trzymała i od księcia nie miał na to pozwolenia. Ostromęcki wpadł na pomysł genialny, miał bowiem, tak dzień jak noc, okulbaczonego konia, myśląc przy pierwszym popłochu drapnąć, gdzie oczy poniosą. Raciborski chodził jak struty, Koreywa tylko nie tracił fantazyi; Narbutt zaś, mimo wszelkich perswazyi marszałka, korzystając ze zbliżenia się w te strony korpusu Zabielly, jako dał słowo Nielepcowi, postanowił tegoż dnia, w niedzielę po południu, bądź co bądź, wyrwać się do obozu.

Wiadomości o ruchach wojsk, otrzymane w sobotę, że nie jednemu w Kodniu napędziły strachu, tem gromadniej nazajutrz zebrano się w kościele; ranek upłynął spo-

kojnie, po sumie zaś, jak zwykle, zeszli się przed obiadem domownicy w marszałkowskiej sali. Już miano siadać do stołu, kiedy zaturkotało przed gankiem, drzwi się szeroko rozwarły i wtoczyła się gruba a potężna postać sędziego Szczepanowskiego.

— Marszałku, pocziwości! — zawołał od progu — widzisz Waszmość, do jakich to ja sakryficyi jestem dla was zdolny; między Scyllą a Charybdą, przypędziłem jednak tu na łeb na szyję!

Powitano go ze wszech stron, dopytując się o nowiny, ale sędzia machnął ręką pogardliwie.

— At! dajcie pokój — rzekł — jeśli się do tej pory rejterowali nasi, to i dalej tak będzie; szkoda gęby psuć, ja już i myśleć o tem nie chcę, a mam tu pilniejszą dla mnie rzecz: waszą sprawę z Brzeskim kahałem.

Marszałek ruszył ramionami.

— Bój się Boga, mój sędzio, czyż to czas? tu wojna nad głową...

— Co mnie do wojny? — odparł Szczepanowski — jak sprawa przepadnie, Mierzejewski przed księciem na mnie winę zwali... piękna rzecz!

— No, a barszcz ostygnie — przerwał marszałek — pij Waszmość wódkę tymczasem. — I podał mu nalany kubeczek.

— O! na to nie mam repliki — odrzekł sędzia, a zrobiwszy gębę, jak u szczupaka okrągłą, i dopasowawszy ją szczelnie do brzegów kieliszka, przechylił raptem głowę w tył i próżną czarę oddał Koryckiemu. Kolej poszła dalej, marszałek zwrócił się do gościa.

— Co mnie Waszmość — rzekł — głowę suszysz tym procesem? to nie mój wydział; ja i tak mam teraz

głowę jak pudło; trwoga powszechna, rady sobie z ludźmi dać nie mogę; a te sprawy, to Mierzejewskiego rzecz.

— Ba! — zawołał sędzia — mam ja rację po temu; do strażnika pisałem, sprawa jest pilna, list może się z nim gdzie rozminąć, a jeśliby on tu był, tymczasem Waszmość mu rzecz objaśnisz, bo inaczej możecie wziąć po tebinkach.

— O cóż to chodzi?

— O to, — mówił sędzia — że kahał zyskał dekret na was w grodzie, a że sprawa *a minori subselio* sądzona, gotowiście ją *ad majorem* apellować do sądów asesorskich, pójdzie do rejestru magdeburskiego, a tymczasem teraz już Kossakowscy wszystko w łapach dzierżą, może kahał posmarować i niby *in defectu* kompletu asesorów, albo pod niebytność kasztelana czy podkanclerzego, wysadzą kogo zechcą; a wiadomo, że w takim razie sprawy, *etiam sub pluralitate* zdań podpadające, sam jeden delegat osądzi; no, i koniec końców, palną wam taki dekret, że aż w piąty pójdzie.

— No? więc cóż robić? — spytał marszałek.

— Aha! — zaśmiał się sędzia — a widzisz Jegomość! otóż to; ale na to jest sposobik: chodzi o to, żebyście teraz apelacyi nie zakładali, sprawa się przeciągnie, to już nasza wygrana; a dla przedłużenia, ponieważ oni w *allegatach* posługują się *excerptami* tylko, to w nich ja potrafię znaleźć nieformalności i pozwiemy ich o komportację dokumentów oryginalnych; ot rzecz! — dodał, tryumfująco podnosząc palec do góry.

Marszałek głodny, że mu już barszcz pachniał, machnął ręką niedbale.

— Niech was tam Pan Bóg sekunduje — rzekł —

z waszemi sprawami! no, siadajmy jeść, póki co jest, bo jutro nie wiadomo, co nas czeka.

Zaledwie jednak rozpoczęto obiad, usłyszano silny tentent w dziedzińcu zamkowym; zerwał się Narbut od stołu do okna.

— Nasi! — zawołał, i wybiegł na ganek.

W istocie był to patrol, w tę stronę wysłany z oddziału Zabięły; rotmistrz Zycz, Węgier, niegdyś z milicyi Radziwiłłowskiej, a z nim i Nielepiec, który się do rekonesansu wprosił, oraz kilkunastu żołnierzy.

Powitano ich uprzejmie, a szczególnie ucieszyli się wszyscy domownicy z przybycia Nielepca, którego powszechnie lubiono; nadszedł też niebawem i pułkownik Rymiński; ścieśniono się u stołu, nikomu wszelako nie zabrakło posiłku. W tem oddać należy sprawiedliwość nie tylko rządności JMPani Koryckiej, lecz i ludzkości a hojności, na dworze księżęcym w Kodniu zawsze praktykowanej, że lubo tam w kasie często gęsto bywało i kręto, wszelako z woli wyraźnej, tak księżnej samej, jako i syna, dla każdego we dworze i u stołu marszałkowskiego, z domowników czy gości, zawsze być musiał ucziwy dostatek. I było to wówczas w obyczaju powszechnym; chyba gdzie niegdzie trafił się wyjątek, co jest rzecz ludzka; jako naprzykład u hetmana Massalskiego, na którego dworzanie wykoncypowali ową sławną litanję:

My do Słonima — krupnik za nami.

My do Grodna — krupnik za nami.

My do Wilna — krupnik za nami.

My do Lachowicz — krupnik za nami.

Ale to był wyjątek szczególny i rzadki, o którym cała Litwa i Korona wiedziały.

Prawda, że i księstwo żyli wspaniale i na przepych nawet nic sobie nie żalowali; czuli to wszelako, że jeśli im bez zbytku obejść się było trudno, to dla tych, co im uczciwie służyli, należał się przynajmniej dostatek. Dla tego na one czasy nikt nawet i zbytków nie zajrzał magnatom; i w tym względzie obecne obyczaje zmieniły się znacznie; bo dzisiaj niejeden z panów, i półpanków, i dorobkowiczów nawet — choć tym ostatnim dziwić się niema czego — garściami w stolicach wyrzuca pieniądze, a nieraz sam, albo kto z jego ramienia, ujada się o złotówkę, albo garniec przywarku, z oficjalistą lub wyrobnikiem.

Gdy się więc tak liczne grono gości u marszałka zebrało, rozchmurzył się i gospodarz; po obiedzie, przy wyborzym maliniaku, gawęda nawet szła dość wesoło. Szczepanowski wypytywał się o nowiny z obozu.

— Pan sędzia musisz przecie wiedzieć — mówił Nielepiec — jaki mamy rozkaz wyraźny z Warszawy?

— No? jaki?

— Kazano nam się „bronić dyskretnie“!

— Bronić się dyskretnie? — powtórzył sędzia — aha... to zapewne chyba będziecie strzelać kluskami!

Zaśmiano się z konceptu sędziego.

— Wszelako — ciągnął Nielepiec — zapewniał mnie Nazulewicz, porucznik z pułku Bielaka, że jakoby postanowiła starszyzna dać teraz walną bitwę; co będzie to będzie!

— O! ja! — wtrącił Zycz, pokręcając wąsa — budiem rubit’.

Gdy tak rozmowa się toczy, wpada nagle, blady, z czerwonym nosem a rozczochranemi, konopiastego koloru

długimi włosami, Nassalski — ów sławny pijak, co przy rachmistrzu Zdzitowieckim był pisarzem. Już na progu samym zatoczył się tak, że nie wiele brakło, aby się całkiem przewrócił.

— Panie marszałku! — zawołał, zasapany, mrugając mocno oczyma, przełykając z trudnością ślinę co chwila i starając się, o ile mógł, utrzymać równo na nogach. — Panie marszałku! — powtórzył — nieszczęście!!!

— Cóż tam? — spytał Korycki.

— Ko-kozaki, panie marszałku! jak Booga jedynego kocham, ko-kozaki!

— Gdzie? — zawołano.

— W S-sławatyczach, panie marszałku.

— Któż widział?

— Panie marszałku, tak było: ja dziś rano, wiadomo, przy niedzieli, pojechał do szwagra... pan marszałek wie, do Zabłocia, do szwagra... my sobie ze szwagrem, tak trochu... tego, wiadomo...

— Piliście wódkę, jak susły — przerwał Korycki.

— Panie marszałku — mówił bijąc się w piersi Nassalski — jak Booga jedynego kocham, w gębie wódki nie miałem...

— A! tak! a upiłeś się czym?

— Ja, panie marszałku, upiłeś się? czy pan marszałek mnie widział kiedy p-pijanego? jak Booga jedynego kocham, ono jednym... jeden kieliszeczek haraku... ot... taki...

— No gadaj! — przerwał, niecierpliwiąc się, Korycki — gdzie? jakie kozaki?

— O-otóż to, panie marszałku, my tam gadamy ze szwagrem... wiadomo, aż tu panie wpada Mordko pach-

ciarz i mówi: „gwałt! kozaki w S-sławatyczach i tu idą“! Tak ja mówię: łżesz; tak on mówi, panie marszałku: ja ich sam widział; tak ja mówię: zkaąd ty, Mordku, wiesz, że oni tu idą? tak on mnie się klnie, panie marszałku, na rany Chrystusowe, jak Booga jedynego kocham, że widział, jak tu idą. Tak mnie mówi szwagier: co ty durniu stoisz? oto leć do pana marszałka i daj znać; tak ja, hajda na konia i... i przyjechawszy jestem! Tylko — dodał ciszej — bez tę prędkość zapomniałem w Zabłociu cza-czapki; no — dodał po chwili — ale niech pan marszałek będzie spokojny, o ona się znajdzie!

Naśmiano się z Nassalskiego, ale że wiadomość użyteczną przywiózł, już więc go marszałek i nie łajał, tylko wyprowadzić kazał.

Rzekł tedy rotmistrz Zycz do pułkownika.

— No, jak tak, pane Ryminsky, to my za czetwiert' hodiny z patrolem jediem precz, a pan ma befel ze swymi rekrutami zurick do naszego obozu.

— O! to i ja z wami — zawołał sędzia żywo; i wnet się żegnać począł, a dopadłszy bryczki, popędził co tchu.

Zycz i Nielepiec siedli na konie i wolnym marszem ruszyli ku Terespolowi, a niebawem na rynku uszykowali się Rymińskiego rekruci i wyciągnęli z miasteczka, gdyż rozkaz na dni kilka przed tem już był przysłany, aby się koncentrować pod Terespołem i łączyć z głównym wojsk litewskich korpusem.

W zamku więc nastąpiła cisza chwilowa. Marszałek od okna do okna chodził i wyglądał trwożliwie; rozbiegli się domownicy, dotrzymywał mu jedynie placu ksiądz Ambroży i nie ruszał się z sali; wszelako, siedząc w kąciku,

kręcił tylko potężną swoją tabakierę w rękę i milczał, w smutnem pogrążony dumaniu.

Tymczasem Narbutt, co się do obozu wyrывał, mając spakowany już mantelzak, konia i rynsztunek opatrzył, i już miał za Rymińskim pośpieszać; kiedy nagle wpadł na dziedziniec zamkowy JMPan Szkliński z Kamienia, sławnej siły i niezrównanego animuszu szlachcic z Chełmskiego, który z fantazyi jedynie podjął się był przewieźć depeszę jakąś do obozu Zabięły, przemykając się wśród samych wojsk nieprzyjacielskich. Byłby Szkliński nie wstępował do Kodnia, ale koń pod nim już ostatkiem sił gonił, że kiedy zsiadł z niego na dziedzińcu zamkowym, chwiał się i słaśniał tylko, a z miejsca go ruszyć nie było podobna. Prosił więc Szkliński, aby mu świeżego konia dano; zżymał się nieco skłopotany marszałek; nadbiegł właśnie Narbutt, ofiarując się sam depeszę do generała dostawić; ale nie Szklińskiemu to było mówić coś podobnego. Rozśmiał się on głosem potężnym.

— Panie bracie! — rzekł — widzę ja, że cię w ciemnie nie bito; między Kodniem a Terespołem wojsk żadnych niemasz tu, i lada poleszuk, za baranią czapkę depeszę zatknawszy, w biały dzień poniesie. Alem ja to pisanie wiozł mil prawie dwadzieścia, siedm razy mnie gonili, siedm razy mogłem wisieć, kule mi *per modum* komarów nad uszyna brzęczały; więc wybacz Waszmość, jakem sam wiozł, tak i sam dowiozę¹).

Szkliński miał słuszność za sobą; nie było co mówić i bądź co bądź, należało mu dać konia, jako dla sprawy usługi publicznej. Był zaś natenczas na stajni Kodeńskiej

¹ Patrz *Chetmianie*, opowiadanie Kajetana Kraszewskiego.

sławnie piękny ogier cisawy, niedawno z Preńskiego stada wzięty, z którym na prawdę nie wiedziano co zrobić, bo ludzi rozbijał i nikt nie był w stanie ani chwili na nim dosiedzieć. Marszałek tedy nawpół żartem zaproponował Szklińskiemu owego ogiera, nie tając wcale, że do tej pory nikt mu rady dać nie potrafił. Szklińskiemu w to graj; na próżno mu niebezpieczeństwo przedstawiali obecni i marszałek sam przekładał, z żartu się tłumacząc; szlachcic się tak do owego konia zapalił, że musiano mu go, nie bez wielkiego kłopotu, okulbaczyć wreszcie, i przyprowadzono przed ganek. Narbutt, korzystając z tej sposobności, kazał i swego podać, mając niby do obozu odprowadzić Szklińskiego, w duchu zaś rachując i na to, że będzie mógł pośpieszyć z przewiezieniem owej pilnej depeszy, w przypadku, gdyby Szklińskiego cisawy ogier poturbował, o czem wszyscy najmocniej byli przekonani, zaklinając go jeszcze i prosząc, żeby wziął innego konia, którego mu chętnie dawano. Ale Szkliński, i jeździec, i siłacz sławny, najszcześniejszym był właśnie, kiedy się mógł z najdzikszym koniem borykać; żadne więc przekładania i uwagi na nic się nie zdały. Jakoż okazało się, że mógł być pewnym siebie, bo jak wsiadł a kopnął się z miejsca, tyle go i oczy widziały! Za nim też cwałem i niecierpliwym Narbutt pośpieszył.

Parę godzin jeszcze do wieczora upłynęło w miasteczku spokojnie, aż dopiero około zachodu słońca wpadło naprzód na rynek kilkudziesięciu kozaków, a dalej już oddziałami wojsko jak noc walić zaczęło, że istotnie i noc nadeszła, a ono wciąż szło i przybywało. Liczono korpus ten do ośmiu tysięcy, a część jego poszła Polesiem i złączyć się miała z korpusem generała Fersena; generałów przybyło dwóch: Szeremetjew i Lewanidow; pierwszy za-

jął kwaterę w mieście, a drugi na zamku. J. Pan Korycki przyjęciem i umieszczeniem generała z początku się zafra-sował, ale wkrótce zmienił zdanie, oddając mu sprawiedli-wość, że był człek ludzki, delikatny i, o ile mógł tylko, przy takiej mnogości wojskowego ludu, karność i porządek utrzymywał, a mieszkańców od krzywd ochraniał.

Nazajutrz rano, w poniedziałek, słyszano silne bicie z dział od strony Brześcia; zaczęło się to przededniem i przez sześć godzin do dziewiątej trwało.

Wieczorem otrzymano już wiadomości dokładne.

Zaczęła się potyczka oddziału Zabiełły z wojskami z korpusu generała Fersena i częścią wysłanego Polesiem od Lubomla wojska Lewanidowa. Zabiełło, przemagającą siłą naciśnięty, cofnął się do Kobylan; Jegry i Dońce rzuciły się za ustępującymi, ale wkrótce odparci poszli w roz-sypkę, i jak to w wojennym czasie rzecz zwyczajna, nie-które wsie i dwory porabowali; dotarli nawet aż do Dobra-tycz, niedaleko od Kodnia, ale niebawem wysłane zostały przez Lewanidowa oddziały wojska regularnego dla ukró-cenia tej swawoli. Mały oddział kawaleryi narodowej sto-jący w Brześciu, gdy most na Bugu spalono, poddać się musiał.

Mówiono też, że bitwa była zacięta i wielu oficerów z obu stron poległo.

Generał Fersen stanął tymczasem w Terespolu i zaraz wydał i rozesłał do obywateli zalecenie a raczej rozkaz, który i do Kodnia do podpisów przysłano, treści następu-jącej:

Zalecenie Generała-Majora
Fersena do obywatelów województwa Brzeskiego ¹⁾

¹⁾ Z oryginału współczesnego.

Do prześwietnych obywatelów i szlachty okolicznej¹⁾ zalecenie.

Za prośbą stanu szlacheckiego, tracącego swe prerogatywy i wolność pod pozorami, łudzącemi niepodległy Naród przez konstytucją d. 3 Maja 1791 roku, z woli Najjaśniejszej Monarchini przybyłem ja do Województwa Brzeskiego Lit. dla dania pomocy temu szlachetnemu narodowi, wydobywającemu się z pod opresyi samowładztwa. Od Was, prześwietne Obywatelstwo, *swoboda, wolność i bezpieczeństwo Wasze*, od Was zależy najprędsze uczynienie związku na wzór drugich Województw i powiatów do Konfederacyi. Przeto raczą niniejszego miesiąca na dzień 27 do Brześcia dla zbawiennego naradzenia się przybyć; a każdy obywatel po przeczytaniu tego zalecenia, podpisze.

Datt. 1792 r. Mies. Lipca 23 d. w Brześciu Litt.

Baron *Fersen*.
Gen. Maj. W. R.

Jeśli tedy ruch był w Kodniu przed tem, to obecnie stokroć się powiększył. Tegoż dnia wpadł na godzin parę JMP. Orzeszko, jadący z Włodawy do Brześcia pilno, gdyż od generała Lewanidowa otrzymał zapewnienie, że go marszałkiem sejmiku w Brześciu obrać poleci; jednocześnie wszelako wiedziano, że JMPan Nietyxa miał również solenne przyrzeczenie tego urzędu od generała Fersena, a że jeden i drugi kandydat równo się upierali, i bardzo twardo przy swych widokach a pretensjach stali, ciekawa tedy rzecz była, jak się ta lukta rozwiąże. Zabiegano mocno, aby na sejmiku, w Brześciu odbyć się mającym właściwie

¹⁾ Drobnej zaściankowej.

w sobotę dnia 28 lipca, jak największa liczba obywateli zebrać się mogła; szło to jednakże oporem jakoś, ciężko i opieszale, gdyż znaczna większość, nowe prawa przyjmąwszy z zapałem, wzdrygała się ich odprzysięgać.

Sądzono powszechnie, że wojna, w rozpaczliwej obronie owych praw właśnie podjęta, z całą siłą rozwinię się wreszcie u bram stolicy, w okolicach Warszawy, gdzie przecież i sam król Jęgomość do obozu jeździł, przygotowując się wystąpić osobiście, energicznie i czynnie. Na dalekim partykularzu wierzone w to święcie, lubo w Warszawie, pono, dobrze przewidywano, na czem się ten słomiany ogień zakończy, kiedy po odwiedzinach królewskich w obozie pojawiły się poprzylepiane w mieście ogłoszenia:

„Wielka opera komiczna: wyprawa na wróble,
albo obóz za Pragą pod Karczmą Grochowską“.

I to już był znak, że monarcha tak wreszcie stracił u poddanych wiarę, iż wcale w publiczne zapewnienia jego i niezłomność postanowień wierzyć nie chciano, a co gorsza, jawnie z nich ośmielano się żartować. Wszelako, jeśli w stolicy powątpiewali ludzie i przewidywali odmianę, w dalszych kraju okolicach z największem i, rzec można, niemem od boleści zadziwieniem, przyjęto wiadomość o akcesie, czyli przystąpieniu króla do konfederacyi, w dniu 24-ym lipca podpisanym. Wieść ta spadła jak piorun; z razu nikt jej nawet wiary nie dawał. Sejmik więc, na którym było nieco obywatelstwa, ale najwięcej jednak zwiezionej furmankami, ciemnej, zagonowej szlachty, zebrał się w sobotę, wedle programatu, przy czem oba kandydaci na

marszałków srodze się zawiedli, gdyż na godność tę JMP. Michał Zaleski, Wojski Brzeski, powołanym został.

Po owej pod Brześciem bitwie, wszyscy przyjaciele Nielepca w Kodniu wielce byli niespokojni o niego; wiadano bowiem, iż oddział, w którym służył pod rotmistrzem Zyczem, oraz pułk jeden Bielaka w największym właśnie znajdowały się ogniu. Część wojsk generała Lewanidowa, która wysłana była Polesiem i uczestniczyła również w tej potyczce, wracając do głównego korpusu i na kwatery, stając w Dobratyczach, przywiozła z sobą między wziętymi w niewolę i rotmistrza Zycza, porąbanego i pokłótego straszliwie, który bezprzytomny już leżał w tymczasowym lazarecie. Zaraz też, dowiedziawszy się o tem, posłał tam Korycki Rajmera dla opatrzenia i starania około rannego. Siedział Niemiec w Dobratyczach dwie doby, trzeciego dnia spostrzegł go marszałek na rynku, jadącego z powrotem.

— A cóż rotmistrz?

Rajmer machnął ręką w milczeniu.

— Umarł? — pytał Korycki.

— Caput!

— A niechże cię licho, z twoją kuracją!

— Co pan marszałek laja — odparł Niemiec — siedziałem dwa dni... żeby nie ja, toby jeszcze gorzej było!

Korycki ruszył ramionami; żał mu było rotmistrza, ale zmartwił się nie mniej, że ze śmiercią jego tracił nadzieję dowiedzenia się o Nielepcu, który był z Zyczem w tej potyczce razem.

Tymczasem, w sam dzień sejmiku, generał Fersen wyprawił pogrzeb wspaniały swoim oficerom, między którymi, jak zapewniano, miało być kilku znakomitych imion,

zasług i znaczenia. Nazajutrz zaś w niedzielę, dnia 29, generał Lewanidow, *in gratiam* zawartego pokoju, dawał bal w Kodniu, na którym sami tylko byli wojskowi; pito, jedzono i w karty grano, przy odgłosie muzyki wojskowej i odkorkowywaniu butelek. W parę dni potem wojewoda smoleński, Xawery Sapieha, w przejeździe do Wysokiego Litewskiego, obiadował u generała. Wojska zmieniały się nieustannie, wychodziły jedne, przybywały drugie; słowem, miał marszałek tyle zajęcia, że, zapomniawszy o świecie Bożym, tupcząc od rana do nocy, nie był zgoła w stanie za Nielepce jakichkolwiek czynić poszukiwań.

Tak upłynął miesiąc prawie cały, aż do dnia 27 sierpnia, w którym powtórny zjazd do Brześcia nakazano dla złożenia na nowy związek przysięgi.

Wykonał ją tedy przed marszałkiem Zaleskim kanclerz, Alexander Sapieha, którego na marszałka konfederacyi litewskiej powołano, a za nim wszyscy obecni, począwszy od urzędników wojewódzkich, sędziów i palestry. Był więc na owym akcie i JMPan Korycki z Raciborskim i Koreywą, *nolens volens*, do podpisu stając. Gdy już z kolegium po-Jezuickiego wychodzili, zetknęli się na progu z sędzią Szczepanowskim.

— No, cóż? — spytał — odwiedzaliście Nielepca? jak się on ma?

— Gdzie? alboż on tu jest? — spytał Korycki.

— A jest; dowiedziałem się niedawno; leży w lazarecie, posiekany słyszę haniebnie.

I ucieszyli się razem, i zasmucili przyjaciele Nielepca, dowiedziawszy się o nim; poczęto się rozpytywać i z poszukiwań wynikło, że istotnie wzięty był do niewoli wraz z Nazulewiczem, porucznikiem, także rannym, i że oba le-

żeli w lazarecie, urządzonym naprędce w jezuickim klasztorze, że mieli celę osobną; lecz odwiedzić ich, jak mówiono, bez osobnego i szczególnego pozwolenia samego generała Fersena, nie było wolno. Dziwnem się to zdawało, tem bardziej, że do innych niewolników podobnych obostrzeń bynajmniej nie stosowano, a wielu nawet, za wstawieniem się dostojniejszych osób, uwalniano niezwłocznie.

Bądź-co-bądź, należało nieszczęśliwego i chorego Nielepca ratować, a tymczasem choć go przynajmniej odwiedzić; czego, że marszałek sam dla pilnych w mieście zatrudnień uczynić nie mógł, wyprawił Koreywę z listem, uzyskanym naprędce od księcia kanclerza do generała Fersena. Koreywa, że z Nielepcem w zażyłości i przyjaźni był wielkiej, skwapliwie rekomendacyjne pismo księcia Sapiehy chwyciwszy, pobiegł do kwatery generała.

Przedostawszy się przez liczne szyldwachy, dotarł wreszcie do przedpokoju; tu zastąpił mu drogę oficer służbowy z zapytaniem, jaki ma interes do generała? Koreywa okazał list kanclerza, oświadczając, że pismo to wręczyć ma osobiście. Wyszedł oficer, a po jakimś czasie wróciwszy, wprowadził Koreywę do wielkiej, położonej obok przedpokoju, sali, i drzwi za nim zamknął. Sala ta, obok dolnego refektarza położona, była prawie pustą i, jak całe po-Jezuickie kolegium, mniej więcej ze sprzętów ogołoconą, bo w niej, prócz długiego stołu i jednej ławy, nic więcej nie było. Koreywa, postawszy chwilę, w niecierpliwem oczekiwaniu zaczął się powoli przechadzać, ku jednym i drugim drzwiom spoglądając, rychło li ukaże się Jwny generał. Tymczasem z przyległej izby dochodziły go dziwne jakieś odgłosy: krakania papug, które Koreywa w prosto-

cie ducha brał za zwykłe wrony, szczebiotania przeróżne i niewieście śmiechy. Niebawem kroki jego po próżnej a dźwięcznej sali musiały zwrócić czyjąś uwagę; jedne z drzwi bocznych uchyliły się lekko i ukazała się w nich główka jakiejś panienki, całe nieszpętnej, z włosami jasnymi i niebieskimi oczyma, która, rzuciwszy wzrokiem i uśmiechnąwszy się figlarnie, drzwi zatrzasnęła. Nie upłynęło minuty, aż znów się owe drzwi uchyliły; wyrzała wielce urodziwa białogłowa czarnooka i czarnobrewa; za ledwie podwoje przymknęła, zakrecono klamką i jeszcze nowe jakieś liczko, niemniej od poprzednich gładkie, zerknęło do sali. Nie wiadomo, jak długo byłyby się coraz nowe ukazywały twarze, gdyby nie ciężkie i powolne kroki, które się w tej chwili słyszeć dały z drugiej, obok położonej sali. Nie spostrzegł przeto ciekawy Koreywa, jakiej barwy były włosy i oczy tej, która wyglądała ostatnia, gdyż ciężki krok z drugiej strony zbliżał się wyraźnie, lubo coraz bardziej zagłuszany przeraźliwym szczeniem, skomleniem i warczeniem piesków pokojowych. Drzwi się otworzyły powoli i ukazał się w nich mężczyzna słuszny a chudy, o pomarszczonej, pergaminowej twarzy, mocno upudrowany, w jedwabnym, dziwnego koloru i kroju, kaftanie, otoczony czeredą mopsów i szpiców, które tak przeraźliwie ujadły, że przy tym chórze niepodobna było prawie rozmawiać. Generał zwrócił się do swoich ulubieńców, począł fukać, tupać, chustką machać, aż się wreszcie uciszyły nieco, wyciągając tylko nosy i wietrząc gościa zdaleka *).

Koreywa, skłoniwszy się, podał pismo księcia kanclerza.

*) Charakterystyka osób jest ściśle prawdziwą.

Generał czytał powoli i uważnie.

— Czy Waćpan jesteś krewnym tego oficera — spytał wcale dobrą polszczyzną, ukończywszy czytanie.

— Jestem... przyjacielem.

— A! — mruknął baron — powiedz-że pan swemu przyjacielowi, że dla wicherzycieli publicznego porządku już skończył się czas.

Koreywa ze zdziwieniem spojrział na generała.

— Tak — powtórzył Fersen — mamy też nadzieję, że prędzej później uzna to i sam wasz pryncypał, księżę Kazimierz Sapieha

Słuchał Koreywa i uszom własnym nie wierzył, nie pojmując, coby to być mogło i z kąd nagle Nielepiec za jakiegoś wicherzyciela mógł być poczytanym. Myśl nawet, jak błyskawica, przeleciała mu przez głowę, że może istotnie przyjaciel jego posiadał jakieś polityczne tajemnice, z których się nikomu nie zwierzał; ale że znał najdokładniej całe życie Nielepca i w dobrą przyjaźń i szczerą jego ufał, przypuszczenie to niepodobnem mu się wydało.

Generał tymczasem, przywołaawszy służbowego oficera, polecił mu, aby Koreywę zaprowadził do więźniów; na przedstawienie zaś, że i Korycki również chciał ich odwiedzić, oświadczył, iż to na później odłożyć należy; poczem, lekko skinąwszy głową, mierzonym i powolnym krokiem zwrócił się do swoich pokojów, odprowadzany przez swoją nieodstępną psiarnię, która na nowo skomleć i ujadać zaczęła.

Poszedł więc Koreywa, a że cela, w której pomieszczono więźniów, w tym samym znajdowała się gmachu, niebawem stanął przed jej drzwiami, strzeżonemi przez szyldwachę, który, regularnym jak zegar krokiem, przecha.

dzał się po kurytarzu. Oficer dobył klucza z kieszeni, cełę otworzył i, oświadczywszy, że za godzinę powróci, drzwi napowrót zatrzasnął.

Izba to była na piętrze, z dwoma dużemi świeżo zakratowanemi od dziedzica oknami, dość przestronna i widna; sprzęt stanowiło stołków kilka, stół i dwa łóżka. Na prawem, nie młody już, zawiędłej, żółtawo-czerwonawej cery, ściągłej twarzy, o ciemnych zawieszistych wąsach, z głową przewiązaną i krótką luleczką w ustach, siedział JMPan Nazulewicz, tatar z pułku generała Bielaka, człek niezrównanej poczciwości, gołębiego serca, a mimo tego, stoicznej flegmy, wyborny żołnierz i służbista. Pykając zwolna ustami, puszczając od czasu do czasu cienką strugę niebieskiego dymku i, z wielką uwagą dłubiąc nożykiem, fabrykował sobie nową drewnianą fajeczkę. W lewo, na zmiętej i lichej pościeli, leżał Nielepiec, blady i zmizerywany; spostrzegłszy wchodzącego Koreywę, podniósł się żywo. Powitano się serdecznie, a Nazulewicz, widząc, że przyjaciele ściskali się raz jeszcze, spokojnie wrócił do swojej roboty.

— Zapomnieliście o mnie — ozwał się Nielepiec.

— Niechże Pan Bóg broni! — zawołał Koreywa — dowiadywaliśmy się, szukali na wszystkie strony, ale żadnej nie mogliśmy uchwycić wiadomości; dziś dopiero sędzia Szczepanowski, nie wiem z kąd się dowiedział, wspominał nam o tobie, więc też w ten moment tu przybiegłem.

— Cóż tam u was słychać?

— At! zachciałeś! wojska pełen Kodeń, roboty, lataniny, co rady dać nie można.

No... a... — za ąknął się Nielepiec — a znajomi... wszyscy zdrowi?

Koreywa zgadł widać myśl przyjaciela, której on nie śmiał wypowiedzieć.

— Wszyscy, chwala Bogu! — odparł — a wiesz zapewne — dodał — że ślub łowczanki miał się odbyć dwudziestego piątego lipca...

— Jako miał? — przerwał więzień żywo — więc jeszcze ślubu nie było?

— O! nie, nie było; wiem to napewno; ale dla czego? zgadnąć trudno; najpewniej z powodu czasu wojennego i tych niepokojów.

— Co się przewlecze, to nie uciecze — szepnął tęskno Nielepiec, a spojrzawszy na Nazulewicza, zawsze swoją nową fajeczką zajętego z wielką pilnością, ożywiając się, dodał z cicha:

— Słuchaj... tyś mój przyjaciel... jak zobaczysz łowczankę, powiedz jej, że ja nigdy o niej nie zapomnę. Patrz — mówił, dobywając drżącą ręką złoty, na piersiach zawieszony krzyżyk — oto jedyna od niej pamiątka... Powiedz jej, że go do grobu z sobą zaniosę.

Zamilkł, ale za chwilę podniósł się na łóżku żywo.

— Nie... nie — wyjąknął znowu stłumionym głosem — nie mów jej tego; ona mi okazała współczucie... pocóż jej wspomnienie o mnie ma zatruwać życie? Niech będzie szczęśliwą... tak, niech o mnie zapomni. Masz, weź ten krzyżyk — mówił, zrywając go z szyi — oddaj jej... powiedz... — tu głos mu zadrżał, jakby zdławiony; — powiedz — rzekł z wysileniem — żem był wesoły, spokojny, żem o niej zapomniał...

Gorące łzy spłynęły mu po bladej twarzy, zakrył ją rękoma i wysilony padł na posłanie.

Koreywa tak był wzruszonym, że, odepchnąwszy po-

dawany krzyżyk nie był w stanie odpowiedzieć na razie i słowa pociechy w ustach mu zamarły. I była chwila ciszy, przerywanej tylko skrobaniem Nazulewicza i dolatującym od kurytarza miarowym krokiem szyldwacha.

— Ot masz! a niechże go... — ozwał się Nazulewicz — hm, niewiadomo co teraz robić?

— Co tam? — spytał Koreywa, rad, że przerwie przykre i bolesne milczenie.

— Złamał mi się nożyk; to, panie, te szachraje Niemcy nic pocziwego nie robią, kupiłem u Węgrzyna, zdaje się był doskonały, a kruche to, jak szkło.

— Trudno ci będzie, poruczniku, o nowy, siedząc w ciupie — rzekł Koreywa — weźże mój tymczasem.

— O! to, to, Bóg zapłać! — mówił z uśmiechem zadowolenia Nazulewicz, biorąc podawany nożyk.

— Bo to — ciągnął — i licha wie, dopóki przyjdzie tu siedzieć, i co z nami robią? O mnie to tam głupstwo, mniejsza o to... ale szkoda mi najgorzej pocziwego kolegi; młody jest, cały świat przed nim, po co ma cierpieć za mnie?

— Jakto za pana? — spytał Koreywa.

— Hm — mruknął porucznik, wstając z łóżka i na nowo nakładając fajeczkę — a jużci za mnie; ja tam, panie, nic nie gadam, ale wszystko myślę, co by to poradzić? bo ja wiem regularnie, czyja to robota...

— No to mów, zmiłuj się — przerwał żywo Koreywa.

— Otóż to, zaraz, zaraz — odparł powolny a systematyczny porucznik, zapalając luleczkę. — Bo to trzeba panu wiedzieć, że przez jakiś czas z początku całe nas tak nie pilnowano, jak teraz; aż tu z nienacka coś się stało,

jednej niedzieli wieczorem, szach-mach, postawili szyldwach i na klucz zamknęli! o! uważa pan?!

— Więc cóż?

— No, więc ja był okrutnie ciekawy, co to jest? aż tu panie coś w parę dni wprosił się do nas w odwiedzin Korycki.

— Jaki Korycki?

— Jakób, Tatar, nasz, panie, niby cioteczny naszego rotmistrza, Buczackiego; on, panie, jest tu w palestrze przy regencie. Więc my gadu-gadu, powiada mnie o co: generał ten... ten, co tu stoi... jakże on?

— Fersen?

— Ale ten Fersen, że to raz w raz, panie, rozsyła jakieś do szlachty uniwersały, więc dla ułożenia tego po ludzku i napisania po polsku, zapotrzebował jurysty i skrybentów; owoż, panie, poszli oni tam i przez sobotę i niedzielę nawet pisali a pisali. Aż tu, powiada mi Korycki, w niedzielę, przed wieczorem, kiedy oni piszą w tej wielkiej sali, generał wychodzi i odprowadza jednego jegomości do progu, żegnając się uprzejmie i powiada te słowa: „dziękuję bardzo za ostrzeżenie; przypilnuję ja tych ptaszków; zamknę ich w klatce bezpiecznie, a jak się podkurują, odeślę tam, gdzie już nikomu nie będą szkodliwi“. O! uważa pan?! zaraz też przywołał służbowego oficera i wyraźnie powiedział: „tych dwóch rannych wziąć pod straż mocną“. — O! uważa pan?!

— Dobrze — przerwał Koreywa — ale zmiłuj się, poruczniku, kto był ten łajdak oskarżyciel? kto? czy Korycki go nie zna?

— Jakże nie! zna doskonale.

— Któż to taki?

— I, i, to, panie, nie warto gadać; mój osobisty nieprzyjaciel.

— No... ale kto?

— I, i, to... to głupstwo... bo to tak było: ja mam tam koło tego jegomości o miedzę kawałek ojcowizny; on bogaty, panie, a ja biedny, a on mnie jednego roku kawałek mojej łąki przykosił. No, myślę sobie, ot, przez *obmyłkę*, nie mówiłem nic. Drugiego roku, oho! panie, jeszcze więcej garnie; więc ja, myślę sobie, no, może to podstarościego sztuka; dopominałem się; przepadło. Ale, panie, na trzeci rok... a niechże cię kroć sto tysięcy!... i to, panie, jak na toż, idę ja sobie w pole, aż tu sam jegomość *napakocił* mi się pod rękę; no, cóż robić... Panie Boże odpuść! wytatarowałem mu, panie, skórę po tatarsku, aż mnie później samemu żal było. Bez świadków, panie, no, przepadło... ot za co złość!

— Ale powiedz-że, kto to jest? — pytał Koreywa.

— Ee — to panie, dalipan niewarto, nie godzi się gadać, domowa sprawa, między nami — mówił porucznik, przygniatając palcem popiół w swojej fajeczce.

— Zmiłuj się, pomyśl, że, wiedząc kto, łatwiej coś poradzić przecie.

— Hm... a, a to prawda; i najbardziej, że mnie o towarzysza chodzi, co z mojej przyczyny cierpi; ale jak Bóg da zdrowie, ja mu odsłużę.

— No, widzisz Waszmość; więc któż? — nalegał Koreywa.

— No kto? — odparł, ożywiając się i podnosząc głowę Nazulewicz — wiadomo... ten... błazen podstoli.

— Jaki? może Ruszczyc?

— Ano, jużci Ruszczyc.

— On? — rzekł Koreywa — a! to teraz rozumiem.

Nielepiec, który, w myślach pogrążony, nie słuchał poprzedniej rozmowy, gdy go doleciało podstolego nazwisko, podniósł głowę.

— Co tam o Ruszczycu mówicie? — spytał.

— Pokazuje się z opowiadania porucznika — odrzekł Koreywa — że wasze zamknięcie jest prosto najpodlejszą intrygą podstolego; oskarżył was przed Fersenem!

Nielepiec uśmiechnął się gorzko i ręką rzucił nie-dbale.

W tej chwili żywe kroki dały się słyszeć na kurytarzu, klucz w zamku zaskrzypiał i wszedł oficer, oświadczając, że już czas dozwolony na rozmowę upłynął; pożegnano się więc i Koreywa opuścił celę.

JMP. marszałek Korycki, wywiedziawszy się o Nielepcu i odkładając z musu odwiedzenie go na czas późniejszy, z mocnem postanowieniem dołożenia wszelkich starań do uwolnienia obu więźniów, powrócił do Kodnia. Tu zapowiedziany był już przejazd, jak nazywano, *Generalności*, to jest: Potockiego, Rzewuskiego i Branickiego, a z nimi przybranych konsyliarzy, sekretarzy i całego otoczenia adherentów ich i przyjaciół, którzy radzi byli *piscari in turbido*, czyli ryby łapać w mętnej wodzie. Wszystko to, naznaczywszy sobie „etap“ w Kodniu, jechało do Brześcia dla solennego połączenia się z partją litewską. JMP. Zaleski, marszałek, i konsyliarze Brzescy, przez niechęć do księcia Kazimierza naznaczyli dostawę wielkiej ilości furazów z dóbr Kodeńskich do Terespola i Brześcia dla owej generalności, owsa, siana i chlebów; a nie mniejszą kwotę jeszcze przygotować w Kodniu kazano. Co do tych ostatnich przysposobień, był też podobny rozkaz i od księżnej

dziedziczki, aby generalność i panów przyjmować w Kodniu z uprzejmością wszelką, od dostawy jednak furazów do Brześcia uwolnić o ile można starano się, umyślnie bowiem w przesadzonej ilości były wymagane; na ten czas więc przyjaciele Nielepca ani wolnej myśli, ani czasu nie mieli, aby dla uwolnienia jego jakiegokolwiek przedsiębrać starania.

X.

We wtorek dnia 4 września ¹⁾, z rana jeszcze przybyła do Kodnia część dworu Szczęsnego Potockiego, generała artylerji a marszałka konfederacyi koronnej; pokoje były już przygotowane, ale JmPan Korycki z wielkiej apprehensyi tych wszystkich wypadków rozchorował się mocno, dostawszy żółtaczki, i od dni kilku leżał, a Rajmer karmił go jakiemiś mixturami. Raciborski z Koreywą kręcili się i biegali, i lubo wszystko było w porządku, niemniej jednak marszałek księżnej Jejmości martwił się, że osobiście w imieniu swej pani nie będzie mógł gości przyjmować. W południe nadjechał już i Potocki wraz z kasztelanem przemyskim, księciem Antonim Czetwertyńskim, z Tomaszewskim, Hulewiczem i kilku innymi konsyliarzami. Zaraz też książę Czetwertyński poszedł do Koryckiego, ten oddał mu list od księżnej; czytał go kasztelan, rozmawiał czas jakiś z Koryckim i mocno nastawał na to, żeby namawiano księ-

¹⁾ Daty wszystkie (jak i wszystkie szczegóły) podane są według współczesnych oryginalnych korespondencyi z miejsca. Potocki zjechał z Kodnia do Terespoła dnia 6 wieczorem, do Brześcia 7 września. Wszystkie źródła historyczne podają fałszywie dzień 8 września.

cia Kazimierza Sapiechę do powrotu i przystąpienia do konfederacyi, twierdząc ¹⁾, że jak byli wszyscy oni przyjaciółmi jego, tak i nadal zostaną, mimo owego gorącego manifestu i protestacyi przeciw konfederacyi Targowickiej, jaką złożył książę dnia 27 lipca w grodzie warszawskim. Nazajutrz Korycki, zwlokłszy się z łóżka, submitował się JW. generałowi artyleryi, Potockiemu; około południa nadjechał stary kanclerz, książę Aleksander Sapieha, nowy marszałek konfederacyi litewskiej; obiadował z Potockim i zaprosił wszystkich do Terespoła, dokąd też o godzinie szóstej cały dwór Potockiego pociągnął. Tu suta czekała wieczerza i nader świetne przyjęcie; zabawa trwała noc całą, illuminacye i salwy zarządzono na cześć generała artyleryi, witali go zebrani goście, mieszczañstwo i żydzi nawet z oracyami i muzyką. Ale i w Kodniu tymczasem bynajmniej ruch nie ustawał; tegoż wieczora bowiem nadciągnął hetman Branicki, przenocował tylko i nazajutrz do Brześcia ruszył; ledwie zaś on wyjechał i miano czas uprzątnąć komnaty zamkowe, przybył z całym dworem, ogromnem otoczeniem i z żoną nawet, hetman Rzewuski ²⁾, trzeci główny dygnitarz konfederacyi. Wszystkich tych dostojników, jakby w gospodzie jakiej, należało przyjmować i o wygodzie ich myśleć; biedny Korycki chodził już jak z krzyża zdjęty; ledwie po odjeździe Rzewuskiego nieco się ta nawałnica uspokoiła. Księżna Sapieżyna poleciła zawczasu, aby jej najszczególowszą zdawano relacyę o wszystkim, coby się w Kodniu i w Brześciu dziać miało; pierwszej przeto jeździł

¹⁾ List Koryckiego do księżnej.

²⁾ Wszystkie szczegóły z autentycznych listów współczesnych, znajdujących się w archiwum Romanowskim w posiadaniu autora.

z wiadomościami JMP. Montrezor, a marszałek Korycki osobno listy za listami do Warszawy wyprawiał.

Powoli zaczynało wszystko do niejakiego porządku w Kodniu powracać; Korycki też, przez dni kilka ostatnich z wielkiej preokupacyi zapomniawszy brać dekretów Rajmera, uczuł się znacznie lepiej, a w spokojniejszych chwilach sumował sobie szkody i koszta, jakie „skarb Kodeński“ przez tę zawieruchę i nadzwyczajne wypadki ponosił. Byłby też i o Nielepcu pomyśleć nie miał czasu, gdyby mu go poczciwa marszałkowa nie przypomniała.

— Nielepiec! a, prawda! — zawołał Korycki — jak mi Bóg miły, na śmierć zapomniałem! co to, panie w takim rozgardyaszu! hm — mruknął — szkoda chłopca... ale jak go wydostać?

— A czemuż nie prosiłeś hetmana? — rzekła żona — on się nim przecie opiekuje.

— Ot, z tej słabości i preokupacyi — odparł marszałek — wszystko wyleciało z głowy; a... no, we wtorek, jak będziemy na tym akcie w Brześciu, wszyscy się za nim do naszego hetmana wstawimy; nie może to być; żeby go nie uwolnili; wszystkich przecie na wolność puszczono.

Jakoż dnia 11 września, we wtorek, JMP. Korycki z Raciborskim i Koreywą pośpieszyli do Brześcia na zapowiedziany i programatem całej ceremonii z góry zarządzony akt połączenia konfederacyi koronnej z litewską. Ta solenność wielka, na jaką się wówczas w Brześciu wszelkiemi sposobami sadzono, obmyśloną była, jak szeptano, w tym celu, aby przyćmić niejako ów akt solenny pierwszy, odprawiony w Warszawie dnia trzeciego maja tegoż roku, w rocznicę ustanowionej nowej konstytucyi.

Nie żałowano więc kosztów, zabiegów i starań, a że środki, jakie w rękę mieli główni promotorowie, wyrównywały niemal ich dumie, obchód ten przeto mógł być bezwątpienia, i był poniekąd, z pozoru przynajmniej, wspaiałym.

W starym więc Brześciu i Terespolu zawrzało owo sztuczne życie tak, iż porównać tego nie można było ani z jakowym wjazdem na starostwo, ani z dawniej tu odprawianym trybunałem, ani z przejazdem nawet samego króla Jegomości; i chyba może na owym sławnym soborze, odprawionym w roku 1595, mógł być ruch i ożywienie podobne.

Jest i dziś Brześć i Terespol, jak niegdyś, ale tylko nazwiska; z dawnego Brześcia i Terespola nie pozostał kamień na kamieniu. Terespol, dawniej Błotków zwany, było to miasteczko na lewym brzegu Bugu, tąż rzeką oddzielone od Brześcia, wcale porządne, ale nie stare. Dawniej bowiem, prócz pałacu królewskiego z pięknym ogrodem, była tu niemal pustka; dopiero Jerzy Fleming, wojewoda pomorski, w 1757 roku, wprowadziwszy jarmarki i ściągawszy kupców i rzemieślników, Błotków przezwiał Terespolem i ufundował ludne, murowane, z wielu ozdobnymi piętrowemi kamienicami, miasteczko, lubo kościół i klasztor Dominikanów Obserwantów założył pierwej w 1697 roku Słuszka, kasztelan wileński. Co do Brześcia, rzecz jest całę inna: są ślady, że już w X wieku była tu osada. Chrobry opanował go w roku 1020, a Kazimierz Sprawiedliwy wystawił zamek w roku 1182. Był tu Gedymin w 1319 roku, a *Władysław Jagiełło wznosił pierwszy kościół katolicki, którego fundacyę Witold przywilejem w Trokach roku 1412 odnowił.* Za Zygmunów Brześć był już jednym z najlud-

niejszych miast litewskich, nie innem znajdujemy go też w epoce wypadków, które opowiadamy. Lecz w r. 1831, gdy zaczęto wznosić twierdzę, tak zwaną pierwszego rzędu, wiekowe mury starego miasta, poważne, ozdobne i okazałe kamienice, piękne kościoły i klasztory znikły bez śladu. Zbito je i rozrzucono do fundamentów, również jak Terespol, na którego posadach rozpościerają się dziś forteczne kapuściane ogrody. Brześć dzisiejszy, zwany forsztatem, cały drewniany, stoi o ćwierć mili dalej ku Kobryniowi, Terespol, nowy również, w przeciwną odsuniętą stronę. Na miejscu zaś dawnego miasta, wzniosła się groźna forteca, której mury, gdzie to z ogólnego wypadło planu, pochłonięły niektóre gmachy starego grodu. Środkowy wszelako plac fortecy pada właśnie w miejsce starego rynku, leżącego niegdyś przed Jezuickim kościołem; część przeto murów owego kościoła przerobiono na mieszkanie komendanta fortecy. Brześć dawny przypominał nieco stare miasto w Warszawie, lub niektóre dawniejsze dzielnice Lublina; kościołów i klasztorów było w nim czternaście.

Solenny obchód, który się odbył w Brześciu dnia 11 września 1792 roku, podajemy tu z oryginalnego listu współczesnego :

„Hetman Branicki stanął kwaterą na ekonomii, w rynku zaś główne kamienice zajęte były przez hetmana Rzewuskiego i kanclerza Sapiehę; najobszerniejszą jednak i najpiękniejszą wprost po-Jezuickiego kolegium oddano JW-mu Potockiemu, ale że i to pomieszczenie było jeszcze na liczny dwór, gości i asystencyą jego za szczupłe, rozbito przed nią na rynku namiot obszerny. Drugi, wspanialszy jeszcze, w seledynowym kolorze, wzniesiono nieopodal, wprost samego kościoła. Generalność tedy dnia 11-go Se-

ptembra o 8-iej rano zgromadziła się pod owe namioty; przybył JW-ny Potocki przy odgłosie muzyki wojskowej, kotłów, bębnow, tudzież prezentowaniu broni, oraz sztandarów od licznej milicyi i wojsk, z konfederacją sprzymierzonych, a gdy przy podobnych-że honorach zbliżył się do namiotu i JO. księżę Sapieha, kanclerz W. X. L., powitali się marszałkowie, i ceremonialiter, otoczeni liczną asystencją i wielkim orszakiem, strojni od lamy, dyamentów, jedwabi i aksamitów, wspaniałych nad podziw, kroczyli do kościoła po-Jezuickiego. Tu wyszła zaraz msza cicha, której tylko muzyka wojskowa słodko przygrywała, a JJW-ni marszałkowie, przy osobnych aksamitnych pulpitych, z dwóch boków ołtarza tam i sam ustawionych, klęcząc słuchali; przy każdym zaś z nich laskę marszałkowską trzymano. Gdy nadeszła ewangelia, powstali wszyscy i, dawnym obyczajem nakrywszy głowy czapkami, dobyli szabel, okazując, jakoby na obronę wiary gotowość; jeden tylko JW-ny hetman Rzewuski, do dobywania szabli cale nie przywykły, długo się męcząc i siłując ze swoją francuzką szpadką, gdy jej w końcu rady dać nie mógł, podniósł odważnie ów rożenek wraz z pochwą do góry. Następnie JMKsiądz Sierakowski, sufragan przemyski, miał stosowne do tego aktu kazanie, poczem odczytał akces króla Jegomości do konfederacyi i wreszcie tak zwany akt Unii, czyli połączenia się konfederacyi obojga narodów, w ten sens:

„Oznajmujemy tem-to pisaniem naszym, wszem teraz i na potem będącym ludziom, iż my, oba narody, jednym duchem tchnące, w jedno ciało spojone przez Unią, za Władysława Jagiełła zapadłą, a za Aleksandra i za Zygmunta Augusta, królów polskich i książąt litewskich, zmówioną, tąż Unią zaręczywszy sobie wolne, wspólne obiera-

nie Królów Polskich i wszystkie inne swobody Stanu Rycerskiego, a to dzisiaj przytłumione widząc, uczuliśmy potrzebę nowego złączenia się na to, iżby złamana Unia stwierdzoną była, iżby Rzeczpospolita, spiskiem, jaki dotąd nie skaził dziejów ludzkich, nagle obalona, podźwignioną przez nas została. Przed Bogiem, do którego wnosimy serca, pełne wdzięczności, iż cios wiszący nad nami odwrócić dozwolił, przed ojczyzną, którą wolną a zatem szczęśliwą widzieć pragniemy, jak najuroczyściej zaręczamy, iż od tego nie odstępimy związku, dopóki wszystkie nam wydarte swobody przywrócone i na potem zabezpieczone nie będą, bo wolność od przodków powziętą potomkom zachować winniśmy i zachować chcemy“.

„Dan w Brześciu Litt. w Kościele po-Jezuickim d. 11 września 1792 r.“

„Po czem, gdy w programacie, na dni kilka przedtem ogłoszonym, powiedziano było, iż w tem miejscu ceremonii solennej mają być narody zapytane: „czy zgoda?“ na co jednomyślnie odpowiedzieć powinni „zgoda“; stosując się przeto do owego porządku w ułożonym programacie, JJWW ni marszałkowie zapytali: „czy zgoda?“ i jednogłośnie też zaraz odpowiedziano „zgoda“. Tak więc, gruntownie ubezpieczywszy się w tem, że obu narodom na potomne wieki niezmiennie i stale zapewniano już wolność, prawa i swobody, i wybór długiego panujących szeregu aż do zmierzchu wieków, na podziękowanie za doprowadzenie przecie tak wielkiego i chwalebego dzieła do skutku, JMKs. Kossakowski, Biskup Wileński, pontyfikaliter wyszedłszy, zaintonował *Te Deum laudamus*, w asystencyi liczного duchowieństwa i przy rzesistem z dział biciu. Dalej nastąpiła benedykcya, przez tegoż JMK-dza Biskupa uczyniona,

i wnet JO. Książę Marszałek Konf. Lit. zagał sesją, mową *ad hoc* ułożoną, wreszcie akt ten przez wszystkich obecnych podpisanym został. Po czem dopiero JW-ny Potocki, Marszałek Konf. Kor., wszystkich senatorów, marszałków, konsyliarżów, oraz licznie zgromadzonych gości zaprosił na obiad“.

„Stoły, pod namiotami zastawione, ugiwały się prawdziwie (ile, że z cienkich desek złożone) od farfur, srebrnych i złotych naczyń i wspaniałej zastawy; grzmiała muzyka, wnoszono liczne zdrowia, a salwy ustawiczne z moździerzy, dział i ręcznej strzelby do późnej nie ustawały nocy“.

Przy tym więc solennym obchodzie, szukał JMPan Korycki sposobnej chwili, aby się do hetmana Branickiego zbliżyć, chcąc go o pomoc w wyswobodzeniu nieszczęśliwego Nielepca upraszać. Lecz był to czas właśnie jakoby najgorzej wybrany; bo ani pogodnego momentu do poufnej rozmowy znaleźć, ani nawet chodzić za uwolnieniem więzionych nie było podobna.

Nie więc nie wskórawszy, powracał JMPan Korycki całkiem markotny do domu, mając też nie płonną „ekspektywę“, że mu się za to i od małżonki coś niecoś oberwie. Ichmość marszałkowstwo bowiem miłowali się wzajemnie, jak Bóg przykazał, uczciwie i statecznie, ale byli przytem stałym tak szczęśliwie dobranem, że jakoby w dobrze złożonej parze woliców, albo ciągnęli równo, lub jeśli które pofolgowało, to przeciągało drugie, i na odwrót. Gdy więc JMP. Korycki był czasem nie w humorze i zrzędził na żonę, ona milczała, a jeśli on milczał i był powolnym, gderała żona. Wszystko to wszelako było w pewnej mierze i „moderacyi“ wielkiej, nie jako pasya jaka, uchowaj Boże, ale

raczej jako ułomnej natury ludzkiej objawy. Owoż więc czcigodny marszałek wcale się w swych przeczuciach nie zawiódł; ledwie bowiem, przybywszy z towarzyszami swymi do Kodnia, ze skarbniczka wysiadł, wnet marszałkowa zapytała.

— No, a cóż Nielepiec?

— Nic, moja Imość kochana, nie zrobiliśmy, bo przy tych solennościach ani dostępu do hetmana nie było.

— Otóż to — zawołała żona — nie było dostępu! masz tobie! a tam tych nieboraków w więzieniu skwaszą! dobrze Waszmościom jeść, pić i wolnem powietrzem oddychać, a oni, co życie na azard wystawiali, marnują się i nikt im nie pomoże.

To jednym tchem wypowiedziawszy, nadąsana marszałkowa odeszła.

— Oberwaliśmy — rzekł Koreywa z cicha do Koryckiego.

— Oberwaliśmy — powtórzył marszałek — no, ale sam Waszmość powiedz, czy można było co zrobić?

— Zapewne, że trudno, ale za dni kilka, jak się to wszystko uspokoi, wpadniemy cichaczem do Brześcia i rzecz się załatwi.

Ale tymczasem nie ustawały zmiany i przechody wojsk, które to szły, to wracały; Lewanidow i Szeremetjew wyruszyli z Kodnia do Białej, aż nowy w drodze otrzymawszy rozkaz, wrócili na dawne kwatery. Goście, jadący do Brześcia i wracający, wszystko dobrzy znajomi i przyjaciele kodeńscy, sypali się bez końca, jakby w jasełkach, co jeden zniknie, drugi się pojawi; słowem JMP. marszałek zajęty był od rana do nocy. Tak prawie dwa tygodnie ubiegło niepostrzeżenie; aż dopiero w niedzielę

dnia 23-go, gdy osobliwszym trafem nikogo jakoś z gości nie było i przyszła nagle wiadomość, iż nazajutrz przybędzie do Kodnia hetman Branicki, z powrotem już do Lubomla jadący, przypomniano sobie sprawę Nielepca i, uprzedzając odjazd Branickiego, JMP. Korycki z Koreywą co tchu, obiadu nawet nie jedząc, wsiedli na bryczkę i popędzili do Brześcia.

Przybywszy na miejsce, zajechali wprost do ekonomii, ale okazało się, że hetman przed godziną może udał się na obiad do kanclerza, gdzie na ważne narady i konferencje przed oddaleniem się jeszcze hetmana, który z misją jakowąś odjeżdżał, zebrać się miała cała starszyna. JMP. Korycki przeto wraz z Koreywą czekać postanowili na powrót pański, z ekonomii się nie ruszając.

Marszałek dworu hetmana, JMP. Trzeciak, przyjmował tymczasem gości; czekano i czekano do samego wieczora, a hetman nie wracał. Już i dziewiąta godzina wybiła, a Koryckiemu oczy kleić się potrosze zaczynały, mimo wygranych w marysza do puli od pana Trzeciaka sześciu „rublów“ w srebrze; papierowych bowiem *rubli*, jak teraz, naówczas nie znano. Aż wreszcie około 10-ej godziny turkot i tentent oznajmił przybycie hetmana; zaraz więc pobiegł Trzeciak, uwiadamiając o przybyciu Koryckiego i Koreywy, których Branicki, nie mieszkając, kazał prosić do siebie, a wyrozumiawszy o co rzecz szła, przyrzekł nazajutrz rano, przed odjazdem, sam być u generała Fersena i uwolnienie Nielepca i Nazulewicza wyjednać.

Sprawiwszy się z tem, JMP. Korycki, że mu na przyjęcie hetmana w Kodniu zawczasu być należało, zostawił Koreywę w Brześciu, aby wraz z uwolnionymi nadjechał później, a sam, chociaż noc była ciemna, wgramoliwszy się

na bryczkę, do domu pośpieszył. Gdy wjeżdżał na rynek kodeński, już dobrze było z północy, i w rogowej karczmie u Nuchima trzecie kury piałły; bez wielkiego więc hałasu kazał pod zamek zajechać i zastukał do drzwi.

Czujny Opoczyński musiał zapewne oczekiwać powrotu marszałka, wnet bowiem dał się słyszeć chód jego posuwisty, zadzwoniły klucze, brzęknął rygiel i ukazał się we drzwiach stary murgrabia z nieodstępną w ręku lartarką.

— Jak się masz, stary? — ozwał się Korycki — nie był tu kto z gości?

— Nie było nikogo — odrzekł kłaniając się Opoczyński — ono wieczorem nadjechał, panie tego, JW-ny rotmistrz z córką.

— Jaki rotmistrz?

— A pan rotmistrz, łowczy z Turowa.

— Aha, dobrze; gdzieżeście ich umieścili? bo na górze tylko jeden mały pokój wolny, reszta dla hetmana.

— Toż tak *sia* i zrobiło, proszę pana marszałka; tam pan łowczy nocuje, a panna u Imości, z dziećmi.

Odszedł gospodarz, a stary murgrabia, drzwi zamykając, mruzczał jeszcze pod nosem:

— Hm... bo, panie tego, jakże inaczej umieścić? tu hetman... tu goście raz w raz... Raciborski mówi... do kafenhauzu!... gdzie to panie takiego słusznego człowieka do kafenhauzu!... cóż to? czy *sia* już dla niego, panie tego, kwatery w zamku nie znajdzie?...

I gderając długo, a dzwoniąc kluczami, posunął się do swojej izdebki.

Nazajutrz Korycki dowiedział się od łowczego o owych swatach hetmana i rozchwianiu się małżeństwa podstolego,

z czego marszałkowa niezmiernie była uradowana i dołożyła wszelkich starań, aby łowczego zatrzymać aż do przybycia Nielepca; już bowiem sobie ukartowała, aby go koniecznie z łowczanką swatać. Stary rotmistrz śpieszył się do Siemiatycz, dokąd wojewodzina Braclawska wezwała go wraz z córką nader uprzejmie; ale na prośby obojga marszałkowstwa, jeszcze na ten dzień w Kodniu pozostał.

Okolo dziewiątej rano nadjechała część dworu hetmańskiego, a w południe i sam Branicki.

Marszałek przyjął go w zamku i poprowadził do apartamentów na górze, gdzie i do stołu właśnie było już nakryto.

Tu znalazłszy się hetman, jako był, mimo niepierwszej młodości, temperamentu żywego, rzucił na stół czapkę i rękawiczki i ozwał się zaraz, podchodząc do Koryckiego.

— No, marszałku, bądź spokojny, Nielepca i Nazulewicza uwolniłem; ale wierz mi Waszmość, że to wcale łatwym nie było.

— Z jakiej racyi, jeśli wolno spytać? — rzekł Korycki.

— Cha! cha! — zaśmiał się hetman — racya pierwsza, że ich ktoś o spiski jakieś i jakobinizm oskarżył... to dopiero ludzka głupota! Ale była i druga przyczyna, Fersen na nich zły szczególnie, bo się okazało, że Nielepiec, Nazulewicz i Zycz, czasu potyczki, kiedy na nich wpadło pięciu oficerów, oni we trzech tak się gracko spisali, że wszystkich, co do nogi, położyli.

— A to dzielnie! — przerwał, uśmiechając się, Korycki.

— Walne chłopcy! — mówił hetman wesoło — *niech kpy wiedzą, jak się szlachta bije!* Otóż za to miał Fersen

rankor szczególny; ale nie racya, bo takie męztwo każdy uszanować powinien... no, i mnie nawet ośmielił się robić niejake uwagi, że się za nimi wstawiam, ztąd niby, że między poległymi był książę Kozłowski, który się ze mną przyjaźnił! Cha! cha! *requiescat in pace!* cóż to ma jedno do drugiego?

— Proszę JWHetmana — spytał Korycki — czy to nie ten Kozłowski, co go JWPan do łowczanki swatał?

— A ten sam.

— I zginął?

— Zginął, właśnie z ręki Nielepca.

— Czyż to być może? — rzekł zdziwiony marszałek.

— A no, tak; cóż dziwnego?

— Hm, dziwne to, i bardzo, JWPanie! — odparł zamysłony nieco Korycki — trafunek prawie niesłychany i osobliwszy... no?!

— Cóż Waszmość w tem dziwnego upatrujesz? — pytał zaciekawiony Branicki.

— Bo to — mówił marszałek — trzeba JWPanu wiedzieć, że małżeństwo łowczanki z tym podstolim było ułożone pierwaj za protekcyą niby JW. wojewodzinej braclawskiej; ot tak, wiadomo, jak wiele innych; i słowo było dane, i po zaręczynach, aż tu przypadkiem poznał się, właśnie w Kodniu z łowczanką Nielepiec, i jak to u młodych bywa, oboje się w sobie rozmiłowali śmiertelnie. Ale słowo się rzekło... już było, jak to mówią, po harapie... a u starego Drohomireckiego, to JWPan wie, jak co powie... amen. I łowczanka też ma ojcowską ambicję. Więc nie było rady, Nielepiec poszedł bić się, a łowczanka, jak Bóg Bogiem, została-by podstoliną, gdyby nie te swaty JWHetmana.

— Tak? — zawołał Branicki — to mi Waszmość ciekawe historyje prawisz!... no, patrzaj-że — dodał, kiwając głową, — prawdę mówisz, że to zdarzenie szczególne! Książ się w niej rozkochał od południa do wieczora i byłby niechybnie konkurował, ale poszedł z oddziałem na całą noc... a z rana już go nie stało!

— I to z ręki właśnie Nielepca — dodał marszałek — co go ani znał, ani mógł wiedzieć, że się potykał z rywalem.

Hetman zamyślił się chwilę.

— Hm... dziwny traf! — rzekł wreszcie — ależ bo i dzielny chłop z Nielepca; to tak, jak ojciec jego, co mi pod Zittau w 1757 roku, kiedyśmy pod księciem Karolem bili się z Prusakami, prawdziwie życie uratował. Już mnie szaserzy pruscy byli tak obkoczyli, że Bogu duszę ofiarowałem, bo ranny byłem, posiekany i z sił opadałem; aż tu jak piorun wpadł Nielepiec¹⁾... z kilkunastu dragonii daliśmy jeszcze szaserom taką *łupnię*, że ich połowa na placu została. No... i patrz Waszmość — kończył hetman — jak to człowiek niechcący może być niewdzięcznym. Byłbym Nielepcowi srogą krzywdę uczynił, swatając kniazia z łowczanką; a ja przecie jego ojcu winienem życie, i tegom jeszcze nie odsłużył, a dług mi na sercu leży. Ot — dodał uśmiechając — byłiby znów trąbili, że Branicki niewdzięczny!

— Jeśli tak się już stało — rzekł wesoło Korycki — to mi JWPan przebaczy... ja zbiegnę na dół na chwilę uspokoić łowczankę, niech się już owego kniazia nie obawia...

¹⁾ Historyczne.

— Alboż tu jest łowczanka? — spytał żywo hetman.

— Jest z ojcem; wstąpili przejazdem do Siemiatycz.

— Są tu w Kodniu?!

— Są, JW Panie.

— Taak? — rzekł hetman przeciągle, a wiedząc, że się dworzanie i służba uwijali po izbie, skinął na Koryckiego, odwodząc go do drugiego pokoju na poufną rozmowę.

Wkrótce wybiegł marszałek wesoły i uśmiechnięty, jak go już dawno nie widziano, pośpieszając na dół; ale gdy był już na progu, hetman jeszcze zawołał: .

— Marszałku!

— Słucham — rzekł Korycki, wracając.

— Kazałeś mi Waszmość nakryć tu do stołu cóż to? masz mnie za kamedułę, żebym jadł sam jeden? w gardło mi to nie polezie!

Marszałek zmieszał się nieco.

— Każ dawać obiad — dodał hetman — a ja do was na dół zaraz schodzę...

— JW Panie — przerwał Korycki nieśmiało — ale tu u mnie, wiadomo... marszałkowski stół.

— Mój kochany — zaśmiał się Branicki — jak ja tam przyjdę, to będzie hetmański, byłeś mi Waszmość tylko nie dał zrebięcej pieczeni, bo jej wcale nie lubię.

— Ale JW Panie — mówił Korycki — ja tu kazałem przygotować obiad wykwinniejszy.

— Cha! cha! — zaśmiał się hetman — a mnie co po nim? będę głodny, pal go kaduk! schowaj to dla Rzewuskiego, co lubi łakotki; za tydzień ma jechać, każesz mu odegrzać!

Uśmiechnął się Korycki.

— Jeśli taka łaska JW Pana, to ja pośpieszę, żeby się stosownie do rozkazu jego rozporządzić.

I skłoniwszy się, wyszedł pośpiesznie.

* * *

Koreywa, który został w Brześciu po odjeździe Koryckiego, czekał rozkazów hetmana; jakoż nazajutrz, gdy wszystko do drogi było gotowem, Branicki, usiadłszy do karety i po drodze wstępując do generała Fersena, wziął z sobą Koreywę, który w pierwszej sali mieszkania generalskiego pozostał, gdy hetman do dalszych udał się apartamentów. Wkrótce wyszedł Branicki, odprowadzony przez generała, i odjechał wprost do Kodnia; oficer zaś służbowy otrzymał polecenie uwolnienia więzionych. Udał się więc Koreywa z nim razem natychmiast do celi, w której Nielepiec i Nazulewicz siedzieli.

Szydłwach zdjęty został zaraz po drodze, a za otwarciem drzwi spostrzegł Koreywa Nielepca, znacznie już zdrowszego, nad jakąś księgą sążnistą; Nazulewicza zaś, jak pierwej, z luleczką w zębach dłubiącego na swej nowej, dawno wykończonej drewnianej fajeczce, jeszcze jakieś arabskie z Alkoranu litery.

Nielepiec dość obojętnie przyjął wiadomość o uwolnieniu, ale Nazulewicz ucieszył się serdecznie.

— A to! pocziwe hetmanisko! — zawołał — niechże mu Bóg da zdrowie... trzeba zaraz iść podziękować.

— Hetman do Kodnia odjechał.

— A! to i nam za nim pośpieszyć wypada.

— Właśnie — mówił Koreywa — pojedziemy, tylko

ztańd byle prędzey zabierajcie się z rzeczami do zajazdu, a tam się wszystko uładuje.

Bryczka, przysłana z Kodnia, stała już przed gmachem; przewieziono do gospody drobiazgi; panowie się przebrali i już mieli odjeżdżać, kiedy Nielepiec, uderzywszy się dłonią w czoło, stanął w środku izby, jak wryty.

— Cóż tam? zapomniałeś czego w celi? — spytał Koreywa.

— Najważniejszej rzeczy! — odparł Nielepiec — mój najdroższy skarb, szablę od łowczego, zabrał mi sam generał, bom jej nikomu oddawać nie chciał; muszę ją odebrać.

— Daj pokój! — rzekł Koreywa — małoż to szabel na świecie? nie odda ci pewnie, a jak pod zły humor trafisz, jeszcze gotów napowrót do ciupy wpakować.

— A niech będzie, co chce — odparł z determinacją Nielepiec — ja ją odebrać muszę.

I zabierał się do wyjścia.

— Gdzież idziesz?

— Do generała.

Napróżno Koreywa i Nazulewicz próbowali go wstrzymać; pan Ignacy, nie zważając na nic, rzucił drzwiami i szybkim krokiem udał się do kwatery Fersena. Wpuszczono go; czekał chwilę w dużej sali, i znowu, jak zwykle, w towarzystwie ulubionych a naszczekujących piesków, ukazał się baron. Nielepiec skłonił się i przedstawił generałowi.

— Cóż pan sobie życzysz? — spytał baron.

— Najprzód chciałem podziękować JW. generałowi za względne obchodzenie się z nami w więzieniu, za wygody i pomoc lekarską, jakich nam JW. generał raczył nie odmawiać, i za łaskawe uwolnienie.

Baron skinął głową i uśmiechnął się uprzejmie.

— I mam jeszcze, do JW. generała... prośbę.

— Cóż takiego?

— Miałem honor osobiście wręczyć JW. generałowi moją starą szablę; jest to najdroższa pamiątka... ośmielam się prosić, aby mi była zwróconą.

Twarz Fersena przybrała wyraz surowy.

— Szabla? — rzekł — nie pamiętam... ale Waćpan zostałeś uwolnionym nie na to, żeby się bić, ale żeby cicho i spokojnie siedzieć; szabla więc jest niepotrzebną.

Nielepcowi ścisnęło się serce na myśl, że ten drogi zabytek do rąk jego nie wróci.

— JW. generale — ozwał się żywo — gdybym miał zamiar się bić, znalazłbym dziesięć szabel; ale ta jest dla mnie bardzo wielką pamiątką, dla tego o nią proszę.

— Mój panie! — przerwał baron, dumnie podnosząc głowę — zapominasz z kim mówisz; pamiętaj, że cela, z której przed godziną wyszedłeś, jeszcze jest próżna i... mógłbyś do niej powrócić.

— Wolałbym wrócić — odparł, rumieniąc się od wzrastającej niecierpliwości Nielepiec — aniżeli być wolnym i stracić rzecz, do której największą przywiązuję cenę.

— Tak!! — zawołał z gniewem generał — dobrze!! będzie więc jak sobie życzysz... Ej!! — krzyknął głośno.

Oficer ukazał się w progu.

— Odprowadzić go napowrót do więzienia i podwójny szyldwach postawić... na chleb i wodę! — dodał — i szybkim krokiem wyszedł z sali, drzwi z łoskotem zatrzasnąwszy za sobą.

XI.

W Kodniu tymczasem łaskawość hetmana i zwykły humor jego żartobliwy, również jak wiadomość o uwolnieniu Nielepca i Nazulewicza, oraz wszystkie w ogóle okoliczności, rozjaśniły twarze obecnych i całe towarzystwo rozweseliły.

Hetman jadł marszałkowski obiad z wyśmienitym smakiem za dwóch, pił za sześciu, żartował z łowczanki, gawędził ze starym Drohomireckim, i czas do wieczora przeszedł niepostrzeżenie.

Już i zmrok zapadać począł, i światło podano, towarzystwo bawiło się ochoczą rozmową; do wieczerzy solennej i z niezwykłymi przyborami, krzątając się żwawo, czyniono przygotowania. JMP. Korycki pod połą od żupana zniósł z góry *sub secreto* okazały kryształowy puhar i schował go tymczasowo do swej szafy bezdennej; ale w tej chwili właśnie zasępił się jakoś i mrugnął na stojącego nieopodal Raciborskiego.

— Co to jest — rzekł z cicha — że do tej pory nie ma Korewy i Nielepca; posłałem po nich konie od dawna... coś się chyba stało?

— Hm — mruknął plenipotent — ja już sam na rynek wyglądałem... ani słyhu! to nam kaducznie całą plantę krzyżuje.

— Otóż to — mówił marszałek — już mię po cichu i hetman parę razy się pytał...

— I to tem gorzej — dorzucił Raciborski — że wiedzą, iż hetman jutro do dnia odjeżdża, a przecież i podziękować Nielepcowi wypada.

— Tu już coś jest niechybnie — mówił, kręcąc głową marszałek.

Nadchodziła wreszcie pora wieczery; rozmowa nacięła i coraz bardziej stawała się urywaną, nikt bowiem nie przyznawał się głośno do niespokojności, a jednak większa część towarzystwa zajęta była jedną myślą, a raczej domysłami: co oczekiwanym mogło do przybycia przeszkadzać.

Branicki skinął na marszałka.

— Co to jest? — spytał — że oni nie przyjeżdżają?

— Prawdziwie nie rozumiem — odparł zafrasowany Korycki.

— Szkoda-by było naszych projektów.... wielka szkoda...

Zamyślił się chwilę.

— To mi tak na sercu leży — dodał — że gotów-em postać do Brześcia i bodaj jutro cały dzień jeszcze pozostać; Nielepcowi muszę dług za ojca zapłacić...

— Czy mamy już podawać wieczerzę? — spytał marszałek.

— Zaczekaj Waszmość jeszcze z pół godziny... no jak nie nadjadą... to trudno! jeść trzeba.

Czekano więc jeszcze; Korycki nad pół godziny, dane przez hetmana, jeszcze drugie pół od siebie dorzucił; Pierzanowski, stary kuchmistrz księżnej, dwa razy przysyłał, że się potrawy popsują przez zbyt długie stanie... nikt nie przybywał.

Nie było rady; podano do stołu.

Branicki chmurny, siadł do wieczery, rozmowa się nie kleiła; trzy miejsca nie zajęte u stołu nie miły widok sprawiały. Drugie już danie wnoszono, gdy turkot rozległ

się na dziedzińcu zamkowym. Raciborski, w końcu stołu siedzący, zerwał się i wybiegł żywo.

W sieni słyhać było rozmowę głośną i pomieszana; oczy wszystkich obecnych, w oczekiwaniu i niepewności, na drzwi się zwróciły.

Otworzyły się one wreszcie i ukazał się naprzód Nielepiec, a za nim ruszyli się wszyscy; otoczono przybyłych i w mgnieniu oka zapanowała wesołość powszechna.

— No, czegoż tam u kaduka siedzieliście w Brześciu? he? — zawołał Branicki.

— To cała historia — odparł, śmiejąc się, Koreywa — zaraz JWPanu opowiemy.

Nielepiec, spostrzegłszy łowczego i pannę Helenę, zarumienił się i sam jak panna, wszakże, ukłoniwszy się tylko zdaleka, pośpieszył wraz z Nazulewiczem na powitanie hetmana, składając mu podziękowanie za odzyskaną swobodę.

— Gadajcież nam te historye — pytał niecierpliwie Branicki.

— Nielepca generał drugi raz aresztował — ozwał się Koreywa.

— Jako być może? — zawołał hetman zdziwiony.

— Cóż to jest? dla czego? — pytano wkoło.

— Poszedł był pan Ignacy — ciągnął Koreywa — podziękować niby generałowi za uwolnienie, a głównie chodziło mu o odebranie pamiątkowej szabli, którą miał w darze od JMPana łowczego; jakoś się gorąco przemówili i baron wsadził go napowrót do ciupy.

— A to! *asinus in quarto!* — wykrzyknął hetman — no i jakżeś się z tych pazurów wydostał? — pytał, zwracając się do Nielepca — uciekłeś, czy co?

— Koreywa z porucznikiem — odrzekł Nielepiec — nie doczekawszy się mnie w gospodzie, poszli na zwiady, a dowiedziawszy się, co zaszło, wpadli do JW. generała artylerji; jakoś łaskaw był, sam pojechał do Fersena, wytłómaczył rzecz... no, i uwolniono mnie przecie.

— A szabla? — spytał hetman.

Nielepiec z wesołym uśmiechem podniósł do góry zawieszoną u boku starą szablę.

— Pokaż-że mi tę szerpetynę; cóż to jest?

Pan Ignacy wyjął z pochwy i podał hetmanowi swą drogocenną pamiątkę.

— Hm, hm — mruzczał Branicki, oglądając ją uważnie i z widocznym w takich rzeczach zamiłowaniem — hm, stara sztuka... brzeszczot nie lada... piękna rzecz, ani słowa... nie dziw, żeś za nią skórę ryzykował.

— Dla mnie tem droższą jest, że ją trzymam od szanownego łowczego.

Stary Drohomirecki uśmiechnął się z wielkim zadowoleniem i po ramieniu poklepał Nielepca, a gdy ten się schylił nieco do ramienia łowczego, uściskał go serdecznie.

— No, siadajmy — zawołał wesoło hetman — wieczerza ledwie zaczęta.

Jeszcze chwilę trwały powitania; zaczęto się mieścić u stołu; tak się wszelako złożyło, że gdy JMPan Korycki rozpytywał się niby o coś bardzo pilnie Nielepca, wszystkie miejsca zostały zajęte, a dla niego jedno tylko przy łowczance zostało.

Z wieczerzą marszałek tak wystąpił, że na hetmańskie nawet przyjęcie zdawała się za sutą; potrawy i kielichy krążyły obficie; hetman w złotym był humorze, śmiał się i baraszkował, koncepta zewsząd się sypały, zapomniano

o polityce, jakby jej na świecie nie było, a może choć na chwilę posępne myśli zagłuszyć chciano; wesoły gwar rozlegał się w marszałkowskiej sali.

Nielepiec tymczasem z łowczanką cichą wiedli rozmowę; ktoby na ten czas wszelako uważnie badał twarz młodzieńca, dostrzegłby bez trudu najdziwniejszych zmian, jakie się co chwila na niej malowały. Zrazu, uśmiechnięty smutnie, „konwersował“ ostrożnie i trwożliwie; nagle wśród rozpowiadania jakiegoś swej pięknej sąsiadki, rzucił się na miejscu żywo, oczy mu zajaśniały i szła między nimi dalej coraz bardziej ożywiona rozmowa; rumieniła się łowczanka, a twarz Nielepca dziwnie była rozpromienioną.

Wieczera zbliżała się ku końcowi; w tem z poręczowego krzesła swego wstał hetman i zwrócił się do łowczego.

Wszyscy, widząc całe poważną twarz pańską, zamilkli i, w małą chwilkę, owę pomieszana i gwarną rozmowę zastąpiła cisza zupełna.

Co uważając, hetman ozwał się, zwrócony do swego sąsiada.

— Szanowny a czcigodny Mości łowczy dobrodzieju! wiadomem ci zapewne być musi, iż *quondam* bawiłem się ja po rycersku w niemieckim kraju, sekundując Jego Królewską Mość Królewicza Karola w wojnie, którą bywшему królowi naszemu wydał był monarcha pruski. I trafiło się, że ze zbytniego animuszu a gorącości walki, ile że człęk był młody, znalazłem się otoczony przez nieprzyjaciela tak, iż nie już godziny, ale momenta życia mego były policzone. Naówczas z niespodziewanym sukursem a żelaznem ramieniem przybył mi JMPan Stanisław Nielepiec, świętej pamięci ojciec obecnego tu JMPana Ignacego; jemu winienem

życie; a wszelako odsłużyć mu tej rycerskiej pomocy sposobności nie miałem. Wiadomość to, że: *compedes imposuit qui beneficium fecit*; owóż ja w tych okowach wdzięczności chodzę, cięży mi ten dług na duszy, i nie mogąc ojcu, chciałbym go odpłacić synowi: że zaś wiem to napewno, iż JMP. Ignacy Nielepiec nosi w swem sercu afekt do córki szanownego łowczego, jak niemniej, że i ona mu sprzyja; pozwól mi przeto Waszmość, miły bracie, abym pierwsze moje, jak dziś widzę, nie do rzeczy swaty z owym kniazem Kozłowskim, rektyfikował, powtórnie stając się dziewczętą i prosząc cię solenniter o rękę JMPanny łowczanki dla JMPana Ignacego Nielepca.

To przemówienie hetmana, jeśli było rzeczą niespodziewaną, to jedynie dla obojga swatanych, dla Koreywy i Nazulewicza; wszyscy bowiem zawczasu wiedzieli już, na co się zanosi, a nawet w tej sprawie hetman poufnie konferował z łowczym samym, który, po dzielnem zachowaniu się Nielepca, zwłaszcza w ostatniej pod Terespołem potrzebie, jak go już lubił poprzednio, tak teraz marzył tylko o skojarzeniu owego małżeństwa. Łowczy więc, skłoniwszy się z uprzejmym uśmiechem, odrzekł hetmanowi poważnie:

— Wielki to jest honor dla nas, zaiste, i dowód ła-ski, że JWny hetman dobrodziej raczysz być swatem; ja JMPana Ignacego poważam i kocham, jak syna, więc mi dziękować jedynie wypada; córka zaś moja, rozumiem, że ani memu gorącemu życzeniu, ani też woli JWgo hetmana przeciwną nie będzie.

I dodał z uśmiechem, zwracając się do Nielepca i panny Heleny:

— No, dzieci... hetmanowi do nóg!

Zrobił się tedy rumor ogromny, wszyscy się znowu

od stołu ruszyli; obojga młodych, nieprzytomnych prawie od wielkiego wzruszenia i pomieszanych, podprowadzono do hetmana i do łowczego; nastąpiły błogosławieństwa solenne i zaraz zamieniono pierścionki, poczem hetman potężnym głosem zawołał:

— Mości marszałku! dawaj wina!

JMPan Korycki, jako „peritus“ w solennościach podobnych, tak już był zawczasu wszystko ułożył i przygotował, że nim się ktokolwiek w tem zamieszaniu opatrzyć zdołał, zmieniono dania, powiększono światło, stół obstawiono ciastami i łakociami, a na środku jego ukazała się olbrzymia piramida cukrowa z cyfrą państwa młodych; gdy zaś hetman o wino zawołał, trzymano już przed nim ów puhar, pierwiej przez marszałka przygotowany, a pajuk hetmański, obok stojący, kosz z butelkami podawał.

Branicki już sięgał po kielich, kiedy go JMPan łowczy nieco za rękę powstrzymał.

— Pozwól — rzekł — JWny hetmanie, abym ja pierwiej wniósł wasze zdrowie, tak nam wypada, i tak się słuszenie należy.

Hetman się trochę opierał, chcąc pić za pomyślność narzeczonych, ale oddał wreszcie puhar łowczemu.

Pito więc w kolej, a gdy ta doszła do Nazulewicza, ozwał się on, trzymając w ręku kielich nalany:

— JWny hetmanie! ja żołnierz i człowiek prosty, kłamać nie umiem... owóż... wiadomo... jestem z przeciwnego obozu; kto słusność miał, czas pokaże; ale JWny hetman jesteś tu osobistym naszym a prawdziwym dobrodziejem, więc, choć Tatar jestem i od Mahometa absolicy na wino nie mam, bodaj i zgrzeszyć, a zdrowie JW-go

hetmana wypiję i szczerze powiem, niech cię Bóg najwyższy i Jezus Chrystus w łasce swojej chowa.

Zmieszali się nieco wszyscy tem przemówieniem Nazulewicza; Branicki z razu brwi ściągnął, ale wnet, panując widać nad sobą, a może i lekceważąc aluzję, ręką rzucał niedbale i odrzekł z uśmiechem:

— Niema już dziś obozów, mój Mości poruczniku, jedność trwały gmach buduje; ale Waszmość sam z sobą w „kontradykcyi“ jesteś, bo moje zdrowie pijesz i o Chrystusie mówisz... a, jak rozumiem, w obu nie wierzysz.

— Uchowaj Boże! — zawołał Nazulewicz — wdzięczność każe mi poważać JW-go hetmana, a my Tatarzy znowu, w Chrystusa wierzymy; bo w Alkoranie napisano wyraźnie, że to był mąż i prorok wielki i dla tego, od Witołdowych czasów w tym tu kraju chrześcijańskim osiedli, i religią jego szanujemy, i służymy mu wiernie.

Tu podniósł się hetman, pijąc z podziękowaniem, a luboć to była porcja cale nie mała, bo w strych brał puhar mało nie całą butelkę, a nalewano małmazyą wystałą, wnet kazał go sobie na nowo napełnić, wznosząc zdrowie „państwa młodych“. Znowu tedy poszła kolej wesoło, od której wymówić się nie mógł nawet ksiądz Ambroży; lecz zanim ten toast spełnił, zwrócił się wprost do Nielepca.

— Miło mi jest — rzekł — wypić tu zdrowie Wacpana, JMCi Panie Ignacy, widziałem cię w różnych życia ewentach i trybulacyach, zawsze szanował co poszanowania godne, zawsze na Boga pamiętał... i stało się tak, iż gdy dziś oto sądziłeś się może w najcięższym z całego życia swego znajdować terminie, prawica Wszechmocna nietylko cię z owych wydobyła ciężkości, lecz owszem, uczciwą na-



gradzając cnotę, tegoż dnia jeszcze u samego twych marzeń postawiła szczytu! Nagroda to słuszna; i wszystkim dodać może otuchy, że jeżeli w cnotach wytrwamy, jeszcze nam po klęskach i burzach jasne słońce zaświeci!

K O N I E C.



WBP Biała Pól,
REGIONALIA

XIII B

Kraszewski K.

Kra

Tradycje...